MOCARSTWA SZYKUJĄ SIĘ DO STARCIA O ARKTYKĘ

WSPÓŁPRACA, KTÓREJ NIE BYŁO. UJAWNIAMY PRAWDĘ O LUSTRACJI KAZIMIERZA KUJDY

TŁAMSZONA DUMA Z POLSKI. ROK NIEWYGODNYCH JUBILEUSZY

POLSKIE EKSHUMACJE NA UKRAINIE DLACZEGO PUŹNIKI?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

6 (636) 2025
3-9 lutego 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

BODNARA RAJ DLA BANDYTÓW

GANGSTERZY, MORDERCY, ZŁODZIEJE. SĄD NAJWYŻSZY MASOWO UCHYLA SKAZUJĄCE ICH WYROKI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 06
Numer w sprzedaży do 10 II 2025 r.

NARODOWY BANK POLSKI

informuje:

Mamy 450 ton złota

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP

Narodowy Bank Polski kierowany przez prof. Adama Glapińskiego, Prezesa NBP, zgromadził już dla Polski 450 ton złota.

Łączna wartość naszych rezerw dewizowych to już ponad 220 miliardów dolarów! Polska posiada już prawie tyle samo złota, co Europejski Bank Centralny. Polska rodzina jest bezpieczna w kraju, w którym bank centralny jest niezależny i wolny od nacisków politycznych.

Narodowy Bank Polski

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Dowiedz się więcej z publikacji NBP

„Narodowy Bank Polski w czasie megaszoków ekonomicznych po pandemii i w kryzysie energetycznym – historia sukcesu".

Wejdź na nbp.pl lub zeskanuj kod i zamów za darmo już dziś.

MEGA. Jak ponownie uczynić Europę wielką? Jak powtórzyć tu sukces Trumpa? Powstaje sieć konserwatystów z Europy i USA

W Brukseli w Parlamencie Europejskim i potem w tamtejszych salach konferencyjnych uczestniczyłem w ważnym wydarzeniu, energetyzującym każdego, kto rozumie politykę. To spotkanie „Make Europe Great Again" – „Uczyńmy Europę Ponownie Wielką". Podtytuł: „Obrona wartości zachodnich w Parlamencie Europejskim".

Po pierwsze, konsekwencje potężnego zwycięstwa Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Jak mówią uczestnicy, politycy, eksperci i dziennikarze z różnych części kontynentu, od Rumunii przez Polskę po Włochy i Amerykę, jest to impuls, którego nie możemy przegapić, moment zmiany, zwycięstwa zdrowego rozsądku. To także sygnał, że potężna, medialna presja, Sorosowe pieniądze i bezprawie doświadczane choćby w Polsce nie są wszechmocne, można je pokonać.

„Donalda Trumpa próbowano zabić, obrzydzić, zniszczyć, a dziś jest najważniejszym liderem politycznym na świecie. Musimy zrobić to samo w naszych krajach i tutaj, w Parlamencie Europejskim, musimy iść jego śladem" — powiedział mi George Simion, lider rumuńskiej partii AUR, jeden z organizatorów konferencji.

Po drugie, społeczne i demograficzne wyzwania stojące przed Europą. Przekładając na język konkretu, jak mówiła panelistka z Francji – w jej kraju 30 proc. dzieci rodzi się w rodzinach migranckich, a w Nigerii każdego roku rodzi się więcej dzieci niż w całej Unii Europejskiej. Są kraje, gdzie co roku przyjeżdża więcej ludzi, niż się rodzi! Konieczne jest zatem skończenie z polityką otwartych drzwi i mocne postawienie na rodzinę, promocja wartości rodzinnych, radości z posiadania dzieci.

Dr Jerzy Kwaśniewski, obecny na spotkaniu prezes Stowarzyszenia Ordo Iuris, powiedział mi, że ideologie niszczące rodzinę są krótkotrwałe, natura człowieka prędzej czy później zwycięża. Ale od nas zależy, jak długo to będzie trwało, ile jeszcze ofiar pochłonie, ilu młodym ludziom zdążą odebrać normalność. Demografia, podkreślają paneliści, kształtuje historię. Jest wiele pięknych słów na różnorodność kulturową, bardzo niewiele jednak opisujących zastępowanie kultury europejskiej przez tę przynoszoną przez migrantów.

Po trzecie, media. Słyszałem mocne wsparcie dla telewizji wPolsce24, także z ust licznych gości zagranicznych, którzy o nas wiedzą, oraz podziękowania dla wspierających ją widzów. Słyszę, że Polska i jej wolność to ważny front walki o wolność całej Europy. Plus media społecznościowe – wszyscy tu widzą, jak wiele zmieniło skończenie z cenzurą na platformie X Elona Muska, dlatego nie dziwią podziękowania padające publicznie pod jego adresem. Czy zmienią się też inne portale? Skończą z inżynierią społeczną? Kasowaniem konserwatywnych treści? Szanse są, ale konieczna jest społeczna presja.

Brukselskie spotkanie było kolejnym w tym formacie, poprzednie zorganizowano w Bukareszcie. Powstaje – i taki cel stawiają sobie organizatorzy – wspólnota europejskich i amerykańskich konserwatystów, trwa wypracowywanie narzędzi do podjęcia skutecznej walki o obronę naszych wartości, o odzyskanie nadziei na dobrą przyszłość naszego kontynentu, prawo do dumy i kontynuacji tradycji. Powstaje sieć wolności. Na zakończenie konferencji jej uczestnicy dali temu wyraz, biorąc udział w demonstracji w obronie prawa narodu rumuńskiego do wyboru takiego prezydenta, jaki im się podoba, a nie jakiego życzy sobie brukselski establishment.

Michał Karnowski

Reklama | 06/0125/F

eprasa.pl af555dd210

SIECI spis treści

Fot. Shutterstock/Lena Ivanova

27 Jak demoralizuje liberalizm? *Piotr Gursztyn*

42 Zatrzaśnięte drzwi *Aleksandra Rybińska*

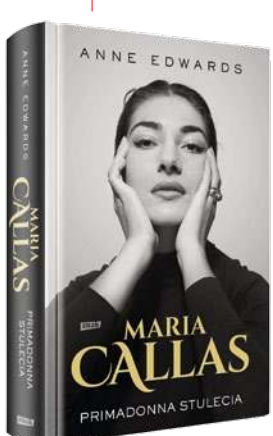

59 Łączy nas samotność *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

5 **NADZIEJA KONTRREWOLUCJI** Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE** Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PRZEJĘZYCZENIE** Krzysztof Feusette

9 **KOMEDIA POMYŁEK** Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Konrad Kołodziejski

12 **FARBOWANA ROPA, FARBOWANY GAZ – WIELKA UNIJNA HIPOKRYZJA** Daniel Obajtek

13 **PROSTY WYBÓR** Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA BEATY JAKONIUK-WOJCIESZAK** Michał Korsun

16 **POPCORN BUNTU** Samuel Pereira

16 **EKIPA OD GAF I FAŁSZYWYCH TYTUŁÓW** Arkadiusz Mularczyk

17 **CAŁY RZĄD PRZEJĘZYCZEŃ** Jan Pietrzak

18 **KRÓL JEST NAGI!** Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **RAJ DLA BANDYTÓW** Marek Pyza

KRAJ

24 **POCHWAŁY ZA BRUDNĄ ROBOTĘ** Konrad Kołodziejski

27 **JAK DEMORALIZUJE LIBERALIZM?** Piotr Gursztyn

30 **KRACH TRZECIEJ DROGI** Stanisław Janecki

32 **AGENT, KTÓREGO NIE BYŁO** Piotr Gontarczyk

36 **ROK NIEWYGODNYCH JUBILEUSZY** Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

39 **PIĘĆ PUNKTÓW MERZA** Jan Rokita

42 **ZATRZAŚNIĘTE DRZWI** Aleksandra Rybińska

45 **GORĄCA RYWALIZACJA O LODOWATĄ ARKTYKĘ** Marek Budzisz

48 **WATYKAN SZYKUJE SIĘ NA TRUMPA** Goran Andrijanić

OPINIE

50 **USA I STRATEGIA WYPIERANIA** Jan Parys

HISTORIA

53 **POLSKIE EKSHUMACJE NA UKRAINIE: DLACZEGO PUŹNIKI?** Stanisław Płużański

NATURA DLA LUDZI

56 **KRĘTA DROGA KRĘTOROGICH, CZYLI ILE JEST TURA W KROWIE** Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

59 **ŁĄCZY NAS SAMOTNOŚĆ** Jolanta Gajda-Zadworna

61 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba

62 **CZERWONE GITARY: 60 LAT NA SCENIE** Adam Ciesielski

64 **AMPUTACJA MÓZGU** Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI** Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY** Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

68 **PRZEDWYBORCZY LIFTING ZIELONEGO ŁADU** Agnieszka Łakoma

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: CHRISTOPHER NOLAN** Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki

73 **OBROŃCÓW DWÓCH** Ryszard Czarnecki

74 **WIOLONCZELA W ODLEGŁEJ GALAKTYCE** Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl af555dd210

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nadzieja kontrrewolucji

Globalna sfera publiczna pełna jest informacji i komentarzy na temat wyboru Donalda Trumpa i jego polityki. Jedni rwą włosy z głowy, inni dziękują Bogu – wydarzenie musi mieć zatem wielką wagę. Ciągle mam jednak wrażenie, że nie jest ono należycie doceniane w historycznym i cywilizacyjnym wymiarze.

Na przywódcę najpotężniejszego państwa świata triumfalnie wybrany zostaje człowiek, który deklaruje oficjalnie, że jego celem jest zatrzymanie liberalnej rewolucji i wierzy, że jest to zadanie, które postawił przed nim Bóg.

Komentatorzy przypominają, że liberalizm w USA znaczy coś innego niż w Europie i jest utożsamiany z lewicowością. Rzecz w tym, że amerykańskie rozumienie tego pojęcia jest bliższe prawdy niż europejskie „subtelności", a współczesny sojusz lewicy i liberalizmu zwieńczony ideologią emancypacji wskazuje na głębsze ich związki niż w sumie drugorzędne tradycyjne różnice.

Drugie zwycięstwo Trumpa dowodzi, że na nic nie jesteśmy skazani, nie ma jednokierunkowego biegu historii i to od nas zależy, jaka będzie nasza przyszłość.

Mowa inauguracyjna nowo-starego prezydenta pokazuje, że zakwestionować można wszystkie obowiązujące obecnie politycznie dogmaty i rzucić wyzwanie panującej ortodoksji. Przy okazji odsłania nędzę tradycyjnej prawicy, która pod presją „nieuniknionych konieczności" rezygnowała ze swojej tożsamości i pozwoliła się skolonizować liberalnej lewicy.

A teraz spróbujmy dokonać intelektualnego eksperymentu: przenieśmy się pół wieku wstecz i z tamtej perspektywy wysłuchajmy wystąpienia Trumpa. Ze zdumieniem odkrywamy, że nowo wybrany przywódca opowiada ostentacyjne banały.

Dlaczego prezydent Stanów mówi, że są tylko dwie płcie? Przecież to oczywistość, o której wie każdy głupi. Po co ogłasza, że będzie bronił granic? Przecież państwo po to istnieje. Z jakiego powodu deklaruje potrzebę utrzymania porządku w metropoliach? Przecież to obowiązek władz. Itd.

Ten eksperyment odsłania głębię rewolucji, jaka przetoczyła się nad Zachodem. Jest to jej nowa, zastępująca zbrojny przewrót forma. Nie znaczy, że jest mniej niszczycielska w swojej cywilizacyjnej istocie. Jej teoretykiem jest Antonio Gramsci i jego projekt zdobycia hegemonii kulturalnej oraz kontestatorzy lat 60. ub.w głoszący „marsz przez instytucje". Strategia przyniosła owoce. Niby mamy te same instytucje, które stworzyły wielkość Zachodu, ale znaczą one już coś radykalnie innego niż w momencie powołania ich do życia i wręcz zaprzeczają swojemu sensowi.

Najmocniej widać to w odniesieniu do prawa, które jest dziś czymś zasadniczo odmiennym niż we wszystkich swoich klasycznych ujęciach. Stało się narzędziem rewolucji i ideologicznych porządków. Tradycyjnie przenikało się z moralnością, etyką oraz obyczajem, a jego pisana wersja wieńczyła tę strukturę. Obecnie ma ono wyprzeć wszelkie inne formy organizacji życia zbiorowego i podporządkować je lewicowej ortodoksji. Zakazuje niezgodnych z nią poglądów, które zaliczane są do „mowy nienawiści". Przed sądem odpowiadać można za krytykę aborcji, wątpliwości co do wielokulturowego społeczeństwa, teorii gender czy wszelkich innych zasad nowej doktryny.

Przepisy dyktować zaczynają w sposób najbardziej drobiazgowy życie tak rodzinne, jak zawodowe, wszelkie ludzkie zachowania i przedsięwzięcia. Hipertrofia regulacji czyni z sędziów ideologicznych braminów naszego świata, a prawo, miast oparcia dla obywatela, staje się narzędziem jego kontroli. Prawa człowieka, które mają być fundamentem ludzkiej egzystencji, po zanegowaniu prawa naturalnego przestały być na czymkolwiek osadzone i realnie oznaczają dziś wolę silniejszych.

Wszystkie instytucje stanowić mają instrumenty instalacji nowego ładu, który zmierza w kierunku totalitaryzmu. Temu służyć mają media, ośrodki opiniotwórcze, w tym uniwersytety, i całość kultury. Demokracja w liberalnym wydaniu ma być jedynie pozorem, w którym obywatele mogą wybierać wyłącznie między nieróżniącymi się niczym ugrupowaniami, a konkurencja wobec nich ma być napiętnowana i zakazana. Działania w tym kierunku obserwujemy w Polsce i całej Unii, a także podczas ostatnich wyborów w Stanach. Za Atlantykiem poniosły one właśnie widowiskową porażkę.

Sukces Trumpa nie oznacza jeszcze klęski ideologii emancypacji i ufundowanego na niej świata. Otwiera jednak szansę i budzi nas z koszmaru historycznego fatalizmu, w jakim usiłowali zamknąć nas rzecznicy emancypacyjnej rewolucji.

Ich sukces nie stworzyłby „nowego wspaniałego świata", ale zniszczył ten, który istnieje, co jaskrawo obserwować możemy w Europie. Samobójstwo Zachodu oznaczałoby nieprzewidywalną w swoich konsekwencjach katastrofę.

Nie wiemy, czy zwycięstwo Trumpa oznacza początek trwałych zmian, ale stwarza ich szansę. Nawet jednak w najbardziej optymistycznym scenariuszu walka o odbudowę rozmontowywanej dziś cywilizacji trwać będzie pokolenia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl af555dd210

Sygnalista nadaje

Pan Rafał był zmęczony i leżał w łóżeczku. Cały weekend. A potem wziął puszeczkę i wyszedł do ludzi. Puszeczka była z WOŚP, co jest dowodem, że św. Juras oprócz wielu innych charyzmatów ma ten, że cudownie uzdrawia. W każdym razie źli ludzie, którym absolutnie nie wierzymy, powiadają, że Rafał Trzaskowski jest już bardzo zmęczony kampanią wyborczą. To chyba niemożliwe, bo przed nim (albo jego zmiennikiem) jeszcze trzy i pół miesiąca użerania się z ludźmi, którym trzeba się podlizywać. Czyli z uczestnikami spotkań wyborczych i w ogóle z wyborcami. A to strasznie roszczeniowa i bezczelna hałastra. Zadają Rafałowi pytania, chcą go dotykać za pomocą uścisków dłoni, a nawet dyskutują z tym, co do nich mówi jedyny prawdziwie demokratyczny kandydat.

Ale nie brakuje też sukcesów. I to spektakularnych, jakim była okazja do wspólnych fotek z Justinem Trudeau. To nie ta sama osoba, co Justin Bieber, ale też jest ładna i pochodzi z tego samego kraju. Były uściski, uśmiechy i gratulacje, co bardzo nas cieszy, gdyż wierzymy, że sukces w polityce bywa zaraźliwy. Co prawda Trudeau przestał być charyzmatycznym premierem Kanady, bo jego sąsiad Trump tupnął nogą. Mimo wszystko uważamy spotkanie obu mężów stanu (he/him) za niezmiernie udane. Rafał mógł sobie troszkę pogadać po francusku i nikt z tego się nie śmiał. No może trochę Rafał podśmiewał się z Justina, że ten ma słaby akcent. Sami wiecie – Quebec, syrop klonowy i te rzeczy. Ale i tak było super, bez porównania z tym, co się dzieje na tych spotkaniach z cebulakami w czasie kampanii wyborczej. Jedyne, czego szkoda, to że nie zaprosili Scholza z Niemiec. On też przegrał wszystko w polityce, więc bardzo pasował do spotkania Trzaskowski–Trudeau.

Nowa atrakcja w Warszawie! Ekologiczna, spektakularna, nietania Via Trocina prowadząca do toalety w Parku Skaryszewskim. Nowy landmark, jak to się mówi w pewnych kręgach naszej stolicy. Pomnik sprawczości najlepszego samorządowca w kraju, czyli Rafała Trzaskowskiego. Koniecznie musicie to zobaczyć. I dotknąć. Nogą, ręką, czymkolwiek. Młodzież już doceniła ten cud inżynierii budowalnej, czego świadectwem są niezliczone memy internetowe. Eksperci oceniający ich masowy wysyp uważają, że może to być jeden z czynników, który wpłynie na ostateczny wynik wyborów prezydenckich. Rafał! Prezydent naszych serc!

Jeszcze raz o naszym laickim, oddzielonym od Kościoła, ale nie od państwa, *santo subito*. Św. Juras się wściekł. Tak, on, a nie Donald. Wściekł się nie na prawackie szczujnie, bo te wiadomo, jakie są. Wściekł się na zaprzyjaźnione media. Spora ich część zlekceważyła bowiem najświętsze dni uśmiechniętej Polski. Jeszcze w trakcie przygotowań zachowywały się lekceważąco wobec tego święta. Podobno dlatego, że stygnie wiara ich widzów i czytelników w św. Jurasa i kult Wielkiej Orkiestry. Zbyt mało informowały i niestety niekiedy ze świętokradczym lekceważeniem. Posłańcy św. Jurasa ruszyli więc z telefonami i pytaniami, dlaczego tak mało, kiedy będzie więcej i co jest powodem tej małej gorliwości.

eprasa.pl af555dd210

Wyróżnili się tutaj posłańcy z miesięcznika miłośników mobbingu „Press". Wieczna im chwała za ich żarliwość!

W cieniu bezhukowych fajerwerków Jurasa Przenajświętszego przemknęła skromniejsza, ale bardzo udana kwesta pod hasłem „Uwolnić Janusza". Lubelszczyzna nie zapomniała o swym wielkim synu. „***Janusz Palikot*** za pośrednictwem swojego syna zwrócił się z prośbą o pomoc w zebraniu środków na kaucję warunkującą jego wyjście z aresztu. Wsparcie dowolną kwotą. Pełnomocnikiem Janusza w tej sprawie jest jego brat Bogdan. Proszę o odpowiedź. s. żmijan" – to treść apelu, który w niedzielę św. Jurasa rozesłał Staszek Żmijan, gauleiter Platformy na województwo lubelskie. I udało się, wdowi grosz – 2 mln zł – został uciułany i wpłacony. Janusz jest już wolny! A warunki w celi były okropne. Według jego dramatycznych słów nie było szmaty do podłogi i musiał ją przemywać ścierką do wycierania naczyń. Robił to codziennie, a kurzu i tak było co niemiara. Słuchamy tego ze zgrozą, bo nic bardziej nie uświadamia tego, jak nadal mocne jest pisowskie deep state. Bo tylko kryptoziobryści ulokowani w nie do końca odzyskanym więziennictwie mogli być tak zwyrodniali, że odmówili Januszowi wydania szmaty do podłogi. Z tym Januszem to w ogóle głupia sprawa i nieporozumienie. Janusz Palikot tyle miesięcy w areszcie, a Janusz Kowalski ciągle bryluje na wolności? To tak ma wyglądać przywracanie praworządności w uśmiechniętej Polsce?

Barbara Niejaka-Nowacka, naczelna nauczycielka RP, przejęzyczyła się. A właściwie, co widać po z trudem znalezionym nagraniu, przeczytała tekst bez zrozumienia. O tym, że Auschwitz zbudowali polscy naziści. I od razu wielkie halo! A nawet żądania, aby podała się do dymisji.

Nie ma na to naszej zgody! Po pierwsze, czytanie ze zrozumieniem jest przereklamowane i po to Niejaka skasowała prace domowe, aby gównarzernia nie była zbyt przemądrzała. Po drugie, nie rozumiemy oburzenia w sprawie polskich nazistów. Czy wy, ludzie, nie czytacie „Gazety Wyborczej"? Czy zmarnowaliście ostatnie 35 lat i nie czytaliście o całym złu, które wyrządzili ludzkości polscy zbrodniarze, antysemici, szowiniści, nacjonaliści i inni kaczyści? Skoro są polskie obozy koncentracyjne, o których piszą najbardziej zachodnie media na Zachodzie, to znaczy, że musieli być też polscy naziści. No bo przecież nie niemieccy.

Hasło „masło trzasło". Dobra wiadomość, sukces rządu. Masło staniało. Wprawdzie nie w Polsce, ale za to w Czechach. To wielkie osiągnięcie rządu premiera Tuska dzięki jego strategicznej decyzji o wypuszczeniu na rynek strategicznych zapasów masła z rezerw strategicznych. Masło trafiło do najbardziej potrzebujących, czyli do Czechów. Towar do naszych braci pepików wysłała jedna z firm obsługujących zarządzoną przez premiera interwencję na rynku masła. Tak się też składa, że ta firma obsługuje czeskie sieci sklepowe. I dobrze się stało. Porządkowanie kraju po zbrodniczych rządach prawicy wymaga wyrzeczeń, w myśl znanego i jakże potrzebnego w dobie walki ze zmianami klimatu hasła: „Rozliczenia zamiast masła". Jednocześnie w imieniu narodu czeskiego przesyłamy panu premierowi gorące podziękowania: „Děkuji mnohokrát, Donalde!".

Suwerenna Polska już nie istnieje, ale kłótnie w Suwerennej Polsce trwają – odkryli niedawno naukowcy. To epokowe odkrycie wzięło się stąd, że prześledzili oni działania Patryka Jakiego. Otóż eurodeputowany Jaki zawitał do Warszawy i ze zgrozą odkrył, że miejscowi działacze prawicy nie podnoszą w kampanii prezydenckiej zarzutów nieskutecznych rządów Rafała Trzaskowskiego w tutejszym ratuszu oraz wiążących się z tym skandali. Postawił zagadnienie na najwyższych gremiach partyjnych, jednak reakcja była nieco odmienna od tej, której się spodziewał. Okazało się, że swoim wnioskiem Patryk najbardziej zdenerwował Sebka Kaletę (też Suwerenna Polska), bo to on odpowiada za Warszawę i grillowanie Trzaskowskiego. To ostatnie idzie mu całkiem dobrze, więc tym bardziej wkurzył się na Patryka. Sprawa już wyjaśniona, ale atmosfera trochę się popsuła.

Na koniec wytłumaczenie, skąd donos na Patryka? Otóż eurodeputowany ***Patryk Jaki*** został jakimś ważniakiem grupie EKR w Parlamencie Europejskim i odpowiada za wystąpienia naszych europisiorów na jego forum. Trochę zmienił dotychczasowe reguły, bo uznał, że są niepraktyczne. Te stare polegały na tym, że każdy europisior dostawał w przybliżeniu tyle samo czasu na przemówienia w imieniu klubu. Patryk to przeanalizował i stwierdził, że on przemawia najładniej i najmądrzej, więc nie ma sensu, aby inni to robili. Więc już nie przemawiają, ale za to donoszą na Patryka. Nasza propozycja jest następująca: panie Patryku, niech pan zacznie kablować na tych, co na pana donoszą. My to opublikujemy (oczywiście bez żadnego sprawdzenia prawdziwości donosu). Będzie wtedy po równo i wszyscy będą kwita. Nawet trochę podkręcimy te donosy, aby brzmiały bardziej sensacyjnie. Deal?

Fot. RMF FM, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl af555dd210

Przejęzyczenie

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Kto pani to napisał?
Nowacka: Koleżanka.
Tusk: Imię?
Nowacka: Barbara.
Tusk: Jej imię!
Nowacka: Helga.
Tusk: Nazwisko?
Nowacka: Braun.
Tusk: Z tych Braunów?
Nowacka: Czyli których?
Tusk: Od Grzegorza?
Nowacka: Nie. Ale też nie lubi Żydów.
Tusk: To czemu ona? Czy pani wie, co to była za rocznica?
Nowacka: No wiem, wyzwolenia.
Tusk: Czego?
Nowacka: No tego obozu.
Tusk: Jakiego?
Nowacka: W Auwidersejn?
Tusk: W Auschwitz!
Nowacka: No tak.
Tusk: Więc czemu ktoś taki pani pisał?!
Nowacka: Myślałam...
Tusk: Proszę więcej tego nie robić. Czy tam było napisane to, co pani powiedziała?
Nowacka: No chyba nie. Teraz sama już nie wiem...
Tusk: Dobrze. Załóżmy, że było. I co? Czyta pani zdanie, że polscy naziści budowali obozy koncentracyjne i nic się pani nie zapaliło?
Nowacka: No zapaliło. Że to straszne.
Tusk: Ale co?
Nowacka: No że polscy naziści.
Tusk: Nie wytrzymam. Przecież pani wie, jaka jest prawda.
Nowacka: No wiem, czytałam Grossa. I słuchałam ministra Bodnara.
Tusk: A co mówił Bodnar?
Nowacka: Że Polacy współuczestniczyli w Holokauście. I że dobrze, że Niemcy nas oswoili, bo teraz nie mogą porzucić.
Tusk: Ale to nie jest pani zmartwienie, tylko moje!
Nowacka: To przepraszam. Byłam pewna, że jak Bodnar coś powie, to jest święte.
Tusk: Zwariowała pani? Tylko moje słowa są takie!
Nowacka: Święte słowa. Ale poseł Łącki od nas też tak mówił.
Tusk: Że co?
Nowacka: Że w Polsce przed wojną był największy antysemityzm i dlatego obozy powstały tutaj.
Tusk: Banda kretynów.
Nowacka: Ale pan premier też mnie troszkę zmylił.
Tusk: Czym znowu? Że prognozy nie są alarmujące?
Nowacka: Nie. Tym, że w dniu rocznicy wyzwolenia tego campusu, czy tam obozu, ani razu w swoim wpisie nie wspomniał pan o Niemcach.
Tusk: Bo mnie, proszę pani, nie trzeba przekonywać, że to zrobili Niemcy. Moja rodzina bardzo ucierpiała.
Nowacka: Na tym wyzwoleniu?
Tusk: Nie! Na wojnie! Mój dziadek walczył...
Nowacka: Nie wiem, czy chcę tego słuchać. Bo znowu mi się wszystko pomiesza.
Tusk: Nic się nie pomiesza, bo teraz pani zamilknie i zajmie się wyłącznie dewaluacją edukacji.
Nowacka: No właśnie miałam wprowadzić edukację seksualną, ale pan premier zabronił.
Tusk: Nie zabronił, tylko wprowadził dobrowolność. Przecież mówiłem pani, że to tylko do wyborów. A potem, akurat w Dzień Dziecka, damy dzieciom w prezencie edukację, jak się robi dzieci.
Nowacka: Och, jak się cieszę. A co zrobić z tymi zadaniami domowymi?
Tusk: A co?
Nowacka: Bo nawet w „Wyborczej" już piszą, że wszyscy są wściekli. Rodzice chcą przywrócenia, nauczyciele też...
Tusk: Ilu?
Nowacka: No, ośmiu na dziesięciu.
Tusk: Józefaciuk też? Przecież on miał być naszym głosem środowiska nauczycielskiego.
Nowacka: On w wierzy kamienie, dymy z szyszek i te sprawy.
Tusk: Tragedia. A w resorcie co uważają zastępczynie? Te całe Lubnauer, Mucha i kto tam jeszcze...
Nowacka: No uważają to samo, co pan.
Tusk: Czyli?
Nowacka: No właśnie nie wiem i dlatego pytam.
Tusk: Aha. No to ja uważam, że trzeba to skonsultować.
Nowacka: Ale z kim?
Tusk: Nie wiem, nie ma pani jakichś lepiej wykształconych koleżanek ze studiów?
Nowacka: Nie bardzo. Ja kończyłam u ojca.
Tusk: Rydzyka?!
Nowacka: Nie, własnego. Szkoła technik komputerowych. Polsko-japońska.
Tusk: Czemu tam? Zna pani japoński?
Nowacka: No tyle co z „Szoguna".
Tusk: Pani nie wymawia tego słowa w kampanii. Już mieliśmy jednego kandydata, co przywoływał szoguna. Nie zna pani japońskiego, czytać pani nie umie, czemu tam?
Nowacka: Ojciec jest rektorem, więc pomyślałam, że przy moim stanie wiedzy tak będzie bezpiecznej. Poza tym już wtedy myślałam o polityce, więc nie było czasu na naukę. Ale „Pana Tadeusza" przeczytałam!
Tusk: Całego?
Nowacka: Nie, no bez przesady. Jedną księgę.
Tusk: A którą konkretnie?
Nowacka: Chyba 13.
Tusk: O czym to jest?
Nowacka: No trochę o edukacji seksualnej. Fajne takie, śmieszne.
Tusk: To może dołączy to pani do lektur?
Nowacka: Chyba za wcześnie, dzieci mogą nie zrozumieć niektórych słów.
Tusk: Aha. A pożyczy mi to pani? Bo ja teraz bardzo lubię takie obyczajowe klimaty. Statki miłości, rozumie pani...
Nowacka: Oczywiście. A czy sam pan pływa? Bo mam kilka weekendów wolnych.
Tusk: Pani mnie źle zrozumiała. Ja dopiero teraz widzę, że lepszego ministra edukacji to dla Polaków nie mogłem wymyślić. Pani jest najlepsza. Bo pani jest po prostu skończonym idiotą.
Nowacka: Chyba idiotką?
Tusk: Przepraszam, przejęzyczenie.

eprasa.pl af555dd210

WIEŻA BAB

Komedia pomyłek

Największą pomyłką wyborców jest ten rząd „fachowców", którzy na niczym się nie znają

Barbara Nowacka się przejęzyczyła. Tak przynajmniej twierdzi ona sama i jej koledzy. Podczas międzynarodowej konferencji szefowa MEN powiedziała: „Na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy". Problem w tym, że minister edukacji czytała wystąpienie z kartki, a „przejęzyczenia" nie poprawiła, a zwykle tak postępujemy, gdy się pomylimy.

W oświadczeniu MEN poinformowało, że „docelowa wypowiedź na podstawie przygotowanego fragmentu wystąpienia miała brzmieć: »Na terenie okupowanej przez Niemcy Polski naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady«". Choć w sieci się zagotowało, a opozycja domaga się dymisji minister za szkodliwe dla Polski słowa, premier Donald Tusk oznajmił, że „nie będzie wyciągał jakichś dramatycznych konsekwencji z powodu przejęzyczenia".

Wcześniej minister Nowacka próbowała wmówić przejęzyczenie i pomyłkę wicepremierowi i szefowi MON Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi, który publicznie stwierdził, że przedmiot edukacja zdrowotna nie powinien być obowiązkowy. „Ktoś znów pomylił MON z MEN" – skomentowała na platformie X. Szybko się jednak okazało, że to ona pomyliła rok wprowadzenia reformy, bo takich rzeczy nie robi się w roku wyborczym i premier Tusk zawyrokował, że jeszcze przez rok ten przedmiot będzie nieobowiązkowy.

Na razie cicho też o ewentualnej dymisji minister ds. równości Katarzyny Kotuli, która też się pomyliła. Po doniesieniach medialnych i wielkiej aferze musiała przyznać, że nigdy nie miała tytułu magistra. Mimo to jeszcze do niedawna we wszystkich biogramach minister dostępnych w sieci widniała informacja, że posiada ten tytuł. Ot, pomyłeczka, niedopatrzenie, jak twierdzą koledzy z partii. I zupełnie nikomu nie przeszkadza, że minister bez tytułu magistra w jednym z wywiadów twierdziła, że właśnie pisze doktorat.

Pomyliła się także minister ds. klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska, która twierdziła, że podwyżki energii wyniosą ok. 30 zł w przypadku jednorodzinnego gospodarstwa emeryckiego. Okazało się, że w przypadku gospodarstw liczących więcej osób i niekoniecznie emerytów podwyżki sięgnęły nawet 30 proc. Tu przynajmniej zgadzała się ta trzydziestka z przodu. Ta sama minister bardzo się też cieszyła, że spada konsumpcja i ludzie kupują mniej ubrań: „Ludzie rezygnują z zakupów niepierwszej potrzeby, np. tekstyliów, i to dobrze dla klimatu" – przekonywała Hennig-Kloska. W innych okolicznościach minister, który fetuje spadek konsumpcji, pewnie musiałby się pożegnać z urzędem, ale nie w tym rządzie. Tu im głupiej, tym lepiej.

I teraz wkracza do akcji zastępczyni minister klimatu i środowiska Urszula Zielińska, która myli się ciągle. Swoje urzędowanie zaczęła od tego, że na nieformalnym spotkaniu w Brukseli powiedziała, iż Unia Europejska, w tym Polska, „musi absolutnie przyjąć ambitne cele i musimy przyjąć cel redukcji emisji o 90 proc. do 2040 r.". To oznaczałoby katastrofę dla polskiej gospodarki, dlatego usłyszeliśmy, że nie są to plany rządu, a prywatne stanowisko minister.

Zielińska myliła się także w sprawie transportu rzecznego. Po tym, jak zarzucono pomysł poprzedniej władzy mający uczynić z Odry szlak handlowy, pani minister stwierdziła: „Transport rzeczny jest dzisiaj kompletnie nieopłacalny. Są inne środki transportu wykorzystywane. To były kompletne miraże z piasku, to się nie spinało finansowo i doprowadziło do katastrofy, to jest technika z lat 70.". Tę wypowiedź wyśmiali choćby eksperci ze stowarzyszenia Absolwentów Szkół Żeglugi Śródlądowej we Wrocławiu. A o opłacalności żeglugi rzecznej niech świadczą choćby barki na Renie.

Pomyliła się także minister Izabela Leszczyna, która twierdziła, że służbę zdrowia można uzdrowić jak „za dotknięciem czarodziejskiej różdżki".

Trudno się jednak dziwić, że Donald Tusk nie dymisjonuje ministrów za „pomyłki". Przecież sam się pomylił choćby w kwestii wprowadzenia kwoty wolnej od podatku na poziomie 60 tys. zł czy w kwestii cen paliw. Benzyna wciąć nie kosztuje 5,19 zł, a Polacy nie mają zasobniejszych portfeli. Największą pomyłką wyborców jest zaś ten rząd „fachowców", którzy na niczym się nie znają.

Dorota Łosiewicz

Wielka Brytania

Drastyczne koszty imigracji

W stolicy Wielkiej Brytanii żyje wielka, bo licząca prawie 600 tys. osób, ukryta populacja nielegalnych imigrantów – wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie jednego z przedsiębiorstw wodociągowych w Londynie.

Obecnie w Zjednoczonym Królestwie przebywa łącznie ponad 1 mln nielegalnych imigrantów, z czego 60 proc. mieszka w Londynie, co stanowi ok. jedną dwunastą spośród szacowanej na 7 mln populacji miasta. Choć są tacy, którzy twierdzą, że to i tak niepełne dane, bo nie obejmują tych, którzy przedostali się do Anglii przez kanał La Manche.

Badanie rzuca pewne światło nie tylko na skalę nielegalnej imigracji, lecz także na wpływ, jaki wywiera ona na dostępność mieszkań, usługi publiczne i sytuację materialną ludności. Jego celem było bowiem oszacowanie potrzeb infrastrukturalnych Londynu i uwzględnienia ich w planach urbanistycznych. Okazało się, że populacja nielegalnych imigrantów w brytyjskiej stolicy zwiększa i tak wysoki popyt na mieszkania, co doprowadziło do rekordowego wzrostu czynszów, które w 2023 r. przekroczyły średnio kwotę 2200 funtów (2710 dol.) miesięcznie w porównaniu ze średnią krajową wynoszącą 1300 funtów (1600 dol.). W związku z tym gwałtownie wzrosły koszty zakwaterowania i wsparcia dla osób ubiegających się o azyl. Raport Institute for Public Policy Research wykazał, że roczne utrzymanie takiej osoby wzrosło z 17 tys. funtów w latach 2019–2020 do 41 tys. funtów w latach 2023–2024.

Wszystkie zakłady użyteczności publicznej, w szczególności państwowa służba zdrowia, szkoły i władze lokalne, stoją w obliczu ogromnej presji, bo zaistniała sytuacja grozi wybuchem kryzysu. Chodzi o to, że niemal każdy, kto przebywa nielegalnie, pracuje na czarno, ale równocześnie korzysta z finansowanej przez podatników infrastruktury i usług. Notowany jest też wzrost przestępczości. Imigranci częściej trafiają do więzień, jednak kolejne rządy odmawiają ujawnienia statystyk dotyczących obywatelstwa lub statusu imigracyjnego przestępców.

„To całkowicie niedopuszczalne. To kolejny powód, dla którego musimy właściwie kontrolować nasze granice" – komentuje Richard Tice, zastępca przewodniczącego partii Reform UK Nigela Farage'a. Nie bez powodu ugrupowanie to pnie się w sondażach i uzyskawszy 26 proc. poparcia, stało się obecnie najpopularniejszą partią w Wielkiej Brytanii, wyprzedzając zarówno Partię Konserwatywną, jak i rządzącą Partię Pracy.

Maciej Walaszczyk

Fot. Gwoeil/Shutterstock.com

Słowacja

Fico traci większość

Rządząca Słowacją trójpartyjna koalicja straciła większość parlamentarną po tym, jak czterech posłów partii Głos – Socjalna Demokracja (HLAS-SD) zagroziło, że nie będzie dłużej popierać rządu.

Kryzys koalicyjny tlił się od jesieni, kiedy dwóch posłów Hlasu zażądało posad ministerialnych, i nabrał siły po ich wykluczeniu z partii w styczniu. W obronie wyrzuconych deputowanych niespodziewanie stanęło jeszcze dwóch posłów i w efekcie większość popierająca koalicyjny gabinet Ficy stopniała do 75 posłów w 150-osobowym parlamencie. Równolegle kryzys wybuchł także w drugiej formacji koalicyjnej SNS, w której zbuntowało się trzech posłów. Jeśli nie uda się doprowadzić do jego zażegnania, może to doprowadzić do dalszego zmniejszenia parlamentarnego zaplecza rządu Ficy.

Kryzys w słowackim parlamencie zbiegł się w czasie z wielotysięcznymi demonstracjami opozycji. Protesty odbyły się w 30 miastach Słowacji, w Bratysławie demonstrowało 60 tys. osób. Z prorosyjskiej, jak uważa opozycja, i antyeuropejskiej polityki premiera niezadowolone są też różne grupy zawodowe, które organizują listy protestacyjne domagające się dymisji rządu. Tego rodzaju wezwanie podpisało 855 psychiatrów, protesty zorganizowali kierowcy ciężarówek, byli dyplomaci, studenci, nauczyciele, a nawet kler katolicki.

Premier Fico określił demonstracje mianem „próby przewrotu politycznego" inspirowanego przez zagraniczne ośrodki i zapowiedział wydalenie ze Słowacji ich aktywnych uczestników, w tym znanego czeskiego aktora Boleslava Polívki, który przemawiał na wiecu w Bratysławie. Zadeklarował też, że nie ugnie się wobec żądań opozycji i nie ustąpi, choć niektórzy słowaccy komentatorzy są zdania, iż obecna polaryzacja i wzrost napięcia są w gruncie rzeczy na rękę premierowi. SMER, formacja Ficy, w przeciwieństwie do jej koalicjantów nie przejawia oznak kryzysu, co może oznaczać, że ewentualne przedterminowe wybory pozwolą jej połknąć partnerów koalicyjnych.

Na razie Robert Fico będzie się starał uspokoić nastroje społeczne, pacyfikując partyjnych buntowników i zapewniając, że nie ma zamiaru wyprowadzać Słowacji z NATO i Unii Europejskiej. Dopiero kiedy te działania zawiodą, premier może myśleć o przedterminowych wyborach. Ale do tego scenariusza jest jeszcze daleko.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock/Lukas Man.com

eprasa.pl af555dd210

USA

Kto stworzył koronawirusa?

CIA uważa, że wirus odpowiedzialny za pandemię COVID-19 najprawdopodobniej pochodzi z laboratorium. Tak wynika z odtajnionego raportu agencji, który został sporządzony jeszcze za kadencji Joe Bidena.

Raport odtajniono na polecenie nowego dyrektora CIA Johna Ratcliffe'a. Swoją decyzję uzasadnił potrzebą przywrócenia zaufania Amerykanów do instytucji własnego państwa. „Celem CIA jest ochrona Amerykanów – zapewnienie nam bezpieczeństwa przed zagranicznymi zagrożeniami i przeciwnikami" – stwierdził. „Ale musimy być też szczerzy wobec Amerykanów" – wyjaśnił.

Ustalenia raportu nie są wynikiem żadnych nowych informacji wywiadowczych, a sam dokument został napisany na polecenie byłego dyrektora CIA Williama Burnsa. Podstawą publikacji są analizy dotyczące rozprzestrzeniania się wirusa, jego właściwości oraz warunków panujących w chińskich laboratoriach wirusologicznych. I chociaż nie porzucono hipotezy o możliwym naturalnym pochodzeniu wirusa, to za bardziej prawdopodobną uznano wersję o jego stworzeniu w laboratorium. Dwa lata temu do takich samych wniosków doszli analitycy Departamentu Energii, którzy także stwierdzili, że najbardziej prawdopodobnym źródłem koronawirusa był wyciek z laboratorium.

Główną poszlaką, która ma dowodzić, że wirus został stworzony przez człowieka, jest istnienie w chińskim mieście Wuhan laboratorium bakteriologicznego, w którym prowadzi się badania nad najbardziej śmiercionośnymi patogenami, m.in. wirusami eboli oraz SARS. Laboratorium znajduje się zaledwie 30 km od targu rybnego w mieście Wuhan, gdzie jakoby pojawiły się pierwsze zakażenia nowym wirusem. Połączenie tych faktów pozwoliło sformułować hipotezę, że SARS-CoV-2 jest dziełem chińskich naukowców, które wymknęło się im spod kontroli. Tym bardziej że – jak alarmowali niektórzy naukowcy, wśród nich Tim Trevan, konsultant ds. bezpieczeństwa biologicznego z amerykańskiego stanu Maryland – reżim zabezpieczeń w wuhańskim laboratorium był dziurawy. Przypomniano też, że już wcześniej zdarzały się wycieki niebezpiecznych patogenów z chińskich laboratoriów. W 2004 r. dwójka studentów zaraziła się wirusem SARS w pekińskim ośrodku wirusologicznym, na szczęście bez poważniejszych konsekwencji dla otoczenia.

Choć odtajniony raport CIA nie przesądza ostatecznie o pochodzeniu koronawirusa, a agencja zamierza nadal zbierać informacje na ten temat, stał się on przyczyną zgrzytów na linii Waszyngton–Pekin, zwłaszcza że pojawiły się głosy na temat konieczności zapłaty przez Chiny odszkodowań za wywołanie pandemii. Chińczycy odrzucają takie roszczenia, twierdząc, że raport CIA „nie jest wiarygodny".

Konrad Kołodziejski

Fot. kornthaifood/Shutterstock.com

Korea Północna

Gruźlica jako ratunek

Według doniesień Radia Wolna Azja w ostatnich miesiącach koszt fałszywego zaświadczenia o zachorowaniu na gruźlicę wzrósł w Korei Północnej pięciokrotnie: ze 100 do 500 dol. To kolosalna suma, biorąc pod uwagę fakt, że pensja przeciętnego mieszkańca KRLD nie przekracza 10 dol. miesięcznie.

Niektóre rodziny decydują się na taki krok (oznaczający niekiedy utratę oszczędności całego życia), aby uchronić swoje dzieci przed wysłaniem na front na Ukrainę. Zdaniem władz w Kijowie w dotychczasowych walkach zabitych lub rannych zostało ok. 4 tys. północnokoreańskich żołnierzy.

Armia tego państwa jest jedną z największych na świecie i liczy 1,2 mln ludzi. Służba w niej jest obowiązkowa i trwa 10 lat w przypadku mężczyzn powyżej 17. roku życia oraz 7 lat w przypadku kobiet. Zaświadczenie o gruźlicy pozwala odroczyć pobór do wojska na rok aż do następnej kontroli. Jest to najczęściej spotykany powód przesunięcia w czasie służby wojskowej, ponieważ Korea Północna należy do krajów wysokiego ryzyka gruźlicy. Według danych WHO w 2023 r. zanotowano tam aż 135 tys. przypadków tej choroby. W związku z doniesieniami o fałszowaniu dokumentów część władz lokalnych rozważa możliwość przeprowadzania testów na gruźlicę co trzy miesiące, aby ograniczyć kupowanie podrobionych zaświadczeń.

Oficjalna propaganda Pjongjangu nie podaje do publicznej wiadomości żadnych informacji o udziale wojsk KRLD w wojnie przeciwko Ukrainie, a tym bardziej o poniesionych stratach. Wieści na ten temat rozchodzą się jednak wśród obywateli Korei Północnej pocztą pantoflową. Żołnierze z tego kraju okazują się nieprzygotowani do udziału w nowoczesnej wojnie z udziałem dronów, dlatego śmiertelność w ich szeregach jest bardzo wysoka. W najbliższym czasie spodziewane jest wysłanie kolejnych jednostek z Półwyspu Koreańskiego do Rosji. To budzi obawy części rodzin, które korumpują lekarzy, byle uzyskać dla swoich synów odroczenie służby wojskowej.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock/Astrelok.com

eprasa.pl af555dd210

Farbowana ropa, farbowany gaz – wielka unijna hipokryzja

Europa z hukiem ogłasza kolejne sankcje na surowce energetyczne z Kremla. Ale jak wiadomo, brukselscy biurokraci potrafią doskonale godzić ideologię z pragmatyzmem – oczywiście o ile dotyczy to interesów Niemiec czy Francji, a nie reszty Europy. Oficjalnie „twarde sankcje", a w praktyce?

Rosyjska ropa i gaz płyną do Europy szerokim strumieniem, tyle że pod fałszywymi flagami. Unijna hipokryzja sięga zenitu – niemiecka rafineria w Schwedt dalej przerabia rosyjską ropę, a planowane „azerbejdżańskie" dostawy gazu przez Ukrainę to w rzeczywistości nic innego, jak kolejne obejście sankcji na rosyjskie paliwo. Gdy w 2022 r. Berlin ogłosił, że rezygnuje z importu rosyjskiej ropy rurociągiem Przyjaźń, można się było spodziewać, że niemiecka gospodarka pokaże światu, jak wygląda prawdziwa „strategiczna autonomia". No i pokazała. Tyle że nie niezależność od Moskwy, lecz własną hipokryzję. Bo choć rosyjska ropa rzekomo nie płynie już rurociągiem do Schwedt, to jakimś cudem niemieckie rafinerie wciąż pracują pełną parą. Jak to możliwe?

Oto magia „farbowanej" ropy. Niemcy postanowili, że skoro nie mogą kupować surowca z Rosji, zrobią to... przez pośredników. Przerzucili się na dostawy z Kazachstanu, tyle że kazachska ropa ma skład chemiczny ropy rosyjskiej i jest transportowana tym samym rurociągiem Przyjaźń. Ponadto Kazachstan nie ma takich mocy wydobywczych, by pokryć zapotrzebowanie niemieckiej rafinerii, a jednak cudownym trafem dostawy są realizowane. Czy ktoś jeszcze wierzy, że Niemcy faktycznie odcięli się od rosyjskiej ropy? Oczywiście, że nie – bo każdy, kto zna realia rynku surowców, wie, iż wystarczy zmienić fakturę i pieczątkę, by ropa nagle stała się „nierosyjska".

Polska, która faktycznie zrezygnowała z importu rosyjskiej ropy i ponosi z tego tytułu wysokie koszty, nie doczekała się żadnego wsparcia ze strony Unii. Tymczasem Niemcy pod przykrywką kazachskiego importu nadal kupują surowiec z Rosji, zapewniając sobie stabilne dostawy i niższe ceny. Bruksela milczy. Bo przecież, jak wiadomo, niemieckie interesy to „interesy strategiczne", a polskie – no cóż, to już „nacjonalizm energetyczny".

Jeśli ktoś myślał, że niemiecki trik z ropą to szczyt unijnej hipokryzji, musi jeszcze wiedzieć, jaka jest sytuacja z gazem. Oto Unia, która z wielkim zapałem deklarowała, że kończy z rosyjskim paliwem, szykuje się do sprowadzania go z Azerbejdżanu. Tym samym gazociągiem, którym od lat płynął gaz rosyjski. Europa planuje właśnie import rurociągami ukraińskimi „azerbejdżańskiego" błękitnego paliwa. W czym problem? W tym, że Azerbejdżan nie produkuje tyle gazu, by zaspokoić potrzeby Unii, a rurociąg biegnie przez Rosję – co oznacza, że po prostu będzie sprzedawać Europie rosyjski gaz jako swój. Co na to Bruksela? Oczywiście nic. Dla unijnych urzędników nie ma znaczenia, skąd pochodzi gaz – ważne, by oficjalnie nie był rosyjski.

Polska i kraje bałtyckie wydały miliardy euro na terminale LNG i dywersyfikację dostaw, podczas gdy Niemcy i Francja po prostu znaleźli sposób, by nadal kupować surowce od Rosji, tyle że pod zmienioną nazwą. Bruksela wspiera te działania, bo liczy się „stabilność dostaw", dzięki czemu niemiecki przemysł ma się dobrze, nawet jeśli oznacza to dalsze finansowanie Kremla. Dla jednych (w tym Polski) realne wyrzeczenia, dla innych – tylko zmiana etykiety na fakturze. Niemcy dalej przerabiają rosyjską ropę, Europa wciąż będzie kupować rosyjski gaz, a Komisja Europejska ma oczy szeroko zamknięte.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl af555dd210

Prosty wybór

Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatniej dekadzie względy bezpieczeństwa energetycznego, które stanowią jeden z filarów suwerenności państw, zostały zmarginalizowane za sprawą ideologii klimatycznej i utopijnej walki o powstrzymanie wzrostu temperatury na Ziemi narzucanej przez organizacje międzynarodowe. Porozumienie paryskie jest prawnie wiążącym traktatem w sprawie zmian klimatycznych przyjętym przez 196 stron w 2015 r. Nadrzędnym celem tego aktu jest utrzymanie „wzrostu średniej temperatury na świecie znacznie poniżej 2°C w stosunku do poziomu przedindustrialnego" i kontynuowanie wysiłków na rzecz „ograniczenia wzrostu temperatury do 1,5°C w stosunku do poziomu przedindustrialnego".

Średnia globalna temperatura w 2024 r. była o ponad 1,5°C wyższa od poziomu przedindustrialnego, przekraczając próg, którego Paryż miał unikać. W 2025 r. temperatury mogą ponownie spaść, ale w obecnej sytuacji istnieje duża szansa, przynajmniej według prognoz ONZ, że 1,5°C stanie się nowym poziomem minimalnym. Według ONZ emisje gazów cieplarnianych musiałyby spaść o 42 proc. do 2030 r. i 57 proc. do 2035 r., aby utrzymać tę granicę. Paliwa kopalne nadal dostarczają ok. 80 proc. światowej energii. Wprowadzenie tak radyklanych ograniczeń nie jest możliwe. Byłoby to groźne dla bezpieczeństwa międzynarodowego i sprzeczne z rosnącym światowym zapotrzebowaniem na energię oraz rzeczywistością, w której emisje gazów cieplarnianych rosną w Chinach i Indiach, Indonezji czy w Brazylii, Argentynie i Gujanie, które mają zamiar zwiększyć produkcję ropy i gazu.

Wszystkie państwa członkowskie UE ratyfikowały porozumienie paryskie. Aby osiągnąć stawiany przez nie cel, Unia uruchomiła strategię Zielonego Ładu i zobowiązała się do ograniczenia emisji CO_2 do 2030 r. o co najmniej 55 proc. w porównaniu z poziomem z 1990 r., by osiągnąć neutralność do 2050 r.

Wymuszona przez porozumienie paryskie i system ETS transformacja energetyczna jest co najmniej podwójnie kosztowna – zarówno ze względu na jej utrzymanie, jak i nieefektywność, czego dowodem jest np. konieczność uruchamiania elektrowni węglowych, gdy nie ma dostatecznych porywów wiatru lub promieniowanie słoneczne okazuje się niewystarczające do wygenerowania potrzebnej ilości energii. Europa biednieje i staje się niesuwerenna energetycznie.

Wśród rozporządzeń wykonawczych, które prezydent Donald Trump podpisał wkrótce po inauguracji, znalazło się to, które zadecydowało o wyjściu Stanów Zjednoczonych z paryskiego porozumienia klimatycznego. Administracja Trumpa 2.0 podkreśla konieczność przygotowania się na niepewne czasy i dlatego stawia na suwerenność energetyczną, zaprzestanie sztucznego ograniczania dostępu do źródeł energii oraz prawdopodobnie na rozwój eksportu paliw do państw sojuszniczych.

Państwa Unii Europejskiej stoją zatem przed prostym wyborem: albo kontynuują finasowanie zbrodniczego reżimu Władimira Putina i tak jak obecnie robią to Niemcy importują z Rosji LNG (w 2024. sześć razy więcej niż w 2023 r.), a Komisja Europejska wykreśla import tego paliwa z pakietu sankcji, albo jednoznacznie opowiadają się za pokojem i uniezależnieniem się od agresora, zwiększając import ze Stanów Zjednoczonych oraz rezygnując ze zgubnych dla bezpieczeństwa założeń porozumienia paryskiego i Zielonego Ładu.

Odejście od błędnej alokacji kapitału i wszechobecnych regulacji związanych z emisją dwutlenku węgla pobudziłoby wzrost gospodarczy, znalazłyby się także środki na wzmocnienie NATO. Wpływ przywództwa klimatycznego na gospodarkę Niemiec jest przestrogą przed tym, co ta rola może oznaczać. Kontynuowanie wygaszania gospodarki za pomocą systemu ETS i realokacja zasobów w kierunku tzw. technologii odnawialnych to działanie skierowane przeciwko naszym interesom geopolitycznym i ekonomicznym.

REKLAMA

12/0125/F

eprasa.pl af555dd210

Walizka Beaty Jakoniuk-Wojcieszak

coacha zdrowia, fitoterapeutki, rolniczki, zakochanej w życiu i ludziach szczęśliwej kobiety, autorki projektu Beatum Vita, czyli Szczęśliwe Życie

Zawsze lubiłam się przemieszczać, spotykać nowych ludzi, ale od jakiegoś czasu moje podróże są podporządkowane potrzebie poznawania i pogłębiania wiedzy o ziołach, fitoterapii, mądrym i zdrowym odżywianiu. Dlatego moja walizka wygląda tak, jakby pakowały się do niej dwie osoby: jedna zafascynowana ziołolecznictwem, ekologią w medycynie i psychodietetyką, oraz druga, bizneswoman – czyli eleganckie ubrania do wywiadów, wykładów i kręcenia rolek. To się łączy, bo życie łączy, a my jesteśmy bogaci w swojej różnorodności. Największą podróż, jaką odbyłam bez mapy i z wieloma niewiadomymi, to droga od ciężkiej choroby i przyjmowania sterydów do szczęśliwego życia (*beatum vita*), przestrzeni, którą tworzę i świadomości, że zła diagnoza to nie wyrok. Poszukiwanie zdrowia nauczyło mnie, że jeśli poprosimy, to dostaniemy, ponieważ z natury jesteśmy powołani do szczęścia i zdrowia, chodzi tylko o to, żeby wracać do swojej natury. Stąd u mnie gospodarstwo i rodzinne podróże między Baryczą a Nadarzynem i Warszawą. To uczy także łączenia dwóch perspektyw – wielkiego miasta i pięknej maleńkiej wsi, bo wewnętrznie tęsknimy do natury, zieleni, lasu, spokoju, zadumy, czystych wschodów słońca.

APASZKA

Prezent na Dzień Matki od czwórki dzieci: Szymka, Marty, Zosi i Ewy. Na tej jedwabnej apaszce jest namalowana historia Polski, żebym pamiętała, skąd pochodzę i dokąd zmierzam.

UZDROVISCO

Olejowe serum różane. Sięgam po kosmetyki dobre, bo z NATURY. Sprawdza się w każdych warunkach. Znam człowieka, który za tym stoi – to Monika Spinek. Ona i jej cała rodzina jest wpisana w odpowiedzialność za pokolenia przyszłości. Czerpią z natury i dają naturze.

BRANSOLETKA

Wykonana przez wiceprezes mojej Fundacji ECOLOGICZNIE Kasię Radzio, kobietę renesansu. Lubię zakładać tę kunsztownie wykonaną makramę, bo czuję, że została wykonana z miłością i z miłości.

eprasa.pl af555dd210

BUTY

Sama je kupiłam. Pasują do żakietu i jeansów. Znajdą się w każdej sytuacji – i na bankiecie, i na spacerze. Są uniwersalne, wygodne, ale mają w sobie nutę szaleństwa.

SEKATORY, TOREBKA

Każdy zielarz zawsze ma przy sobie sekatorek, papierową torbę i coś do pisania. Bo gdy pozyskujemy surowiec, o ile na początku jest rozpoznawalny, to po wyschnięciu możemy stracić pewność, co to za liście, kwiatki czy korzenie.

ZIÓŁKA

Zawsze mam ze sobą liść laurowy – doskonały przy biegunkach, kłącze tataraku (na dziąsła i świeży oddech) oraz ziele angielskie (na ból gardła). Zabieram też olejki – cytrynowy, lemongrass i manukę, która jest antyseptykiem. Ten ostatni wielokrotnie ratował mnie, a także innych ludzi, ponieważ manukę można stosować na rany.

ZAPAŁKI

Każdy powinien mieć zapałki, bo nigdy nie wiesz, gdzie będziesz potrzebował rozpalić ten ogień.

NOTES I DŁUGOPIS

Zawsze mam długopis z grawerem Beatum Vita, który dostałam od syna Szymona i synowej Marty. Z kolei notes jest z Białego Domu, który odwiedzili podczas podróży poślubnej. Zapisuję w nim pomysły, marzenia i plany Baryczy.

OJCIEC PIO I PAPIEŻ

Po śmierci naszego syna Filipa, Alicja Węgorzewska wyciągnęła mnie na pielgrzymkę do o. Pio. To było bardzo duchowe spotkanie przy grobie świętego. Pierwszy raz miałam okazję być tak blisko, dotknąć prostoty i całkowitego oddania. Z kolei gdy moja mama była na onkologii i nikt nie dawał jej szans, napisałam list do Ojca Świętego. Z watykańskiego sekretariatu przyszła odpowiedź, że papież się modli. Mimo wielogodzinnej skomplikowanej operacji mama żyje do dziś, ciesząc się dobrym zdrowiem.

KSIĄŻKI

Trzej autorzy są dla mnie kluczowi. Śp. dr. Tadeusz Błaszczyk, twórca Polskiej Szkoły Integracyjnej Medycyny Chińskiej i dr Henryk Różański, wspaniały fitoterapeuta, ziołowy geniusz. Trzecia osoba, której dużo zawdzięczam, to śp. Stefania Korżawska, która jako pierwsza wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Słuchaj, macierzanka to słońca kochanka. Sięgaj po nią!”.

KAMIZELKA, SUKIENKA

Mam bardzo długą puchową kamizelkę od niezwykłej Lari Yugai, twórczyni metody MajgenYu, która wie, że nerki są dla kobiety kluczowe. Jedwabną sukienkę w ziołowe motywy dostałam od męża.

BREWIARZ

Należący do mojej babci Władzi, niesamowitej kobiety. Jej dom był zatopiony w kwiatach i ziołach. Wtedy nie doceniałam tej wiedzy. W brewiarzu na karteczce jest modlitwa o dobrą śmierć. Babcia dożyła prawie 100 lat i zmarła 8 grudnia, w Dzień Miłosierdzia.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun

prasa.pl af555dd210

Popcorn buntu

Samuel Pereira

Na stole wylądował popcorn. Wcale nie w kinie i nie dla rozrywki, tylko na konferencji prasowej ministra Marcina Kierwińskiego w Ławicy, gdzie poszkodowani przez powódź przedsiębiorcy przyszli szukać odpowiedzi, a trzy miesiące po powodzi dostali... kolejne obietnice. Barbara Glińska ze Stowarzyszenia Wrzesień 2024, która przyniosła na to wydarzenie popcorn, nawet nie musiała nic mówić. Kukurydziane chrupki zrobiły za nią całą robotę – stały się symbolem spektaklu politycznego, w którym widzowie są jednocześnie ofiarami.

Gdy we wrześniu 2024 r. powódź zabrała dorobek życia setek przedsiębiorców, premier Donald Tusk obiecywał szybkie i skuteczne działania. Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej zapewniało, że pomoc nadejdzie. W końcu powstał fundusz wsparcia przedsiębiorstw dotkniętych powodzią z możliwością umorzenia pożyczek do 90 proc. Tyle że rzeczywistość boleśnie zweryfikowała te deklaracje. Barbara Glińska prowadząca hotel Przy Żelaznym Moście dowiedziała się, że nie dostanie od państwa żadnego prezentu – całe 3,5 mln zł, które miało być jej ratunkiem, widnieje w harmonogramie spłat w równych ratach. Umarzane są tylko odsetki. Państwo miało pomagać, a zaserwowało przedsiębiorcom finansową pułapkę.

Nie dziwi więc, że protesty zaczęły nabierać na sile. „POMOCY, TONIEMY", „PAŃSTWO OBIECUJE, PRZEDSIĘBIORCA BANKRUTUJE" – transparenty na spotkaniu ministra Kierwińskiego w Kłodzku mówiły wszystko. Oburzeni przedsiębiorcy pojawili się w koszulkach z hasłami oskarżającymi rząd o bezczynność. Przy okazji objawił się nowy symbol tej bezsilnej walki z morzem obietnic i kłamstw – miska popcornu. Rząd traktujący ich tragedię jak spektakl zobaczył, że ci „widzowie" nie zamierzają siedzieć cicho i ostatnio musiał ich nawet dopuścić do głosu na konferencji, czego wcześniej odmawiał. Protesty wchodzą na nowy poziom, a gniew narasta. Zamiast realnej odbudowy premier Tusk skazał obywateli z rejonów popowodziowych na... Marcina Kierwińskiego. Już to jest tragifarsą, której i bez kukurydzianego przysmaku coraz ciężej się przyglądać.

Ekipa od gaf i fałszywych tytułów

Rząd Tuska przypomina Titanica tuż przed zderzeniem z górą lodową. Orkiestra gra, pasażerowie jeszcze tańczą, ale w kotłowni już czuć panikę. Nawet najbardziej zagorzali zwolennicy tej ekipy zaczynają dostrzegać, że za sterem nie stoi odpowiedzialny kapitan, a raczej grupa gapowiczów, którzy nie tylko nie umieją prowadzić statku, lecz także nie wiedzą nawet, w którą stronę płyną.

Weźmy choćby minister edukacji Barbarę Nowacką, która opowiada o tym, jak „polscy naziści" wybudowali w Polsce obozy koncentracyjne. Przejęzyczenie? Nie sądzę, skoro to „przejęzyczenie" było zapisane w materiałach i minister odczytała je z kartki.

Idźmy dalej. Kolejna gwiazda tej ekipy, minister Kotula, przez lata podawała się za magistra, choć nie posiada takiego tytułu. Robiła już nawet doktorat. Na Collegium Humanum? Jeśli nie potrafi wpisać prawdy do własnego CV, to jaką wiarygodność ma przed wyborcami? Ostatnio nawet, nie mając chyba świadomości, że jest nagrywana, powiedziała, że temat zmiany płci jest ważny, ale nie będzie podejmowany przed wyborami prezydenckimi.

Tymczasem minister Kierwiński, ten od pogłosu podczas święta strażaków, przyjeżdża na tereny powodziowe i robi, co może, czyli głównie zdjęcia oraz konferencje. Ludzie stracili dobytek, a on oferuje im frazesy, jakby to miało odbudować ich domy. MON gubi miny przeciwpancerne, które odnajdują się w sklepie z meblami, a sprawa wychodzi na światło dzienne po pół roku. Nie rządzenie zatem, a ratowanie wizerunku tej ekipy staje się jej codziennym, najważniejszym zajęciem.

A skoro mowa o wizerunku – minister Leszczyna, która obiecywała, jak uzdrowi polską opiekę zdrowotną, odpowiada teraz za coraz dłuższe kolejki do lekarzy, cięcia w finansowaniu badań i leków. Ale co zrobić, skoro objęła resort, którego tak naprawdę nie chciała, ale chęć posiadania na drzwiach tabliczki „minister" przeważyła nad kompetencjami. Gdy do tego dochodzi minister Hennig-Kloska, która zaoferowała powodzianom oprocentowane pożyczki, a lobbystom z Niemiec interes życia, można odnieść wrażenie, że rządzący mają wręcz lichwiarski stosunek do Polaków.

To rząd, który jest polityczną szopką – z ministrami od gaf, ministrem od pozorów i ministrem od fałszywych tytułów. A Tusk? Niczym reżyser tego chaosu stoi na mostku kapitańskim i udaje, że wszystko idzie zgodnie z planem. Premier ma jednak na to receptę. Igrzyska dla swoich najbardziej zagorzałych wyznawców. Areszty, łapanki, rozliczenia pisowców..., którzy umieli zawiadywać tym statkiem. Pytanie tylko, jak długo pasażerowie tego okrętu będą wierzyć, że nie idą na dno.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl af555dd210

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Cały rząd przejęzyczeń

Jan Pietrzak

Z okazji tragicznej rocznicy niemieckiej zbrodni ministerium edukacji oświadczyło, że to polscy naziści zbudowali obóz zagłady Auschwitz. Po gromkim proteście publiczności, wyjaśniło ono, że te słowa były przejęzyczeniem. A przecież po roku urzędowania widać, iż cała edukatorska działalność jest przejęzyczeniem, delikatnie mówiąc. A po prawdzie, coś tak durnego nie zarządzało jeszcze polską oświatą. Każdy dzień urzędowania jest głupszy od poprzedniego. Patrząc szerzej, każda decyzja jest bardziej obelżywa dla społeczeństwa od poprzedniej. Żadne problemy płciowe nie mają z tym nic wspólnego. Są jedynie celowym odwracaniem uwagi fatalnego rządu od nierządu, czyli od swojej proweniencji. Wracam zatem do formuły „ONO". Jako prekursor niwelowania konfliktów płciowych, klasowych, rasowych w życiu publicznym, mam do tego prawo jak nikt inny.

Już w latach 70. ub.w., a nawet tysiąclecia, opowiadałem jak to ONO się zgromadziło, uchwaliło i zarządziło np., że rzuci na rynek pudełko sardynek albo wprowadzi podatek od zadatku lub zadatek od podatku na malucha, bądź skieruje Inspekcję Robotniczo-Chłopską (IRCHA) na bazary i targowiska, gdzie grasują imperialistyczni agenci, handlujący dolarami... itp. ONO pilnowało, łapało, karało... Od tego było. Nie nadawało się do innej roboty. Nawet nie miało ambicji, by udawać wykształciucha.

Po latach szalonych przemian III RP ONO chce być magistrem albo nawet niedorobionym doktorantem. Dlatego jest w rządzie. Może być tępe i niekumate, ale z tytułem. Nawet jak się przejęzyczy, ma dyplom i złapie od Neumana jakąś fuchę, przeczeka, trzymając się władzy jak pijany płotu. Dlatego w ostatnich dniach furorę robi projekt podatku od płotów. Nawet się zastanawiałem, czy to nie kolejne przejęzyczenie. Może chodzi o DODATEK do płotów? Płotów jest dużo. W niektórych miejscowościach dominują nad plenerem, a bywają nieestetyczne. Gdyby o nie zadbać, nadać oryginalny styl, byłaby to widoczna renowacja okolicy! Ale nie, chodzi jednak o wyłudzenie pieniędzy, a nie inwestycje w krajobraz. Nawet jak podatek będzie niewielki, per saldo kasa ogromna. Jak z VAT na żywność: jednostkowo suma niewielka, ale jedzą wszyscy i codziennie. Pamiętamy, że mechanizm podkradania VAT ONO przećwiczyło już w dawnej kadencji. Teraz też nie odpuści.

Ale naturalnie to są tylko spekulacje, bo ONO rządzące Polską obecnie jest niemieckie, co chyba nie jest przejęzyczeniem. Kradnie drzewo w naszych lasach. Podrzuca nielegalnych imigrantów. Sabotuje inwestycje na Odrze i Bałtyku. Degeneruje szkoły. Likwiduje niezbędne inwestycje, jak CPK i terminal Małaszewicze. I tak dzień po dniu, długo można wyliczać... Byle szybciej, zanim Polacy się połapią. No właśnie...

Co zrobiłem, czego doświadczyłem

Z aktorem Piotrem Głowackim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od kiedy sam odbierał pan tę nagrodę za rolę w filmie „Dziewczyna z szafy", minęło 12 lat...

Piotr Głowacki: Znaczące jest dla mnie, że jestem już w wieku, którego nie dożył Zbyszek Cybulski. Jestem starszy o pięć lat.

Tym razem, prowadząc galę, trzymał pan w napięciu pięcioro tegorocznych nominowanych: Sandrę Drzymalską, Michalinę Olszańską, Jędrzeja Hycnara, Filipa Pławiaka i tegorocznego zwycięzcę Juliana Świeżewskego. Co daje młodemu aktorowi Nagroda im. Zbyszka Cybulskiego?

Mówi, że czas upływa, że nasz zawód dzieje się w czasie, opowiada o czasie, człowieku, który buduje dramat z czasu i dramat w czasie, więc czas i jego doświadczanie są bardzo istotne. Tak jak to, że dzięki tej nagrodzie moja młodość zostaje zapisana w historii. Wraz z tym, co zrobiłem, czego doświadczyłem. Teraz można zacząć kolejny etap.

Pan już wie, że nie zawsze dostaje się nagrody za role, którym oddało się moc talentu, serce, poświęcenie... Myślę m.in. o pańskiej kreacji w filmie „Mistrz" (2020).

Podzieliłem się na Instagramie krótką refleksją i zdjęciami z planu. Przygotowując się do roli pięściarza Tadeusza Pietrzykowskiego, spędziłem w muzeum obozu Auschwitz kilka dni i nocy. Zapraszam do zapoznania się także z reakcjami widzów, które znalazły się pod wpisem.

Co teraz przed panem?

Premiera dwóch filmów: „100 dni do matury" i drugiej części „Detektywa Bruno". To w kinach, a w TVP serial familijny „Pan mama". I cały czas rozwijam działalność Fundacji Dajesz! oraz Jurajskiej Republiki Wspinaczkowej.

Fot. Artrama, fot. Karina Szymczuk

eprasa.pl af555dd210

Król jest nagi!

Ekspansję naszej cywilizacji mimo cyklicznych wojen, kataklizmów, pandemii, klęsk żywiołowych i innych perturbacji charakteryzował rozwój nauki, wzrost gospodarczy, dodatnia demografia i poprawa jakości życia. Słowo „mimo" nie oddaje istoty sprawy – progres wynikał również z tego, że walka z trudnościami mobilizowała Europejczyków i Amerykanów do wytężonej pracy (intelektualnej, fizycznej). Mieszkańcom Starego Kontynentu i USA nigdy wcześniej nie żyło się tak komfortowo jak dziś. I z tego dobrobytu ludziom poprzewracało się w głowach.

Po II wojnie światowej, przy braku zagrożeń i stabilizacji stopy życiowej na całkiem przyzwoitym poziomie, cofamy się (cywilizacyjnie) na całej linii. I to na własne życzenie! Zapaść gospodarcza wywołana wdrażaniem irracjonalnego Zielonego Ładu, ujemny przyrost naturalny jako efekt genderowego rozprzężenia i kuriozalne zasiedlanie Europy wrogimi nam migrantami owocują spadkiem naszego bezpieczeństwa i przyspieszonym zubażaniem społeczeństwa. Lewacka „tresura" całych narodów ruguje z przestrzeni publicznej dyskurs, wartości chrześcijańskie, prawa naturalne i najzwyklejszy zdrowy rozsądek. Zwycięski marsz neomarksistów przez instytucje (kultura, edukacja, polityka) pozwala im formatować nowe pokolenia na bezmyślnych konsumentów. Kary za „brak tolerancji" i „mowę nienawiści" mają wywołać w społeczeństwie efekt mrożący. Dlatego deklarację Donalda Trumpa (o istnieniu tylko dwóch płci) przyjąłem z ulgą, ale i wstydem. Porządek rzeczy, znany od pokoleń każdemu średnio rozgarniętemu dziecku (a skutecznie podważany przez ideologów z profesorskimi tytułami!), musi być teraz przywracany dekretem prezydenta największego mocarstwa świata!

PS Stan ogłupienia zarówno elit, jak i pospólstwa opisał wiele lat temu znany bajkopisarz Hans Christian Andersen. W bajce „Nowe szaty króla" jedynie mały chłopiec nie dał się omamić krętaczom, konkludując wbrew mainstreamowi: „Król jest nagi!".

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE SIECI: ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, IPN, DOMENA PUBLICZNA, SHUTTERSTOCK/WONGSAKORN DULYAVIT, REFLUENCE, MARCO TIBERIO, WAVEBREAKMEDIA, HOLWICHAIKAWEE, ANDREY_POPOV, NEW AFRICA, ANNA TRONOVA, GETMILITARYPHOTOS

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl af555dd210

CZYTAJ WSZYSTKO, CO TERAZ WAŻNE

kampania wyborcza
bezpieczeństwo
wojna
drożyzna
kryzys finansowy
służba zdrowia

WYBIERZ ROCZNĄ SUBSKRYPCJĘ

SIECI + wPolityce.pl Premium + 50% TANIEJ!

- mnóstwo do czytania, bo **nawet 3 000 tekstów rocznie**
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl af555dd210

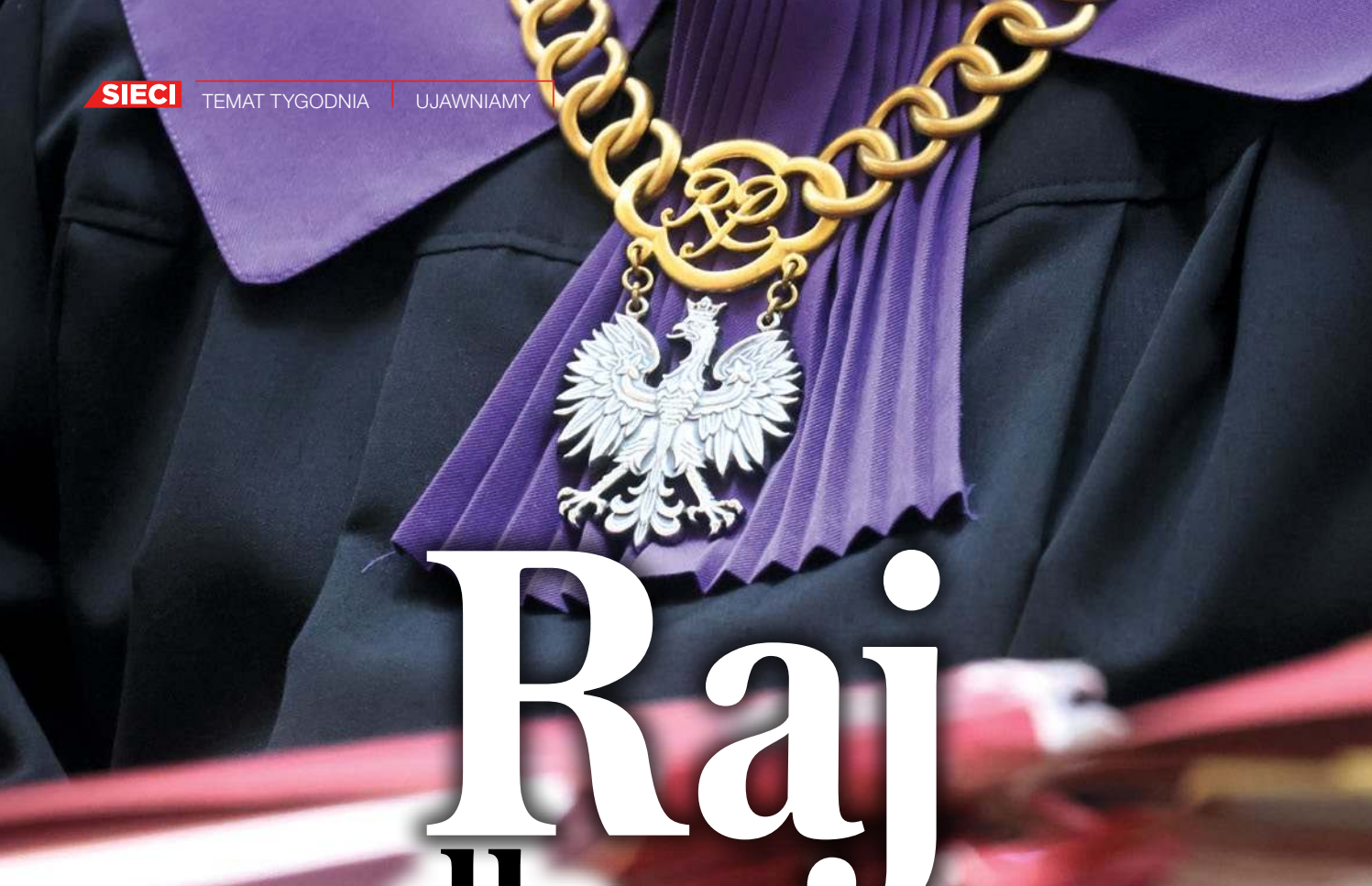

Raj dla bandytów

Gangsterzy, mordercy, złodzieje – spora grupa przestępców ma powody do radości. Sąd Najwyższy masowo uchyla skazujące ich wyroki. Pretekstem jest bezprawne podważanie statusu sędziów orzekających we wcześniejszych instancjach. Ujawniamy szokujące przypadki pobłażania bandytom w imię politycznej wojny

MAREK PYZA

Wszystkie te decyzje zapadają wbrew obowiązującemu prawu. Sędziowie Sądu Najwyższego sami przyznają sobie prawo do decydowania, który sędzia może orzekać, a który nie. Od lat ostrzegano, że takie działanie doprowadzi do bezkarności najgroźniejszych przestępców. I to się właśnie dzieje.

Część sędziów SN ma to za nic. Naruszają nie tylko konstytucję, przepisy o ustroju sądów, wyrok Trybunału Konstytucyjnego (w 2020 r. uznał on za niekonstytucyjną tzw. uchwałę trzech połączonych izb Sądu Najwyższego, na którą powołują się sędziowie przy tego typu uchyleniach), lecz także uprawnienia prezydenta (żadnemu nominowanemu przez niego sędziemu inny sędzia nie może podważać statusu).

W efekcie w niektórych przypadkach przestępcy wychodzą na wolność, w innych czyny, za które zapadły już prawomocne wyroki, się przedawniają. W najgorszym dla skazanych przypadku dostają oni więcej czasu na sądowe batalie, a więc kolejną szansę na uniknięcie kary.

Fot. PAP/Leszek Szymański

eprasa.pl af555dd210

RECYDYWA? NIE SZKODZI

Andrzej Z. „Bebol" był uznawany za jednego z najwierniejszych członków bezwzględnej lubelskiej grupy przestępczej Roberta K. „Ciola". Tego ostatniego nazywano specjalistą od tortur i zabijania. Ma na koncie wiele wyroków, w tym potrójne dożywocie. O wolności może zapomnieć. Jeden z sądów pisał w wyroku: „Robert K. to bandyta. Potrafi tylko zabijać i rabować, dlatego należy na trwałe odizolować go od społeczeństwa". Jego niemieckie procesy transmitowała telewizja.

Obaj prężnie działali w latach 90. W 1992 r. „Bebol" uczestniczył w napadzie na dyrektora hurtowni, mężczyzna zginął. Miesiąc później napadł na małżeństwo w Mannheim, gospodarza uduszono. Rok później napadł na dom w Świdniku, tam też ofiara straciła życie. Za każde z tych przestępstw został skazany na 15 lat więzienia. Ile przestępstw pozostało nieosądzonych?

Na pewno to z 1 marca 1993 r., gdy wraz z innymi gangsterami grupy „Ciola" napadł na dom starszego małżeństwa w podwarszawskich Markach. Pilnującego nieruchomości emerytowanego policjanta postrzelili w brzuch. Obecną na miejscu gosposię skrępowali. Właścicielka po powrocie do domu została obezwładniona. Gdy nie chciała powiedzieć napastnikom, gdzie znajdą pieniądze, była przypalana żelazkiem (była to jedna z wizytówek gangu). Do ust włożono jej lufę pistoletu. Oddała kosztowności warte ok. 70 tys. zł. Po torturach nie odzyskała już sił, zmarła kilka miesięcy później.

„Bebol" znów cieszył się wolnością – wykorzystał przepisy o łączeniu kar za przestępstwa, według których nie można było mu wymierzyć łącznie więcej niż 15 lat – gdy w 2016 r. został zatrzymany dzięki zeznaniom gangstera współpracującego z organami ścigania. Trzy lata później zapadł pierwszy wyrok. Do rozboju z użyciem broni w Markach śledczy dołożyli mu udział w napadzie rabunkowym i zabójstwie w Niemczech, a sąd orzekł łącznie 20 lat więzienia.

Dwa lata później Sąd Apelacyjny złagodził wyrok, uniewinniając oskarżonego od zbrodni za granicą, a nakazując pozbawienie go wolności przez osiem lat za rozbój w Markach. Obrońcy „Bebola" wnieśli kasację do Sądu Najwyższego. I tu pojawiają się sędziowskie pomocne dłonie, przyjaźnie wyciągnięte do recydywistów.

11 stycznia 2023 r. Sąd Najwyższy w trzyosobowym składzie ze znanym sędzią Michałem Laskowskim, byłym rzecznikiem SN, jako przewodniczącym oraz Piotrem Mirkiem i Pawłem Wilińskim zdecydował uchylić wyrok Sądu Apelacyjnego z 2021 r. i przekazać sprawę do ponownego rozpoznania przez SA. Powód? „Wadliwie ukształtowany skład sądu". Sędziom SN nie podobało się, że na pięciu członków składu w II instancji dwóch to sędziowie powołani na podstawie zmienionych w 2017 r. przepisów o KRS.

> Obrońcy Andrzeja Z. „Bebola", członka bezwzględnej lubelskiej grupy przestępczej, wnosząc kasację, wskazywali na przesłanki merytoryczne, nie zaś skład sędziowski. SN podjął jednak decyzję odnoszącą się wyłącznie do obsady sądu II instancji

Co ciekawe, obrońcy oskarżonego, wnosząc kasację, wskazywali na przesłanki merytoryczne, a nie skład sędziowski. SN podjął jednak decyzję odnoszącą się wyłącznie do obsady sądu II instancji. I zdecydował, że napad w Markach pozostaje nieosądzony od 32 lat.

NADZIEJA DLA KAŻDEGO WYROKOWCA

20 listopada Sąd Najwyższy (w składzie: Tomasz Artymiuk, Piotr Mirek, Włodzimierz Wróbel) uchylił wyrok w sprawie usiłowania zabójstwa i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia przez sąd I instancji. To tym bardziej szokujące, że pełnomocnicy oskarżonego chcieli jedynie uchylenia wyroku Sądu Apelacyjnego, a najwyższa instancja poszła jeszcze dalej, samodzielnie dopatrując się niewłaściwego obsadzenia składu pierwszego sądu, który zajmował się sprawą.

Rzecz dotyczyła próby zabójstwa młodej kobiety przez jej chłopaka w 2021 r. Sąd Okręgowy tak opisał czyn oskarżonego: „[...] przewrócił ją na podłoże trawiaste, a następnie przygniótł swoim ciałem i dusił ją rękoma, ściskając za szyję, po czym z dużą siłą wielokrotnie kopał ją obutą nogą w głowę oraz uderzał pięściami w głowę, nawet po utracie przez nią przytomności wskutek kolejnego kopnięcia [...]". Dalej następuje siedem wersów opisu poważnych obrażeń kobiety. Przed śmiercią uratowała ją utrata przytomności. Napastnik sądził bowiem, że jego ofiara już nie żyje i tylko dlatego przestał ją maltretować. Sąd Najwyższy wiedział, że ten przestępca powinien siedzieć w więzieniu, bo kilka miesięcy wcześniej odrzucił wniosek obrońców o wstrzymanie stosowania kary. Wiedział, że należą mu się lata odsiadki, a jednak dał mu jeszcze jedną szansę na obronę w całym cyklu procesowym przed wszystkimi instancjami. Wszystko w imię walki politycznej.

Miesiąc wcześniej, 18 października 2024 r., Sąd Najwyższy (w składzie: Dariusz Kala, Tomasz Artymiuk, Paweł Wiliński) uchylił wyrok Sądu Apelacyjnego w Lublinie w głośnej sprawie Pawła K. skazanego na 15 lat więzienia za usiłowanie zabójstwa. W 2019 r. 34-letni wówczas mężczyzna podpalił w Ostrowcu Świętokrzyskim dom prawniczej pary – sędzi oraz jej męża prokuratora (udało im się uciec z pożaru). Czyn był próbą zemsty, bo poszkodowana sędzia wcześniej orzekała w sprawie Pawła K. Wnosząc kasację, obrońcy oskarżonego poskarżyli się na nieprawidłową obsadę sądu II instancji, lecz zdecydowaną większość ich pisma – kilkanaście stron – poświęcono na merytoryczne zarzuty do wcześniejszych wyroków. Sąd Najwyższy nawet ich nie rozważał. Na sześciu stronach uzasadnienia zajął

eprasa.pl af555dd210

się wyłącznie składem sędziowskim, ani słowem nie odnosząc się do innych kwestii. Podkreślmy: rzecz dotyczyła przestępcy wielokrotnie uznawanego w więzieniach za niebezpiecznego i odsiadującego wyrok w warunkach przeznaczonych dla takich osadzonych. Dodajmy, że i w tym przypadku, podobnie jak w poprzednim, kilka miesięcy wcześniej SN odrzucił wniosek obrońców o wstrzymanie stosowania kary.

Kolejna sprawa, zamiast się zakończyć, dostała nowe życie 2 października 2024 r. Tym razem sędziowie Marek Pietruszyński, Jarosław Matras i Włodzimierz Wróbel uchylili wyrok ośmiu lat pozbawienia wolności za usiłowanie zabójstwa. Warto podkreślić, że pełnomocnik skazanego podnosił w kasacji zarzut naruszenia standardu kontroli odwoławczej, a nie dotyczący składu sądu. SN wykazał się więc gorliwością większą od obrońców przestępcy.

Kolejny przypadek, do którego dotarliśmy, dotyczy przestępstw gospodarczych na kwotę 1,6 mln zł i wyroku skazującego na 2 lata więzienia. Tu Sąd Najwyższy (w składzie: Dariusz Świecki, Andrzej Tomczyk, Paweł Wiliński) szczegółowo opisał, co mu się nie podoba w wyroku skazującym Sądu Apelacyjnego. Warto szerzej zacytować uzasadnienie uchylenia wyroku. Otóż wspomniani sędziowie utyskują nie tylko na fakt, że sędzia Sądu Apelacyjnego została powołana według znowelizowanych przepisów o KRS, lecz także na „obdarzenie jej przez kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości dużym zaufaniem". Stwierdzili też arbitralnie: „Dostrzegalne związki z Krajową Radą Sądownictwa oraz Ministerstwem Sprawiedliwości, a przede wszystkim akceptacja bezprawnych działań związanych z tzw. reformami sądownictwa powodują swoisty dysonans. Nie można wszakże wskazywać, iż sąd jest niezależny i bezstronny, gdy członek jego składu zawdzięcza swoją pozycję w strukturach wymiaru sprawiedliwości bliskim, bezkrytycznym relacjom z władzą wykonawczą czy ustawodawczą. Wobec tego, że każdy obserwator wymiaru sprawiedliwości może dostrzec, iż ścieżka awansu zawodowego sędziego zależna jest od zbieżności jego postępowania z oczekiwaniami władzy, nie jest dopuszczalne jednoczesne uznanie, że w innej sferze aktywności, w tym orzekaniu, te zbieżności zupełnie znikają".

Zarzucają sędzi – bez jakiegokolwiek dowodu! – zależność od władzy wykonawczej. Powód? Jej podpis pod listami poparcia dla kandydatów do KRS niepoprawnymi w oczach kasty sędziowskiej. Tak w praktyce realizuje się uzurpacja praw, anarchia i gwałcenie podstawowych zasad rządzących wymiarem sprawiedliwości.

> SN wiedział, że ten przestępca powinien siedzieć w więzieniu, bo kilka miesięcy wcześniej odrzucił wniosek obrońców o wstrzymanie stosowania kary. Dał mu jednak jeszcze jedną szansę na obronę w całym cyklu procesowym przed wszystkimi instancjami. Wszystko w imię politycznej walki

Dodajmy, że kilka miesięcy wcześniej Sąd Najwyższy w jednoosobowym składzie reprezentowanym przez Tomasza Artymiuka wypuścił skazanego z więzienia, zakładając, że w październiku jego koledzy uwzględnią kasację i uchylą wyrok.

KASTA DBA O „BABCIĘ KASIĘ"

20 listopada 2024 r. SN w składzie: znany nam już Piotr Mirek (przewodniczący), Jerzy Grubba, Włodzimierz Wróbel uchylił wyrok z grudnia 2023 r. w sprawie Katarzyny Augustynek. Sąd Apelacyjny odrzucił wówczas odwołanie znanej z awanturowania się na ulicach „Babci Kasi", która domagała się podwyższenia odszkodowania za niesłuszne zatrzymanie 26 marca 2021 r.

Sąd Okręgowy przyznał jej rekompensatę w wysokości 2 tys. zł, lecz kobieta domagała się czterokrotności tej kwoty. Sąd Apelacyjny nie przychylił się do jej wniosku i uznał, że policjanci działali prawidłowo, a działaczce ulicznej nie należą się żadne pieniądze.

Dodajmy, że w innym procesie dotyczącym tego wydarzenia Augustynek została skazana na prace społeczne za naruszenie nietykalności policjantów. Za co? Szczegóły odnajdujemy w uzasadnieniu orzeczenia Sądu Apelacyjnego w sprawie o zadośćuczynienie: „Ponieważ kobieta nie reagowała na polecenia zaprzestania działań niezgodnych z porządkiem prawnym, poproszono ją o okazanie dokumentu tożsamości. Wnioskodawczyni odmówiła, oświadczając, że nie będzie stosowała się do poleceń policjantów, nazywając ich gówniarzami bez honoru. W pewnym momencie doszło do odpychania świadka H. przez K.A. i szarpania przez nią za kamizelkę taktyczną funkcjonariusza [...]. Jednocześnie do kolejnego funkcjonariusza, który pojawił się na miejscu interwencji, S..., zwróciła się słowami »ty kuta...e pierd...ny«. W związku z faktem naruszenia nietykalności cielesnej i znieważenia funkcjonariuszy przy jednoczesnej odmowie okazania dokumentu tożsamości podjęta została decyzja o zatrzymaniu K.A.".

W sprawie o odszkodowanie sędziom w SN nie spodobał się fakt, że w SA orzekała Izabela Szumniak, powołana na mocy znowelizowanych przepisów o KRS. To ta sama sędzia, która wydała wyrok skazujący w procesie odwoławczym Tomasza Arabskiego, uchylony później przez Sąd Najwyższy.

Ten zaś skandaliczny wyrok zapadł 12 grudnia 2023 r. Trójka sędziowska w składzie: Jarosław Matras, Małgorzata Wąsek-Wiaderek, Eugeniusz Wildowicz uznała, że sędzia Szumniak nie jest bezstronna, więc jej wyrok na byłego szefa KPRM należy uchylić i nakazać Sądowi Apelacyjnemu ponowne rozpatrzenie sprawy. Rok później SA ostatecznie i prawomocnie uniewinnił Arabskiego, skazanego wcześniej dwukrotnie na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata za niedopełnienie obowiązków w czasie peł-

eprasa.pl af555dd210

nienia funkcji szefa kancelarii premiera i wyrażenie zgody na wylot samolotów o statusie HEAD (był koordynatorem takich lotów) na nieczynne lotnisko w Smoleńsku. Wydawało się, że Arabski będzie jedynym ważnym urzędnikiem państwowym, który poniesie jakiekolwiek konsekwencje prawne swoich zaniedbań w związku z wyjazdem prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Katynia.

LAWINA BEZPRAWIA

Wspomniane wyżej sprawy, w większości nieopisywane dotychczas w mediach, to tylko drobny wycinek szalenie niebezpiecznej rzeczywistości budowanej przez sędziów Sądu Najwyższego. Przed tygodniem SN opublikował komunikat, w którym informował, iż w latach 2022–2024 w 155 sprawach (w tym 129 wyrokach kasacyjnych) uchylano zaskarżone orzeczenia i przekazywano sprawę do ponownego rozpoznania tylko z powodu składu sądu, który wydał to orzeczenie, bez jakichkolwiek zastrzeżeń co do merytorycznej jego poprawności. Tylko w ub.r. takich spraw było 120 (w tym 99 wyroków kasacyjnych).

SN wskazał kilka szczególnie bulwersujących przypadków. W jednym skazany za zabójstwo oraz rozbój (na 25 lat więzienia) będzie miał ponownie rozpoznawaną sprawę. Z rozpędu wyrok uchylono również względem współsprawcy (6,5 lat pozbawienia wolności), który... nawet nie wnosił kasacji! Tę wielkoduszną decyzję podjęli znani nam już sędziowie Mirek, Laskowski i Wąsek-Wiaderek.

W kolejnej sprawie sędziowie Barbara Skoczkowska, Waldemar Płóciennik oraz Paweł Wiliński uchylili wyrok dotyczący zorganizowanej grupy przestępczej, w której oskarżonych było prawie 30 osób, a zarzuty dotyczyły m.in. przestępstw narkotykowych. Tu sytuacja jest tym bardziej skandaliczna, że prawomocny wyrok SA w Warszawie został zaskarżony kasacją, którą Sąd Najwyższy oddalił jako oczywiście bezzasadną. Postępowanie kasacyjne zostało jednak wznowione (z powodu składu sądu) i przy ponownym rozpoznaniu wyrok został uchylony. Skutkiem tego orzeczenia jest przedawnienie karalności znacznej części przestępstw zarzucanych oskarżonym. To zagrożenie widział na horyzoncie Sąd Apelacyjny, który aby jak najszybciej wydać prawomocny wyrok, prowadził sprawę w okresie pandemii równolegle na trzech salach. Na próżno.

Następne trzy przykłady wskazane w komunikacie SN dotyczyły pobłażliwości wobec sprawców zabójstw, usiłowania zabójstwa i spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu – uchylone wyroki wynosiły od 15 lat do dożywocia. Orzekali tu: Matras (dwukrotnie), Wildowicz (dwukrotnie), Wąsek-Wiaderek (dwukrotnie), Płóciennik, Grubba, Skoczkowska, Wiliński oraz nowa postać w naszym panteonie: Andrzej Stępka.

Żadnej z tych spraw Sąd Najwyższy nie badał pod względem merytorycznym.

> W latach 2022–2024 w 155 sprawach (w tym 129 wyrokach kasacyjnych) uchylano zaskarżone orzeczenia i przekazywano sprawę do ponownego rozpoznania tylko z powodu składu sądu

GETTA W SĄDACH

Jak widać, powtarzają się nazwiska wąskiej grupy sędziów, która hurtowo uchylając wyroki, niszczy wymiar sprawiedliwości. Sędziowie powołani na podstawie zmienionych przepisów o KRS są nazywani „neosędziami" i traktowani niemal jak przestępcy, którzy wyłudzili posady. Dodajmy, że stanowią oni ok. 25 proc. wszystkich sędziów orzekających w polskim wymiarze sprawiedliwości. Próbuje się więc ten system wywrócić, *de facto* odbierając jednej czwartej możliwość orzekania.

Patologiczne praktyki osiągają apogeum w sądownictwie warszawskim. Tu Adam Bodnar po wielomiesięcznej batalii doprowadził w sierpniu do zmiany prezesa Sądu Okręgowego – głosowanie sędziów wyjątkowo było imienne, a obrady obserwowali wiceminister sprawiedliwości Dariusz Mazur (zdaje się, że jako nadzorca polityczny) oraz szefowa kadr z resortu sprawiedliwości.

A nowa prezes Beata Najjar doprowadziła właśnie do utworzenia w największym polskim sądzie swoistego getta dla nieuznawanych sędziów. Ci bowiem, którzy zostali powołani po 2017 r., mają trafić do specjalnej sekcji utworzonej w pionie karnym, do której nie będzie wpływać żadna ważna sprawa. Mają się nie zajmować procesami w pierwszej instancji, tylko np. rozpatrywać zażalenia na zarządzenia prokuratora czy wydawać postanowienia w sprawie wyroków łącznych. Co być może kluczowe, nie będą tu trafiać wnioski o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Wygląda to na przygotowanie gruntu pod kolejne polityczne śledztwa i plany władzy wsadzania za kraty przeciwników.

Pierwsza prezes Sądu Najwyższego grzmi, że to przymusowa segregacja sędziów i pozbawienie ich możliwości orzekania w najistotniejszych kategoriach spraw. „Działania tego typu noszą również znamiona jaskrawej dyskryminacji, przywodząc na myśl najmroczniejsze momenty w polskiej historii. Przełożą się one również negatywnie na sprawność rozpoznawania spraw w sądach powszechnych, pogłębiając przewlekłość postępowania spowodowaną blokowaniem przez ministra sprawiedliwości konkursów na wolne stanowiska sędziowskie w sądach powszechnych" – czytamy w stanowisku prof. Małgorzaty Manowskiej.

Tym jednak Tusk, Bodnar oraz przedstawiciele „nadzwyczajnej kasty" się nie przejmują. W ich wojnie może paść dowolna liczba ofiar. Środki uświęca cel – utrwalenie kumoterstwa i innych zwyrodnień w sądownictwie oraz zagwarantowanie władzy politycznej przyjaznego środowiska na kluczowych szczeblach wymiaru sprawiedliwości.

Czyli coś zupełnie przeciwnego do pojęć państwa prawa i demokracji.

eprasa.pl af555dd210

Pochwały za brudną robotę

Zniszczenie PiS to nadrzędny cel, wręcz obsesja Tuska. Chce on zasłużyć się w Europie jako ten, który brutalnie rozprawił się z przeciwnikami i uratował liberalną oligarchię przed utratą władzy. Dla tego celu jest gotów na wszystko, także na radykalne wolty światopoglądowe

Donald Tusk przedstawia w Parlamencie Europejskim priorytety polskiej prezydencji w Radzie UE, Strasburg, 22 stycznia 2025 r.

KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Pan wygrał. Polska powróciła do serca Europy. Skończył pan z rządami PiS. Przywrócił pan praworządność w Polsce" – pochwalił Donalda Tuska szef Europejskiej Partii Ludowej (EPP) Manfred Weber podczas niedawnego wystąpienia w Parlamencie Europejskim. „Kaczyński może teraz spokojnie przejść na polityczną emeryturę" – dodał.

Weber to szara eminencja nie tylko w niemieckiej polityce, lecz także na forum całej Unii. Jako szef EPP ma silny wpływ na wszystkie ugrupowania wchodzące w skład chadeckiej międzynarodówki, w tym na PO i samego Tuska. Nie będzie wielką przesadą nazwanie Webera głównym koordynatorem niemieckiej strategii w Europie. Jest więc kimś w rodzaju oberszefa Tuska.

Publiczne pochwały pod adresem polskiego premiera oznaczają, że jego niemieccy sojusznicy są zadowoleni z polityki obecnego reżimu. Tusk dobrze wykonał swoje zadanie i „skończył z rządami PiS". Zarazem ma to być sygnał dla całej Europy (szczególnie dla naszej części kontynentu), że jakakolwiek samodzielna polityka i nieautoryzowana przez Berlin zmiana władzy jest niemożliwa. Rządy PiS były po prostu wypadkiem przy pracy, a Tusk musi teraz zapewnić, że nic takiego już się nie powtórzy. Jest „człowiekiem od mokrej roboty", który nie oglądając się na nic, wyrwie „pisowską zarazę" z korzeniami, aby odstraszyć potencjalnych naśladowców nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie.

WZÓR DO NAŚLADOWANIA

Gorliwość i brak skrupułów Tuska są dla Niemców wielkim atutem. Jednak premier jest nie tylko posłusznym wykonawcą cudzych poleceń. On ma znacznie większe ambicje. Chciałby się zasłużyć i wejść do grona decydentów europejskiej polityki. Weber dał to zresztą wyraźnie do zrozumienia w swoim przemówieniu. Tuska czeka jeszcze do odegrania duża rola w Unii – pod warunkiem, że pokaże swoją determinację i zdoła zabetonować liberalny reżim w Polsce na długie lata.

Nic więc dziwnego, że premier podporządkował wszystko temu celowi. Jest gotów łamać prawo, codziennie zmieniać zdanie, ignorować aspiracje i potrzeby Polaków, byleby tylko stać się bohaterem liberalnej Europy. Przejść do historii jako ten, który pierwszy postawił tamę prawicowemu populizmowi. Jego polskie dokonania mają budzić strach u wrogów i być przedstawiane za wzór do naśladowania dla innych unijnych reżimów zmagających się z opozycją.

Stawka w tej grze jest bardzo wysoka i Tusk doskonale to rozumie. Jeśli przegra, to według jego własnych słów cytowanych w marcu ub.r. przez Onet „pójdzie siedzieć". Jeśli jednak wygra, będzie chodził w laurach. Nikt nie zapyta go o to, w jaki sposób osiągnął sławę.

Dlatego tak kluczowe są najbliższe wybory prezydenckie. To one w największym stopniu przesądzą o tym, czy w przyszłości Tusk pójdzie siedzieć, czy

eprasa.pl af555dd210

też uda mu się domknąć system i zostanie okrzyknięty zbawcą Polski oraz Europy.

Nikt nie powinien mieć żadnych wątpliwości, że grając o taką stawkę, premier nie cofnie się przed niczym. W grę wchodzi bowiem jego przyszłość i kariera. Najbardziej smutne jest to, że losy Polski są w tej rozgrywce jedynie tłem dla osobistych aspiracji jednego człowieka.

NIEBEZPIECZNE WYBORY

Z początku plan Tuska wydawał się dość prosty. Sam go zresztą przedstawił podczas telewizyjnego orędzia na koniec 2023 r.: „Jako premier RP mogę powtórzyć przed wami ślubowanie, które złożyłem podczas marszu miliona serc: zwyciężymy – to już się stało, rozliczymy zło – to już się dzieje, naprawimy krzywdy – to też już zaczynamy. I najważniejsze – pojednamy". Przekładając to na mniej oficjalny język, Tusk zapowiedział po prostu, że jego priorytetem jest rozprawa z opozycją, a dopiero w dalszej kolejności poprawa bytu Polaków.

Dzisiaj okazuje się, że taki rozkład zadań bardzo się zemścił. Skupienie się na represjach i „rozliczeniach" przy jednoczesnym zaniedbaniu kwestii gospodarczych oraz społecznych doprowadziło do sytuacji, w której rok po nieszczęsnym orędziu Tuska jego reżim jest oceniany gorzej niż rząd PiS po ośmiu latach władzy. A to w obliczu rozpoczętej właśnie kampanii przed wyborami prezydenckimi rokuje bardzo źle.

Przekonał się o tym kandydat obecnej władzy na prezydenta Rafał Trzaskowski, którego notowania regularnie spadają, a według jednego z badań może on przegrać wybory z Karolem Nawrockim. Społeczeństwo – poza antypisowskimi fanatykami z obozu Platformy – najwyraźniej nie kupiło planu Tuska.

W sukurs reżimowi ruszyły więc usłużne media, które zanurzyły się w rynsztokowych pomyjach, aby ochlapać nimi Nawrockiego. Z kolei Dominika Długosz z „Newsweeka" zaczęła straszyć powrotem do władzy PiS, które dopiero pokaże Polakom, jak wyglądają prawdziwe rozliczenia, bo jej zdaniem do tej pory mieliśmy do czynienia z „popierdółkami".

Tego rodzaju ruchy w mediach oznaczają, że reżim propagandowo przygotowuje społeczeństwo do ostrzejszych posunięć. Zapowiedź pierwszych mieliśmy niespełna dwa tygodnie temu. Chodzi o tzw. ustawę incydentalną oraz o cyfrowy „Parasol nad wyborami".

O ważności najbliższych wyborów prezydenckich zgodnie z ustawą ma przesądzić grono 15 najstarszych stażem sędziów Sądu Najwyższego – w praktyce chodzi o osoby powołane jeszcze przez Jaruzelskiego. Pomysłodawcy tych przepisów ostentacyjnie liczą na stronniczość PRL-owskich sędziów, którym z pewnością jest bliżej do Trzaskowskiego niż do Nawrockiego. Ustawa, która choćby z powodu terminu jej uchwalenia (mniej niż pół roku przed wyborami) jest niekonstytucyjna, nie zostanie podpisana przez prezydenta Dudę. Jednak dotychczasowa praktyka obecnej władzy pokazuje, że obowiązujące prawo i konstytucja nie są dla niej żadną przeszkodą.

> W obawie przed utratą władzy eurokraci postanowili przejąć część postulatów prawicy. Doskonale było to widać podczas styczniowej mowy Tuska w Parlamencie Europejskim

„Parasol nad wyborami" ma zaś chronić proces wyborczy przed dezinformacją w internecie. „Rosyjskie służby specjalne z pełną premedytacją, a także z planami operacyjnymi, chciały i mają zamiar wpływać na polską kampanię prezydencką" – wyjaśnił minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski. Rosyjska wojna hybrydowa (która jest faktem) została tu wykorzystana jako pretekst do cenzurowania internetu z treści niewygodnych dla władzy. To podwójnie niebezpieczne, bo z jednej strony instrumentalizuje rosyjskie zagrożenie na potrzeby bieżącej walki politycznej, a z drugiej blokuje demokratyczny proces wyborczy, co grozi poważnymi konsekwencjami dla bezpieczeństwa państwa. Wiele wskazuje bowiem na to, że reżim Tuska rozważa zastosowanie w Polsce wariantu rumuńskiego.

NASZ CZŁOWIEK W WARSZAWIE

W Rumunii unieważniono wybory prezydenckie, gdy okazało się, że w pierwszej turze zwyciężył nie ten kandydat co trzeba. Sędziowie początkowo uznali wynik pierwszej tury, ale kilka dni później zmienili zdanie, twierdząc, że za wygraną prawicowego kandydata stały rosyjskie służby specjalne. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że w internecie owszem, doszło do dezinformacji, ale zorganizował ją kandydat faworyzowany przez EPP, a więc przez chadecką międzynarodówkę Manfreda Webera – tego samego, który wychwalał Tuska. Niestety sytuacja wymknęła się spod kontroli i niechcący wypromowano niewłaściwego kandydata. Sędziowie nie zmienili jednak decyzji i rumuńskie wybory będą powtórzone.

Nie ma tu miejsca, aby pisać o konsekwencjach unieważnienia rumuńskich wyborów, ale warto zastanowić się nad tym, jaki stosunek do demokracji mają po czymś takim obywatele Rumunii. I jak to może wpłynąć na ich przyszłe decyzje wyborcze, stosunek do Unii czy szerzej rozumianego Zachodu. Jeżeli przyciśnięty do muru Tusk postanowi powtórzyć ten sam wariant w Polsce, nie tylko jeszcze bardziej pogłębi obecną polaryzację społeczeństwa, lecz także zmieni jej trajektorię, wciągając swoich unijnych sojuszników w sam środek politycznego sporu w naszym kraju.

Być może zresztą premierowi wcale to nie przeszkadza. Może on naprawdę chce, aby część Polaków przeszła na pozycje eurosceptyczne, aby można ich wtedy bezpodstawnie oskarżać o promoskiewskie sympatie i spychać na margines życia publicznego? Wówczas on i jego obóz będą mogli przedstawiać się światu jako jedyni gwaranci utrzymania unijnego czy szerzej – prozachodniego, kursu w Polsce.

Fot. KPRM

eprasa.pl af555dd210

Taka konfiguracja polityczna w naszym kraju pozwoli zarówno stygmatyzować opozycję, jak i skutecznie i bezkarnie ją represjonować. Bezkarnie, bo za rzekomymi pachołkami Putina nie ujmie się przecież ani przeciętny Polak, ani tym bardziej nikt z Zachodu. Wszystko to oczywiście może się zdarzyć pod warunkiem, że obozowi Tuska uda się przejąć fotel prezydenta i tym samym domknąć system.

ZMIANA STRATEGII

Jak już wspomniano, skuteczna rozprawa z opozycją w Polsce jest dla Tuska biletem wstępu do grona europejskich decydentów. Wiele wskazuje na to, że rola, jaką może odegrać w Unii, będzie podobna do tej, którą odgrywał w kraju. A więc nadal będzie taranem przeciw prawicy, tyle że na znacznie większą skalę.

Na tym polu jest całkiem sporo do zrobienia, ponieważ unijna oligarchia szykuje się do starcia z Donaldem Trumpem. Tusk już wcześniej próbował ustawiać się na pozycji usłużnego antytrumpisty, czego dowodem jest jego słynne zdjęcie, na którym przykłada dłoń złożoną w pistolet do pleców amerykańskiego prezydenta. Podczas kampanii przed wyborami do Sejmu opowiadał też niestworzone brednie o Trumpie jako rzekomym rosyjskim agencie, czego potem się wypierał („tego typu sugestii nigdy nie zgłaszałem").

Widać też wzmożenie wśród podwładnych Tuska z PO, którzy atakują Elona Muska, nawołując do retorsji przeciwko należącej do niego platformy X. Musk ma być zakonspirowanym nazistą (o czym ma świadczyć rzekomy salut rzymski wzniesiony przez niego podczas wiecu w Waszyngtonie), a jego serwis społecznościowy wylęgarnią fejków i rosyjskiej dezinformacji. Tymczasem prawda jest taka, że unijni oligarchowie nie mają wpływu na treści publikowane na platformie miliardera i to ich najbardziej boli. Bo najbardziej obawiają się utraty kontroli nad umysłami swoich poddanych.

Początkowo wydawało się, że Niemcy chcą wykorzystać Tuska w roli zderzaka przeciw Trumpowi, podczas gdy sami ukryją się za jego plecami. Z ich perspektywy byłoby to bardzo wygodne – premier zniszczyłby relacje polsko-amerykańskie, na czym niewychylający się za bardzo Niemcy mogliby tylko zyskać. Wygląda jednak na to, że w tej chwili wygrywa inna koncepcja. Nie będzie brutalnego ataku na Trumpa, ale coś na kształt rywalizacji.

Wiatr przemian nadciągający zza Atlantyku zaczął już chyba docierać do zatęchłych umysłów eurokratów, którzy w obawie przed utratą władzy postanowili przejąć (pytanie, na ile skutecznie) część postulatów prawicy. Doskonale było to widać podczas styczniowej mowy Tuska w Parlamencie Europejskim, który nagle zaczął nawoływać do „wielkiej deregulacji europejskiej gospodarki", obrony Europy przed nielegalnymi imigrantami oraz gruntownej rewizji Zielonego Ładu. Jego przemówienie zostało przyjęte z zachwytem zarówno przez Webera, jak i całą unijną oligarchię, co oznacza, że właśnie taką strategię przyjęto w Berlinie i Brukseli.

Chodzi więc nie tylko o stawianie „zapór ogniowych" przeciwko prawicy czy też o jej polityczne unicestwienie, z którego próbą mamy dziś do czynienia w Polsce, lecz także o przejęcie przez liberalną oligarchię prawicowej retoryki, aby zyskać głosy dotychczasowych wyborców tamtej strony. To dlatego Trzaskowski nagle stał się konserwatywny, a Tusk walczy z imigracją i Zielonym Ładem.

Obaj już tyle razy kręcili i manipulowali wyborcami, że taka nagła zmiana frontu jest dla nich jak splunięcie. Pytanie, czy Polacy po raz kolejny dadzą się na to nabrać jest niestety ciągle otwarte.

Fot. Mathieu CUGNOT/EP

> Wybory prezydenckie przesądzą o tym, czy Tusk pójdzie siedzieć, czy zostanie okrzyknięty zbawcą Polski i Europy. Grając o taką stawkę, premier nie cofnie się przed niczym

eprasa.pl af555dd210

PIOTR GURSZTYN

Fot. Andrzej Wiktor

Liberalizm degraduje swoich wyznawców. Moralnie i intelektualnie. Polscy wyznawcy liberalizmu, przede wszystkim wyborcy PO, stali się wulgarnymi chamami, agresywnie odnoszącymi się do ludzi o innych poglądach. Na dodatek zaczęli gorąco wyznawać sprzeczne ze sobą poglądy. A mimo to uważają się za elitę społeczną i szczerze wierzą w swoją wyższość nad resztą Polaków

Jak demoralizuje liberalizm?

Formalnie wyborcy Koalicji Obywatelskiej i Donalda Tuska spełniają w swej masie kryteria bycia klasą wyższą. Jest wśród nich więcej osób z wyższym wykształceniem, bardziej zamożnych oraz tych, które deklarują przynależność do kadry kierowniczej, przedsiębiorców, wolnych zawodów czy szeroko pojętej inteligencji niż w innych elektoratach. Pokazują to badania, a także jest to wiedza powszechna. Wśród prestiżowych, dochodowych i wpływowych profesji – weźmy np. prawników czy pracowników mediów – wyraźnie dominują zwolennicy szeroko pojętego liberalizmu, czyli Koalicji Obywatelskiej.

Wśród wyborców konserwatywnej i niepodległościowej prawicy przeważają ludzie z klas nieuprzywilejowanych. Liberałowie uwielbiają podkreślać, że ich wyborcami są wykształceni ludzie z wielkich ośrodków. Kiedyś dodawali też, że głosują na nich również młodzi. Jasno wyrażali nadzieję, że prawica wymrze, ale okazało się, że młodzi odpłynęli w stronę nowej prawicy, czyli Konfederacji, a stara prawica, skoncentrowana wokół PiS, nie wymiera, a nawet stale się odtwarza. Liberałowie nie mają już z tego powodu poczucia uspokajającego końca historii, ale mania wyższości nadal jest stałą częścią ich mentalności.

WULGARYZMY

Tymczasem ostatnie kilkanaście lat to historia stałej degradacji zwolenników liberalizmu. Mimo ich formalnych przewag bardzo wielu liberałów stoczyło się do poziomu marginesu społecznego pod względem moralnym i kulturowym. A pod względem

eprasa.pl af555dd210

intelektualnym zamienili się w sektę tępych fanatyków.

Co w ich przypadku oznacza moralna i kulturowa degradacja? Jeśli ktoś publicznie używa wulgaryzmów, atakuje za ich pomocą innych ludzi i jednocześnie twierdzi, że można tak robić, niewątpliwie mamy do czynienia z człowiekiem chamskim i niekulturalnym. A od kilku lat jesteśmy świadkami tego, że knajackie, wywodzące się z więziennej patologii wyzwisko składające się na osiem gwiazdek stało się oficjalnym hasłem wyborczym. „Osiem gwiazdek w sercu, w samochodzie, osiem gwiazdek jako leitmotiv mojej działalności politycznej i to się nie zmieni, dopóki PiS będzie PiS-em" – takie *credo* głosi poseł KO Witold Zembaczyński, stały bywalec wszelkich programów telewizyjnych i radiowych, a więc medialna twarz swojej partii. Okrzyki o wiadomej treści były wznoszone na niejednej imprezie partyjnej KO z najbardziej prestiżową, jaką jest Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego.

Jako dopuszczalne hasło został też nobilitowany inny bluzg. „»Wyp...ać« to filozofia nowego pokolenia, które jest już dla PiS stracone" – pouczała swoich czytelników „Gazeta Wyborcza", przy czym wiadome słowo za każdym razem było tam drukowane w całości. A czytelnicy „GW" z pełną aprobatą przejmowali tego rodzaju nauki. Trzeba to podkreślić, bo komentarze na jej portalu mogą zamieszczać tylko osoby zarejestrowane, które kupiły dostęp do treści tego medium. Czyli najbardziej zaangażowani zwolennicy liberalizmu, pełni wiary w swoją wyższość oraz że to oni są częścią Europy, a nie ciemnogrodzki motłoch, za jaki uważają wyborców prawicy, co wynika z ich wpisów.

Tymczasem ci rzekomo gorsi w swej przytłaczającej większości uważają wulgaryzmy za coś niedopuszczalnego. Świadczy o tym m.in. fakt, że prawicowcy rzadko naśladują liberałów i odpowiadają przeróbką, która nie jest wulgarna, czyli słynnym już: „Nie bać Tuska". I tu najciekawsze były reakcje strony liberalnej, która oburzyła się, że to skandaliczne przekroczenie norm. Twarzą tego szpagatu, czyli zgody na własną wulgarność i jednoczesnego przypisywania jej przeciwnikowi, stał się wiceminister Cezary Tomczyk, który próbował przekonywać, że osiem gwiazdek jest dobre, a „nie bać" złe. „Co innego, jeżeli używamy pewnego symbolu. Tak szczerze, to ja mam bardzo negatywne zdanie, jeżeli chodzi o PiS. Uważam, że to jest grupa ludzi, która zasługuje na to, by była jak najszybciej rozliczona i trafiła tam, gdzie jej miejsce" – mówił, zdradzając jednocześnie swe skrajnie wrogie nastawienie do ludzi o odmiennych poglądach.

SYSTEMOWA NIENAWIŚĆ

Wypowiedź Tomczyka stanowi kolejny dowód na nienawiść, którą liberałowie żywią wobec prawicy. Jeśli chodzi o dehumanizację przeciwnika, wiele badań kilku ośrodków akademickich potwierdza to samo: wyborcy Koalicji Obywatelskiej odczuwają o wiele silniejszą nienawiść wobec wyborców prawicy niż na odwrót. Do jesieni 2023 r. niektórzy zakłopotani tym zwolennicy liberalizmu tłumaczyli, że to wynik rządów prawicy. Po prostu ci, którzy są po stronie opozycji, mają więcej powodów do niezadowolenia i frustracji. *Ergo* – gdyby prawicowcy byli na ich miejscu, to też by bardziej nienawidzili. Ale zamiana miejsc nie potwierdziła tej teorii. Po przejęciu władzy przez Tuska nienawiść liberałów odrobinę zmalała, a po prawicowej stronie nieco wzrosła, co jednak nie zmieniło proporcji. Ostatnie badania wykonał Instytut Psychologii PAN. Wyborców Zjednoczonej Prawicy nadal o wiele mocniej dotyka dehumanizacja ze strony wyborców KO niż odwrotnie. I ciekawostka – wskaźnik niechęci wobec prawicowców „jest wyższy niż poziom dehumanizacji uchodźców z Afryki i Azji".

Krótko mówiąc, prawicowcy, mimo że są w opozycji, nie oszaleli z nienawiści. W tej kwestii nie ma symetrii: na prawicy przejawy nienawiści są odruchowe, a nie systemowe. Nie ma prawicowego odpowiednika ośmiu gwiazdek czy Silnych Razem. Ta nienawiść jest ciągle stymulowana, wtedy, gdy tylko słabnie. Widać to po insynuacyjnym tekście Wojciecha Czuchnowskiego, który bez żadnych dowodów wypisywał oszczercze aluzje na temat Karola Nawrockiego (wcześniej podobny artykuł popełnił powszechnie oskarżany o mitomanię inny autor „GW" Piotr Głuchowski). Charakterystyczna była reakcja Donalda Tuska na ten niepotwierdzony niczym tekst. Premier polskiego rządu zamieścił w mediach społecznościowych knajacki, insynuacyjny wpis, identyczny pod względem stylu z działaniami Janusza Palikota atakującego kiedyś prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Prawica nie została przyłapana na finansowaniu z pieniędzy publicznych internetowych hejterów, np. ludzi posługujących się pseudonimami takimi jak „Sok z Buraka", „Pablo Morales" czy brat tego ostatniego o nicku CasperVanDeHag. Każda z tych osób pracowała lub nadal pracuje w instytucjach miasta Warszawy, czyli *de facto* są podwładnymi Rafała Trzaskowskiego.

SKAŻENI

Tak silna emocja, jaką jest nienawiść, na dodatek wyznawana masowo, nie może pozostać bez wpływu na tych, którzy ją odczuwają. Jeśli ktoś robi sobie tatuaż z ośmioma gwiazdkami (a o takich ludziach z zachwytem opowiadał Zembaczyński) lub tylko okleja nimi swój samochód, to znaczy, że poddaje sam siebie bardzo mocnej presji psychologicznej. Mamy tu do czynienia z przemocą symboliczną, a ta jak każda przemoc wpływa także na sprawców. Już w starożytnym Rzymie znane było powiedzenie *odimus quem laesimus*, czyli „nienawidzimy tych, których skrzywdziliśmy". Polscy liberałowie spod znaku ośmiu gwiazdek usprawiedliwiają tym uprawianą przez nich symboliczną przemoc: ofiary zasłużyły sobie na agresję i wulgarność (co słyszeliśmy z ust Tomczyka i Zembaczyńskiego). Tak więc przeciw prawicowcom dozwolone są wszystkie metody, łącznie z tymi najbardziej brudnymi.

Dodatkowe tłumaczenie dał ideolog tej przemocy, czyli Donald Tusk, mówiąc, że to metody przejściowe. Jego zwolennicy wierzą zatem w to, że gdy prawica zostanie już zniszczona, powrócą do świata idealnego, gdzie będą mogli pielęgnować zasady humanitarnego liberalizmu.

Pytanie tylko, czy uwierzą im ich własne dzieci. Te, które były przyprowadzane na polityczne wiece z wymalowanymi na buziach ośmioma gwiazdami. Jak ich rodzice wytłumaczą fakt,

eprasa.pl af555dd210

że nie wolno używać wulgaryzmów i trzeba kulturalnie odnosić się do innych ludzi, skoro sami są wulgarni i agresywni? Wygląda na to, że nienawiść propagowana prze liberalne „elity" wróci do nich jak bumerang. Zapłacą za nią dysfunkcjonalnymi relacjami w własnych rodzinach i najbliższym otoczeniu. Rachunek za hipokryzję i zakłamanie wystawią im własne dzieci.

MISTRZOWIE SZPAGATÓW

Degradacji moralnej towarzyszy degradacja intelektualna. Polscy liberałowie od lat popierają formację, która nieustannie zmienia zdanie w fundamentalnych kwestiach. Co chwila widzimy bowiem, że KO walczy jak lew przeciw PiS w jakiejś kwestii, a potem okazuje się, iż całkowicie się myliła. Wtedy zaczyna popierać tę sprawę i wraz ze swymi wyznawcami twierdzić, że to PiS jest jej przeciwny.

Niekiedy dzieje się to w błyskawicznym tempie. We wrześniu 2023 r. politycy KO i ich wyborcy pielgrzymowali na film „Zielona granica". Kilkanaście tygodni później okazało się, że pushbacki stosowane wobec imigrantów były złe za rządów PiS, a są dobre, gdy rządzi Donald Tusk. Teraz z pełną powagą przyjmują słowa Rafała Trzaskowskiego o tym, że w 2015 r. ostrzegał Niemców przed otwarciem granic na masową imigrację, choć nie ma żadnego dowodu na to z tamtego czasu, a i oni sami spalali się wówczas w obronie „inżynierów" i „lekarzy", którzy mieli nas kulturowo „ubogacić".

Mnożenie takich przykładów nie jest czymś trudnym. Ci sami ludzie popierali reset w stosunkach z Rosją, w 2009 r. cieszyli się z listu Władimira Putina do Polaków i potępiali PiS za rusofobię. Teraz te same osoby uważają, że polska prawica jest sprzymierzeńcem Kremla, choć to akurat rząd PiS był jednym z największych w całym świecie donatorów pomocy wojskowej dla Ukrainy.

Wyborcy KO wyklinali utworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej jako „mudżahedinów Macierewicza" i klaskali, gdy w październiku 2023 r. Tusk nazwał WOT „parawojskiem". Teraz cieszą się z jego słów, gdy chwali tę samą formację za pomoc w usuwaniu skutków powodzi. Zdarza się już nawet, że pojedynczy działacze KO wstępują do WOT i się tym szczycą. Pytanie jednak, dlaczego nie przeszkadza im to, że służą w formacji, którą jeszcze niedawno ich szef nazywał „parawojskiem". „Przedsiębiorca, zawodnik K1, żołnierz, były piłkarz, Platforma Obywatelska" – tak na swoim profilu w mediach społecznościowych reklamuje się ubrany w beret WOT niejaki Rafał Kortas, działacz samorządowy PO. Z jednej strony jest autorem wulgarnych i nienawistnych wpisów pod adresem szeroko pojętej prawicy. Z drugiej nie dość, że znalazł się w szeregach oddziałów stworzonych przez Antoniego Macierewicza, to na dodatek wśród jego kolegów jest widoczna nadreprezentacja wyborców znienawidzonej przez niego partii.

> Jeśli ktoś publicznie używa wulgaryzmów, atakuje za ich pomocą innych ludzi i jednocześnie twierdzi, że można tak robić, niewątpliwie mamy do czynienia z człowiekiem chamskim i niekulturalnym

Czy nimi też gardzi tak jak całą prawicą?

Wyborcy KO byli przeciwni zakupom broni, gdy robiło to PiS. W 2019 r. czytaliśmy: „Tomasz Siemoniak w rozmowie z Gazeta.pl ocenił, że polska armia ma bardziej pilne potrzeby niż zakup myśliwców F-35". Kilka miesięcy później ukazał się sondaż z pytaniem, czy zakup F-35 jest korzystny dla Polski. 33,9 proc. ankietowanych odpowiedziało, że jest zły. Na pewno nie byli to wyborcy prawicy. A dzisiaj platformerski wiceminister Tomczyk – ten, który walczy z prawicą za pomocą ośmiu gwiazdek – lansuje się na tle tego „niepotrzebnego" pisowskiego zakupu. Do tego dodajmy 100 konkretów na 100 dni, a także politykę klimatyczną UE, która też przestała się podobać PO i jej wyborcom.

Żeby jednak nie zwalać wszystkiego na Platformę i Donalda Tuska, trzeba przypomnieć, że polska liberalna inteligencja już na samym początku transformacji była uczona szpagatów. Tresowała ją „Gazeta Wyborcza", która halsowała zależnie od swych bieżących sojuszy i sympatii. Najlepiej obrazuje to jej stosunek do Lecha Wałęsy. Na samym początku był „legendarnym przywódcą" NSZZ „S", a krótko potem szaleńcem z siekierą, bo „GW" stanęła w wyborach prezydenckich za Tadeuszem Mazowieckim. Przez wiele następnych lat, gdy przegrał z Aleksandrem Kwaśniewskim, był dla niej powietrzem. A potem, wraz ze sporem o lustrację, znów stał się cennym sojusznikiem i bożyszczem wyniesionym na piedestał.

Opisując tę degradację, cały czas mówimy o ludziach rzeczywiście wykształconych i zajmujących dobrą pozycję w hierarchii społecznej. Jak więc wytłumaczyć to szaleństwo?

Wszyscy znamy pojęcie dysonansu poznawczego. Ale mało kto wie, skąd się wzięło. Jego autorem jest amerykański psycholog Leon Festinger, który badał sektę niejakiej pani Keech. Kobieta twierdziła, że odbiera sygnały z planety Clarion, w tym najważniejszą informację, iż 21 grudnia 1954 r. Ziemia zostanie zniszczona w wyniku kataklizmu. Ocaleć miała tylko mała grupa najwierniejszych wyznawców uratowanych przez flotę latających talerzy przysłanych z Clarionu. Wokół pani Keech zebrała się grupa oddanych jej wyznawców. Robili wszystko, czego żądała, łącznie porzucaniem pracy, rodzin, rozdawaniem pieniędzy za sprzedane domy. Bo na Clarionie miały być im niepotrzebne. We wskazany dzień wszyscy siedzieli, czekając na kataklizm i ratunek. Ten jednak nie nadszedł, a pani Keech z uśmiechem oznajmiła im, że odebrała nowy sygnał z dalekiej planety. Otóż jej modlitwy ocaliły Ziemię. Najciekawsze było to, że nikt z wyznawców nie odwrócił się od niej. Wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej w nią wierzyli i na dodatek zaczęli głosić światu nowinę o cudownym ocaleniu, podczas gdy wcześniej wszystko trzymali w sekrecie.

Dzisiaj miejsce pani Keech zajął Donald Tusk. Na masową skalę.

eprasa.pl af555dd210

Krach Trzeciej Drogi

W PSL zakładają, że Szymon Hołownia z kretesem przegra wybory prezydenckie, Trzecia Droga się rozpadnie i trzeba będzie tworzyć nową koalicję

STANISŁAW JANECKI

To już jest efekt domina. Szymon Hołownia nie dostanie pieniędzy na kampanię od Polskiego Stronnictwa Ludowego, mimo że jest wspólnym kandydatem prezydenckim Trzeciej Drogi (TD). Udział marszałka Sejmu w prezydenckim wyścigu sfinansuje tylko Polska 2050 z tego, co zbierze na fundusz wyborczy.

„Będę apelował o wsparcie [finansowe] do tych, którzy wierzą w to, że w Polsce jest potrzebny taki właśnie niezależny prezydent. Ale też, jak rozumiem, wesprze mnie partia Polska 2050, wpłacając na fundusz wyborczy" – powiedział Szymon Hołownia w „Kropce nad i" w TVN24. „Myślę, że [PSL] też może dać. Natomiast dzisiaj nie stawiamy tej sprawy na ostrzu noża" – dodał. I słusznie, gdyż PSL nie da pieniędzy.

Skoro po raz pierwszy w historii III RP ludowcy nie wystawiają własnego kandydata, nie widzą potrzeby finansowania kogoś, kto tylko formalnie reprezentuje i Polskę 2050, i PSL. Zgadzając się na Szymona Hołownię jako wspólnego pretendenta, PSL uniknęło kompromitacji z powodu bardzo prawdopodobnego słabego wyniku jego prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zaoszczędziło też pieniądze, które wydane na kampanię (czy to Kosiniaka-Kamysza, czy Hołowni), byłyby wyrzucone w błoto.

Gdy 7 grudnia 2024 r. w gdańskim Teatrze Szekspirowskim odbywała się konwencja inaugurująca wyścig Hołowni o prezydenturę, w sztabie kandydata nie było przedstawicieli PSL. W tej partii powszechna jest świadomość, że trzeba się liczyć z bardzo słabym wynikiem marszałka Sejmu, a to spowoduje, że wybory prezydenckie będą ostatnim aktem istnienia TD.

Zresztą PSL i Polski 2050 od dawna nic już nie łączy. Programowo np. ustawa wiatrakowa, której wciąż nie ma, gdyż kontestuje ją minister rolnictwa Czesław Siekierski z PSL, choć resortem klimatu kieruje Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050. Siostrzane podobno partie różni stosunek do programów z zakresu mieszkalnictwa: Hołownia i Polska 2050 nigdy nie zgodzili się na program „Kredyt 0 procent", więc go nie będzie. Tak jak nie ma rozwiązań dotyczących związków partnerskich, gdyż nie zgadza się na nie PSL.

Partia Władysława Kosiniaka-Kamysza myśli już zresztą o następnych wyborach parlamentarnych – planowo w 2027 r. – a w związku z nimi nic już nie

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl af555dd210

będzie takie samo. Niespodzianki mogą zaś narazić obecnych koalicjantów PSL na poważne kłopoty.

GENIALNY PLAN MARSZAŁKA?

Sondaże nie są korzystne dla Szymona Hołowni: według badania CBOS (styczeń 2025 r.) jego poparcie wynosi 6 proc., podczas gdy Rafał Trzaskowski może liczyć na 35 proc., a Karol Nawrocki na 31 proc. Z sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski (opublikowanego 14 stycznia 2025 r.) wynika, że na marszałka Sejmu chce głosować 6,7 proc. ankietowanych wobec 10,2 proc. w grudniu 2024 r. Badanie pracowni Opinia24 dla RMF FM z połowy stycznia 2025 r. wskazuje, że Szymon Hołownia ma dwa razy mniejsze poparcie niż Sławomir Mentzen z Konfederacji, spadło ono o prawie 9 pp.

Komentując słabe wyniki sondażowe, Szymon Hołownia tłumaczył Monice Olejnik w TVN24, że „kluczowe będzie zdobycie sympatii niezdecydowanych wyborców, którzy obecnie są zmęczeni politycznym chaosem i unikają deklaracji". A Michał Kobosko dodał w Radiu ZET: „Nie czujemy się do końca winni". Jego zdaniem „Szymon Hołownia zbiera pewne cięgi" i „jest ostro wyceniany przez wyborców" za działania całej koalicji rządzącej, chociaż Polska 2050 jest odpowiedzialna tylko za ich część". Kobosko przekonywał, że „miarodajne są wysokie wyniki Hołowni z 2020 r. (14 proc. i 3. miejsce)".

W PSL dominuje zdziwienie, że Rafał Trzaskowski, Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen jeżdżą po Polsce, odwiedzają kolejne powiaty i miasta, a lider Polski 2050 tylko „siedzi w Sejmie". Tyle że nie ma to wynikać z lenistwa czy bezradności, ale stanowić część przemyślanej strategii. Chodzi o to, żeby nie przesadzić ze zbyt szybkim startem i prowadzeniem kampanii, gdyż kandydat znudzi się wyborcom albo spowszednieje. Hołownia jest powszechnie rozpoznawalny, więc nie musi o to walczyć. Celowo jest bierny, nic nie zmieni się też w lutym oraz marcu 2025 r., bo kampanię będzie miał „wystrzałową", czyli ograniczoną do kwietnia i połowy maja. Podobno marszałek pytał specjalistów, a ci ponoć uznali, że w lutym i marcu wiele się jeszcze wydarzy (kandydatów można rejestrować do 4 kwietnia 2025 r.), więc cała dotychczasowa kampania po prostu się zresetuje. Ale to, co robili i mówili konkurenci, pozostanie, niekoniecznie z korzyścią dla nich. Hołownia nie prowadził kampanii, dlatego nie będzie musiał niczego prostować, zmieniać ani poprawiać. Rozpocznie kampanię w momencie, kiedy nie będą już możliwe żadne podmianki, a układ sił będzie taki jak w momencie głosowania 18 maja 2025 r. No i jako ten z kandydatów, którzy najpóźniej zaczęli kampanię, spróbuje wygenerować jakiś efekt nowości.

W PSL patrzą na to wszystko z dużą rezerwą, ale uważają, że to „nie ich cyrk, nie ich małpy", więc nie ma powodu, żeby się tym martwić. Choć oczywiście przejmują się ewentualnym wpływem klęski Hołowni na ich ugrupowanie, skoro to także ich kandydat.

NOWA KOALICJA NA WYBORY W 2027 r.

O ile przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. PSL i Polska 2050 zawarły umowę (23 kwietnia 2023 r.), w której wymieniono „listę wspólnych spraw" (siedmiu), o tyle przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. żadnej nie podpisano i to się nie zmieni. Podobno jest jakieś ustne porozumienie, ale nikt nie zna szczegółów, które zresztą zapewne nie istnieją. Dlatego w PSL dziwią się, że Hołownia liczy na jakiś wystrzałowy efekt tego, że dołączy do wyścigu prezydenckiego dopiero po 4 kwietnia 2025 r. Wystrzałowe ma być to, że dopiero w kwietniu wyborcy niezdecydowani i dość obojętni na to, co się dzieje w kampanii, podejmują decyzje. Wtedy Hołownia przeleci obok nich jak meteor, więc go zauważą, a tych prowadzących kampanię już od kilku miesięcy będą traktować jak mało widoczne tło.

Liderzy PSL nie przejmują się meteorem Hołownią, gdyż doszli do wniosku, że nie da się już poprawić wyniku wspólnego formalnie kandydata, więc niech radzi sobie sam. Niby nadal będzie on popierany przez partnerską partię, ale bez szczególnego zaangażowania w jego kampanię. Kierownictwo PSL uznało, że ich formacji nic nie dało i nie da to, że Hołownia jest marszałkiem Sejmu i pozostanie nim jeszcze przez 10 miesięcy. Uznali ponoć, że nie ma sensu rozbijać koalicji przed wyborami prezydenckimi, gdyż marszałek będzie odgromnikiem zbierającym pioruny za złe rządy koalicji 13 grudnia, przez co partii Kosiniaka-Kamysza mniej się dostanie. Ale po wyborach 18 maja i 1 czerwca 2025 r. oraz spodziewanym wyniku Hołowni na poziomie 5 proc. lub nawet mniej PSL będzie miało dogodny pretekst do podsumowania nie tylko kampanii, lecz także całej współpracy z Polską 2050 w ramach TD. I będzie mogło zrzucić winę za wszystko na partnera, który się nie sprawdził, co było jasne zaraz po wyborach 15 października 2023 r.

W PSL można usłyszeć opinie, że Władysław Kosiniak-Kamysz uważa, iż musi poświęcić Szymona Hołownię, żeby w partii nie wybuchł bunt przeciwko niemu, który mógłby doprowadzić do usunięcia go ze stanowiska. Może nawet wziąć na siebie część krytyki za stworzenie TD, ale ten alians można uzasadnić tak, że dzięki temu partia zdobyła jednak 32 mandaty w Sejmie. Dzięki rozpadowi Trzeciej Drogi PSL będzie miało czas, aby przymierzyć się do innej koalicji – na wybory zaplanowane w 2027 r.

W Polskim Stronnictwie Ludowym panuje przekonanie, że Rafał Trzaskowski raczej nie wygra wyborów prezydenckich, więc nawet nie warto otwarcie popierać go w drugiej turze, tym bardziej że zaszkodziłoby to alternatywnej koalicji na wybory w 2027 r. A będzie ona konieczna, gdyż liderzy PSL zakładają, że wygra wtedy PiS i odzyska władzę (ewentualnie z Konfederacją).

Partyjne doły PSL uważają, że w perspektywie 2027 r. trzeba się przeorientować na współpracę z PiS, a jeśli nie zgadzałby się na to prezes Kosiniak-Kamysz, trzeba go wymienić na kogoś, kto będzie dążył do takiej współpracy. Z kolei kierownictwo PSL wolałoby podobno jakiś rodzaj współpracy (nawet koalicji) z Konfederacją na wybory w 2027 r. Później taka współpraca (koalicja) miałaby ułatwić stworzenie prawicowej większości rządzącej, gdyż PSL byłoby w niej czynnikiem łagodzącym różnice między PiS a Konfederacją.

Strategia ludowców jest taka, żeby nadal współrządzić, mimo że zmieni się układ polityczny i władza. Byłaby to kontynuacja ich strategii znanej od początku lat 90. XX w. – wszystko jedno z kim, byleby mieć udział we władzy. Choć dotychczas PSL zawierało koalicje tylko z ugrupowaniami, które były na lewo od niego. Ale ponoć nadszedł czas, żeby zmienić i to.

eprasa.pl af555dd210

Kazimierz Kujda [na fot.] nigdy nie współpracował z SB. Oszukiwał funkcjonariuszy służb i nie dostarczył im żadnych wartościowych informacji, co zresztą sami przyznawali. A jednak Sąd Apelacyjny uznał, że złożył on nieprawdziwe oświadczenie lustracyjne. Dlaczego odrzucono wszystkie wnioski dowodowe lustrowanego, które jednoznacznie kwestionowały zarzuty prokuratorskie?

Fot. Andrzej Wiktor

PIOTR GONTARCZYK

Agent, którego nie było

W lutym 2019 r. „Polityka", „Gazeta Wyborcza" i TVN rozpoczęły kampanię prasową wymierzoną w Kazimierza Kujdę, który w przeszłości miał być agentem SB. Na co dzień wspomniane media brzydziły się „grzebaniem w ubeckich śmieciach" i „pomawianiem na podstawie niewiarygodnych kwitów SB", ale tu postąpiono dokładnie przeciwnie, ochoczo sięgając po dokumentację IPN.

Powód był zupełnie oczywisty i jasno sprecyzowany przez Wojciecha Czuchnowskiego z portalu Gazeta.pl: „Kazimierz Kujda, bliski człowiek PiS, był agentem SB" (8 lutego 2019). Sytuacja była bardzo czytelna: jedyny powód rozpętania tej kampanii stanowiły wieloletnie bliskie związki Kujdy ze środowiskiem PC-PiS i jego wieloletnia bliska współpraca z Jarosławem Kaczyńskim. Można więc było uderzyć w jednego ze znienawidzonych „pisowców", a przede wszystkim w samego Jarosława Kaczyńskiego.

Kujda zaprzeczał oskarżeniom, ale jego polityczny los był przesądzony. Podał się do dymisji z funkcji prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, zapowiadając autolustrację. Oceniając, czy ta mogła zakończyć się sukcesem, należało przede wszystkim przeanalizować jego akta zachowane w IPN.

WĄTPLIWA REJESTRACJA

W 1979 r. funkcjonariusz Wydziału II KW MO w Siedlcach (kontrwywiad) ppor. Tadeusz Wielgórski wytypował Kujdę przed jego wyjazdem turystycznym na Zachód jako potencjalnie przydatnego do Sprawy Obiektowej „Turysta". W jej ramach kontrolowano ruch turystyczny z kraju i przyjazdy obcokrajowców do Polski. W czerwcu 1979 r. Wielgórski przeprowadził pierwszą rozmowę z Kujdą, po której w notatce służbowej napisał: „Sądzę, że odpowiedzi nie zawierały kłamstw, lecz także nie były całkowicie szczere". To ważne słowa: wynika z nich, że

eprasa.pl af555dd210

Kazimierz Kujda od początku nie był szczery z funkcjonariuszami SB. Mimo to postanowiono pozyskiwać od niego informacje.

We wrześniu 1979 r. funkcjonariusze SB zażądali od Kujdy informacji o pobycie na Zachodzie, wprost strasząc go potencjalną odpowiedzialnością karną za szpiegostwo. Kujda sporządził więc pobieżną informację o zagranicznym wyjeździe i złożył pisemną deklarację: „Zobowiązuję się do zachowania w ścisłej tajemnicy faktu i treści rozmowy przeprowadzonej z oficerami Służby Bezpieczeństwa dnia 5-tego września 1979 r. Pouczony zostałem, że za rozpowszechnianie informacji stanowiących tajemnicę państwową lub służbową mogę zostać pociągnięty do odpowiedzialności karnej zgodnie z artykułami 260 i 264 Kodeksu Karnego z 1976 roku. Kujda. Siedlce, 5 września 1979 roku". Godził się tylko na rozmowy w tych kwestiach, które, jak myślał, musiał oficjalnie prowadzić z organami państwa jako obywatel PRL. Chyba ze względu na cechy charakterologiczne Kujdy (jest układny i grzeczny) ppor. Wielgórski uznał, że nie ma on złego stosunku do SB i uda mu się namówić go do współpracy.

W świetle zachowanej dokumentacji cała sprawa jest wręcz kuriozalna: podawane w dokumentach motywy pozyskania były różne – a to kontrola ruchu turystycznego, a to kontakty naukowe z Zachodem, a to potencjalne zainteresowanie Kujdą służb potencjalnego „przeciwnika". Próba werbunku nie miała jasnych i ściśle sprecyzowanych przesłanek operacyjnych. To rodzi podejrzenie, że kluczowym motywem działań ppor. Wielgórskiego był werbunek sam w sobie, w celach wykazania się i stricte statystycznych. Potwierdzają to dalsze działania wspomnianego oficera SB, który wkrótce po prostu zarejestrował Kazimierza Kujdę jako tajnego współpracownika. W świetle treści zachowanej dokumentacji taki krok budzi niedowierzanie. Kujda był nieszczery w rozmowach, nikt mu nie proponował współpracy, więc nie miał nawet okazji się na nią zgodzić. Rejestracja była ewidentnie naciągana i stanowiła złamanie podstawowych reguł pracy SB.

W zarządzeniu nr 006/70 ministra spraw wewnętrznych z 1 lutego 1970 r. w sprawie pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa można przeczytać: „Tajni współpracownicy – to osoby celowo pozyskane do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i wykonujący zadania w zakresie zapobiegania rozpoznania i wykrywania wrogiej działalności".

Wedle notatki oficera SB z rozmowy z Kujdą miał się on zobowiązać do przekazywania informacji pod pseudonimem Ryszard. Przeczy temu treść pisemnego oświadczenia zarejestrowanego, a także późniejsze notatki oficera SB. Sprawa od początku była mocno naciągana przez ppor. Wielgórskiego – z wykształcenia nauczyciela WF (służył w kontrwywiadzie), osoby karanej za kłopoty z alkoholem.

TU NIE MA WSPÓŁPRACY…

Później Kazimierz Kujda kilkakrotnie spotkał się z funkcjonariuszami SB, chyba dwukrotnie w warszawskim hotelu. Rzecz na pierwszy rzut oka naganna, ale wspomniany był wówczas studentem, nie miał kontaktów z opozycją ani żadnej wiedzy na temat metod działania SB. Kujda sporządził wówczas kilka notatek dotyczących swoich wyjazdów zagranicznych. Nie sposób ich czytać bez uśmiechu: są to opisy miast, które zwiedzał, miejsc, w których nocował, osób, które poznał tam, gdzie się zatrzymywał. Wszystko to było bezwartościowe dla SB.

Jeszcze ciekawsze są opisy placówek naukowych i bibliotek, w których Kujda miał zbierać materiały do doktoratu. To z kolei są oczywiste kłamstwa, wspomniany niczego bowiem nie zbierał, zajmując się pracą zarobkową, żeby – parafrazując znany dialog z filmu „Piłkarski poker" – zarobić i coś odłożyć „w prawdziwych pieniądzach".

Ppor./kpt. Wielgórski pisał w notatkach, że informacje pozyskiwane od Kujdy są bezwartościowe, ale ich przyjmowanie traktował jako powolne wciąganie rozmówcy w regularną współpracę.

W maju 1980 r. zaproponował: „Doprowadzenie do »przypadkowego« spotkania i rozmowy z TW ps. »Ryszard« tuż przed jego wyjazdem do Włoch (np. podczas odbioru paszportu)". Taki pokaz siły („czy dostaniesz paszport, decyduję ja") był typowym wywieraniem presji na utrzymywanie kontaktów. Gdyby Kujda był lojalnym agentem SB ps. Ryszard, takie zabiegi nie miałyby większego sensu. Ale nie był on żadnym agentem.

Wyraźna zmiana w relacjach Kujdy z funkcjonariuszami SB miała miejsce w 1981 r., kiedy chciał on pojechać do Austrii. Był skłonny zrobić wiele, żeby wyjechać, nie wykluczał nawet emigracji. Wtedy podpisał „lojalkę", zobowiązując się do zebrania informacji na temat firmy, do której jedzie na staż naukowy oraz do obserwacji kolegi Jerzego Tchórzewskiego. Taki dokument można uznać za obciążającą deklarację współpracy z SB. Jednak tu należy brać pod uwagę tzw. materializację zobowiązania, czyli to, czy obietnica była szczera i została zrealizowana. A nie została.

Kujda wrócił do kraju w lipcu 1982 r., oddał paszport, złożył w Politechnice Warszawskiej sprawozdanie ze stażu, nie miał żadnych kontaktów z esbekami. Dopiero po dziewięciu miesiącach otrzymał wezwanie do Biura Paszportów Komendy Stołecznej MO. Tu został zaskoczony przez znanego sobie oficera SB, ale odmówił kontaktów. Wielgórski napisał w notatce służbowej, że najwyraźniej „zmienił zdanie", ale było to wyłącznie tłumaczenie się przed przełożonymi. W rzeczywistości od początku nic nie wskazywało na to, że Kujda będzie współpracował z SB. Oficerowi oddał tylko kopię oficjalnego sprawozdania z wyjazdu do Austrii dla uczelni. Podpisał je: „Kazimierz Kujda Studium Doktoranckie Politechniki Warszawskiej Kierunek Energetyka". Dokument był mistyfikacją, bowiem jego autor nie był na stażu naukowym, tylko na regularnych saksach.

Co ciekawe, najdalej w początkach 1982 r. funkcjonariusze SB zorientowali się, że cały czas byli oszukiwani. Kazimierz Kujda i jego kolega Jerzy Tchórzewski złożyli bowiem w Biurze Paszportowym zaświadczenia, że wyjeżdżają na staż do austriackiej firmy CEW Elektroinstallationen GmbH. W końcu zorientowali się, że zaświadczenia są lipne. Wedle notatki SB: „Pobieżna analiza pisma każe

eprasa.pl af555dd210

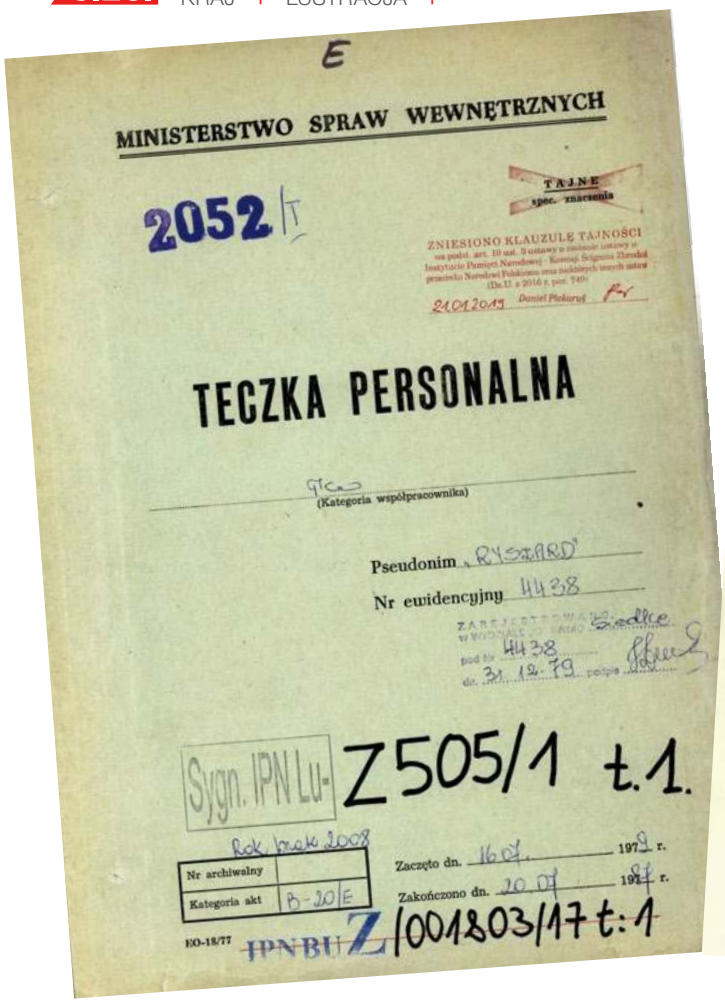
E

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

2052/T

TAJNE spec. znaczenia

ZNIESIONO KLAUZULĘ TAJNOŚCI na podst. art. 10 ust. 9 ustawy o ujawnianiu umowy w Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2016 r. poz. 740)

21.01.2019 Daniel Piekarski

TECZKA PERSONALNA

(Kategoria współpracownika)

Pseudonim RYSZARD

Nr ewidencyjny 4438

ZAREJESTROWANY W WYDZIALE ... Siedlce pod nr 4438 dn. 31.12.79 podpis

Sygn. IPN Lu- Z505/1 t.1.

Rok brak 2008

Nr archiwalny	
Kategoria akt	B-20/E

Zaczęto dn. 16.04. 1979 r.

Zakończono dn. 20.04. 1987 r.

EO-18/77 IPN BU Z/001803/17 t:1

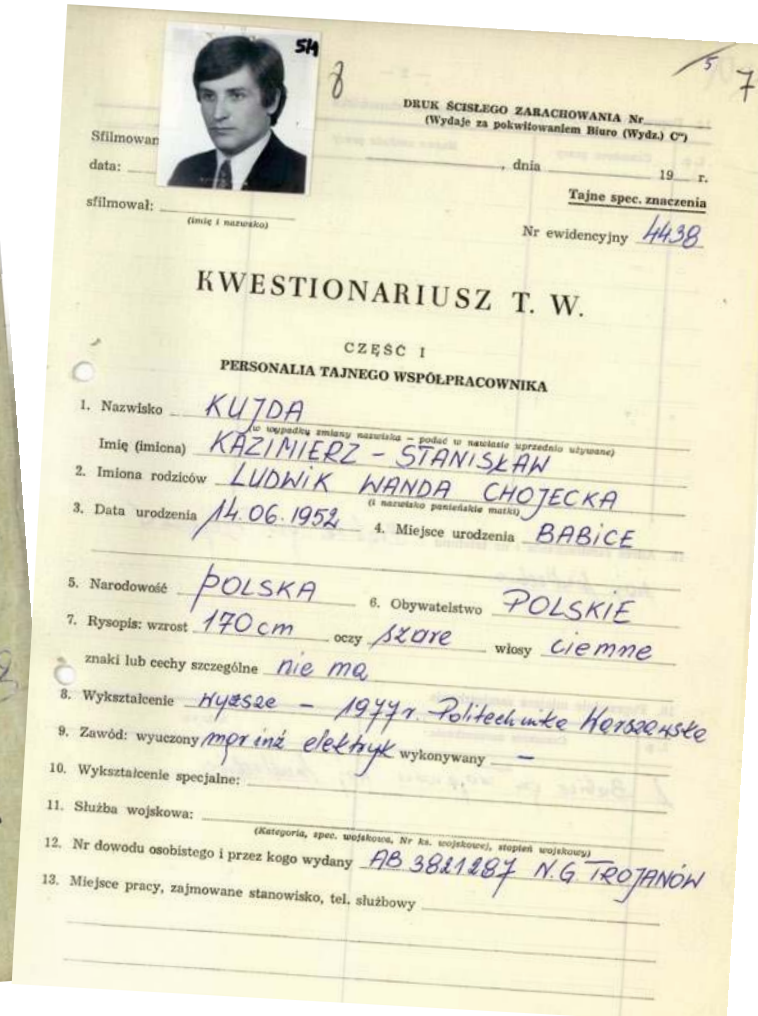
DRUK ŚCISŁEGO ZARACHOWANIA Nr ...
(Wydaje za pokwitowaniem Biuro (Wydz.) C")

Sfilmowan ... dnia ... 19 ... r.

data: ...

sfilmował: ... (imię i nazwisko)

Tajne spec. znaczenia

Nr ewidencyjny 4438

KWESTIONARIUSZ T. W.

CZĘŚĆ I

PERSONALIA TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA

1. Nazwisko KUJDA (w wypadku zmiany nazwiska – podać w nawiasie uprzednio używane)
Imię (imiona) KAZIMIERZ - STANISŁAW
2. Imiona rodziców LUDWIK WANDA CHOJECKA (i nazwisko panieńskie matki)
3. Data urodzenia 14.06.1952 4. Miejsce urodzenia BABICE
5. Narodowość POLSKA 6. Obywatelstwo POLSKIE
7. Rysopis: wzrost 170 cm oczy szare włosy ciemne
znaki lub cechy szczególne nie ma
8. Wykształcenie wyższe – 1977 r. Politechnika Warszawska
9. Zawód: wyuczony mgr inż. elektryk wykonywany –
10. Wykształcenie specjalne:
11. Służba wojskowa: (Kategoria, spec. wojskowa, Nr ks. wojskowej, stopień wojskowy)
12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany AB 3821287 N.G TROJANÓW
13. Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, tel. służbowy

przypuszczać, że jest to typowy druk firmowy, łatwy do zdobycia, nie ma na nim nazwiska zapraszającego, czy też kogoś z zarządu firmy [...]. Z ustaleń pracowników KSMO wynika, że firma ta nie jest znana w jakiejkolwiek dziedzinie badań naukowych, jest firmą typowo produkcyjną, nie utrzymywała do tej pory żadnych kontaktów naukowych z polskimi placówkami naukowo-badawczymi. Praca JT na stanowisku technika niewiele ma wspólnego z tematem i poziomem pracy doktorskiej".

Fakt oszukania SB był skrzętnie pomijany milczeniem w kolejnych notatkach esbeków, ale gdzieś musiała zapaść decyzja, żeby odebrać od „agenta" jakieś sprawozdanie i potem zamknąć sprawę. Mimo braku jakichkolwiek kontaktów z oficerami bezpieki Kazimierz Kujda jeszcze cztery lata (!) figurował w ewidencji jako TW SB. Całej tej sprawy trudno nie uznać za podręcznikowy przykład patologii, która trawiła Służbę Bezpieczeństwa w schyłkowej epoce gnicia komunistycznego systemu.

PSEUDOLUSTRACJA

Wkrótce po serii publikacji na temat rzekomej współpracy z SB Kazimierz Kujda wniósł wniosek o autolustrację. Prócz obszernych wyjaśnień dostarczył np. dokumenty z epoki pokazujące, gdzie naprawdę pracował na Zachodzie, co jednoznacznie przekreślało wiarygodność opowieści, którymi karmił SB. Jednak po analizie dokumentacji i przesłuchaniu świadków prokurator IPN Piotr Dąbrowski uznał, że sprawa Kazimierza Kujdy wypełnia wszystkie pięć kumulatywnie traktowanych przesłanek, które trzeba spełnić, by zostać uznanym za tajnego współpracownika służb specjalnych PRL.

Pierwszym elementem miało być przekazywanie informacji z wyjazdów zagranicznych. Można chyba postawić pytanie: jakie to ma znaczenie, jeśli przekazywał informacje bezwartościowe – tak pisał przyjmujący je oficer SB – albo ewidentnie kłamliwe? Na takiej zasadzie można uznać za „informatora UB" np. każdego żołnierza złapanego przez bezpiekę po wojnie, który w czasie przesłuchań w jednych sprawach milczał, a w innych kłamał.

Dalej, odnosząc się do wymogu „świadomości współpracy", prokurator uznał, że Kujda „godził się na występowanie w roli tajnego informatora". Konia z rzędem temu, kto znajdzie w papierach Kujdy dokumenty potwierdzające takie twierdzenie.

Jako trzeci element wskazujący na rzekome wypełnienie przez Kazimierza Kujdę definicji tajnego współpracownika prokurator IPN wskazał tajność kontaktów z SB: „Fakt współpracy, a także jej przebieg, ma pozostać tajemnicą, w szczególności wobec tych osób i środowisk, których miały dotyczyć przekazywane informacje". Z przesłuchań kolegów Kujdy prokurator wywnioskował, że współpraca z SB była tajna, bowiem „nie mieli oni żadnej wiedzy na temat tego, że lustrowany współpracę podjął oraz na temat tego, jakie informacje przekazywał funkcjonariuszowi w trakcie spotkań".

07/0125/F

eprasa.pl af555dd210

Żeby Kujda opowiedział kolegom, że współpracuje z SB, najpierw sam musiałby uznać, że to robi. A jeżeli tak nie uważał, to o czym miał ich informować? Ale prokurator uznał, że skoro nie powiedział kolegom, że współpracuje z SB, to znaczy, że tajnie współpracował. To się nazywa potęga logiki.

Jako czwarty element współpracy prokurator uznał udział Kazimierza Kujdy w operacyjnym zdobywaniu informacji przez SB, uznając za „operacyjne" informacje przekazane w czasie spotkań w hotelu oraz pomieszczeniu wydziału paszportowego SUSW: „Wbrew wyjaśnieniom Kazimierza Kujdy spotkania te nie były formalnymi przesłuchaniami. Powyższe przesądza o operacyjnym charakterze tychże kontaktów". Prokurator uznał więc, że kiedy Wielgórski pojawił się znienacka w Biurze Paszportowym, zaskakując tam Kujdę swoją obecnością, ten odbył z nim spotkanie „nieurzędowe", czyli operacyjne. Jest to zatem potwierdzenie, że był on agentem SB. Nie wiadomo, jak komentować tego rodzaju nonsensy. Może ktoś poinformuje prokuratora Dąbrowskiego, że Kazimierz Kujda nie był wówczas w stanie tak kwalifikować i oceniać swoich zachowań, bo nie znał treści instrukcji pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa?

Jako piąty i ostatni element wypełniający definicję współpracy z SB prokurator wskazał tzw. materializację współpracy: „Lustrowany nie przekazywał funkcjonariuszowi wszystkich informacji, jakie posiadał m.in. w związku ze swoimi wyjazdami do krajów Europy Zachodniej. Niemniej jednak część informacji, jakie przekazał funkcjonariuszowi Tadeuszowi Wielgórskiemu była prawdziwa". Które i jakie miały znaczenie? To zwykłe kłamstwa, a reszta informacji była bezwartościowa, co podkreślali sami funkcjonariusze SB. Która z przekazanych informacji (może ta, jakie miasto odwiedził albo jakim środkiem transportu jechał) była prawdziwa?

METODOLOGIA LINCZU

Szkoda, że oczywiste niedorzeczności wyprodukowane przez prokuratora z IPN zostały powielone, a nie zweryfikowane w czasie postępowania dowodowego najpierw przed Sądem Okręgowym, a potem Apelacyjnym w Warszawie. Ten drugi kilka dni temu odrzucił wszystkie wnioski dowodowe lustrowanego i prawomocnie uznał, że złożył on nieprawdziwe oświadczenie lustracyjne. Czyli że był agentem SB. Nie powinno to nikogo dziwić.

Obserwując od długiego czasu polskie życie publiczne i przez kilka lat niemal na co dzień obcując z sędziami w różnych sytuacjach poza salą sądową w Sądzie Lustracyjnym jako pracownik Biura Rzecznika Interesu Publicznego (1998–2006), widziałem wiele. Mogę np. stanowczo zaprzeczyć pogłoskom, jakoby jakiś „mużyk" w todze pił kiedyś w swoim gabinecie koniaczek z lustrowanym (wówczas chyba marszałkiem Sejmu, a wcześniej ewidentnym agentem wywiadu wojskowego PRL) Józefem Oleksym, zanim później koncertowo „skręcono" w tym sądzie jego sprawę. Dziś ci orzekający w sprawach lustracyjnych w sądach powszechnych (a nie w wyspecjalizowanym, lustracyjnym) różnią się od tamtych pewnie przede wszystkim tym, że nie mają nawet elementarnej wiedzy o działalności i sporządzaniu dokumentacji służb specjalnych PRL. Do wszystkich wcześniejszych wątpliwości mogę dołożyć to, że ostatnio w owych sądach Okręgowym i Apelacyjnym w Warszawie dzieją się mocno nieciekawe rzeczy. Z tej perspektywy możliwość oczyszczenia się z nieprawdziwych zarzutów przez człowieka kojarzonego z PiS i Jarosławem Kaczyńskim wydała mi się jeszcze mniej prawdopodobna. Nie pomyliłem się: sąd oficjalnie ogłosił, że Kazimierz Kujda to agent SB.

Cała ta polityka, te sądy, te media... Nie sposób patrzeć na to wszystko bez pewnej dozy zniechęcenia, żeby nie powiedzieć: odrazy. To wszystko jest dla mnie coraz bardziej cuchnące, pomyje w krysztale. W ogóle nie chce mi się w tym nurzać. A opisuję tę historię tylko dlatego, że szkoda mi skrzywdzonego człowieka.

Autor jest pracownikiem IPN. Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami

REKLAMA

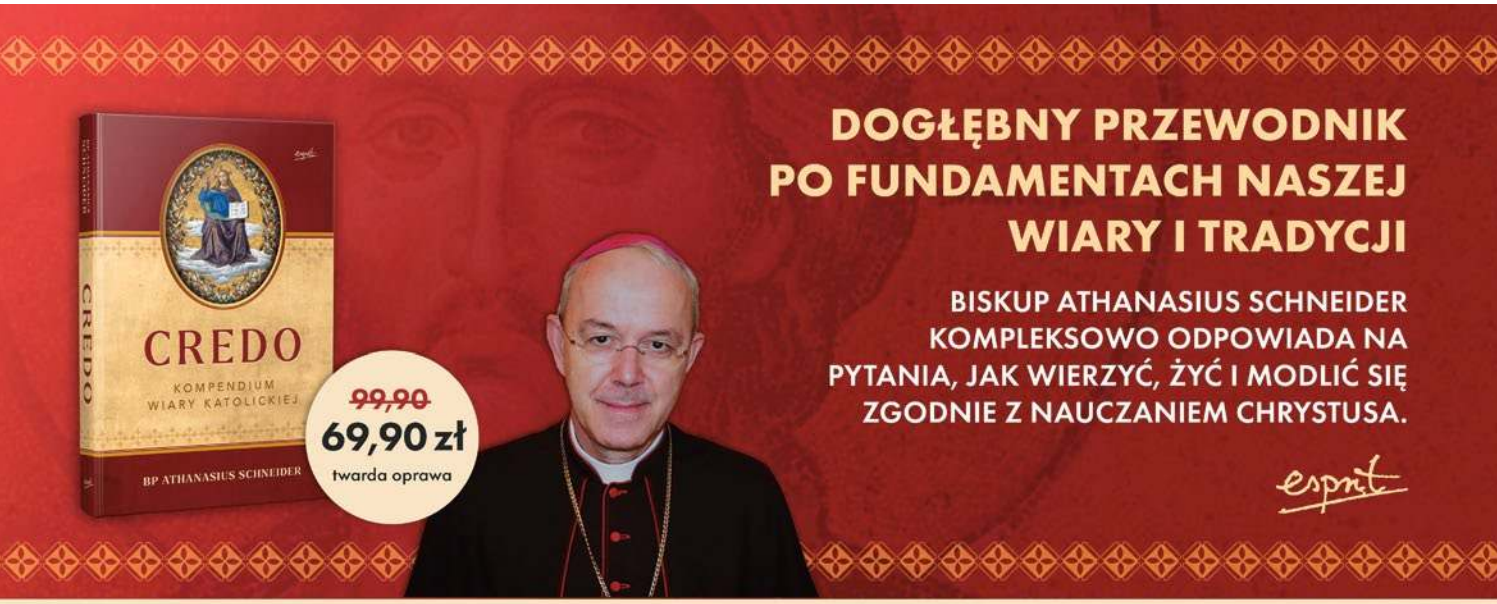

ZAMÓW NA WWW.ESPRIT.COM.PL LUB POD NUMEREM TELEFONU 12 262 35 51

Koronacja Bolesława Chrobrego na pierwszego króla Polski. Obraz Jana Matejki

Rok niewygodnych jubileuszy

MACIEJ WALASZCZYK

Tysiąclecie wyniesienia Polski do rangi królestwa czy 80. rocznica powrotu Ziem Odzyskanych są niewygodne, bo zrodziły się z konfrontacji z polityką niemiecką. Król Bolesław Chrobry nie nadaje się na patrona polskiej prowincji w Unii Europejskiej i wielokulturowej „Odrzanii"

Zasada analogii historycznej pomaga zrozumieć samych siebie w obecnych czasach, wyciągnąć na nowo wnioski, przejrzeć się w tym, co się kiedyś wydarzyło, budować moralną siłę i być narzędziem mobilizacji społecznej.

W polskiej historii są dwie wielkie bitwy, których znaczenie z wiadomych powodów przeciwstawiano, choć ich istota jest podobna. W ocenie Eugeniusza Romera triumf pod Grunwaldem (1410 r.) był ostatnim wielkim i zdrowym owocem „ducha zachodniego", który ożywił „ducha wschodniego". Bitwa zahamowała przecież ekspansję niemieckiego zakonu na wschód Europy oraz pieczętowała sojusz Polski i Litwy, doprowadzając do zjednoczenia dwóch tak różnych państw.

Podobnie z bitwą pod Kłuszynem (1610 r.), która nie tylko okazała się błyskotliwym triumfem husarii, lecz także zaprowadziła polską armię na Kreml, otwierając możliwość osadzenia na moskiewskim tronie Władysława, syna króla Zygmunta III Wazy. Nic z tego nie wyszło, ale lekcja na wieki jest taka, że jakikolwiek związek między Rzecząpospolitą a Moskwą jest możliwy tylko w formie podporządkowania jednego państwa drugiemu. Co Rosja kilkakrotnie testowała.

O ile polityka historyczna wobec Rosji od lat jest ożywiana właśnie tą przestrogą, o tyle lekcję niesioną przez zwycięstwo grunwaldzkie skutecznie wyciszono – lekcję niemieckiej politycznej ekspansji na Wschód, nawet

eprasa.pl af555dd210

w szatach europejskiego uniwersalizmu. Miało to oczywiście związek z przemodelowaniem polskiej polityki na progu III RP i wejściem do Unii Europejskiej. Propaganda oraz, jak się zdaje, przekonanie elit, także na prawicy, która dziś stara się wyprzeć to ze swojej świadomości, utwierdzały opinię publiczną w przekonaniu, że integracja gospodarcza, społeczna i polityczna nie niesie zagrożeń i będzie przebiegała na zasadach partnerstwa, solidarności, a nawet jako niwelacja historycznych krzywd, których narody Europy Wschodniej doświadczyły w związku z układami jałtańskimi. Już w latach 90. XX w. debata na ten temat została zastąpiona socjotechniczną perswazją, a jakiekolwiek ostrzeżenia, że natura projektu europejskiego i plany federalizacji kontynentu są narzędziem niemieckiej polityki w Europie Wschodniej, były ignorowane lub traktowane z pobłażaniem. Tym samym stopniowo wyparto z pamięci historycznej wydarzenia i rocznice mające kapitalne znacznie dla fundamentów istnienia państwowości polskiej. A jeśli były one głośno celebrowane, jak tysiąclecie zjazdu gnieźnieńskiego, to wyłącznie w ich europejskim i uniwersalistycznym kontekście, jako średniowieczna analogia do procesów, w których uczestniczymy obecnie.

Polityka szybko jednak przypomina o swoich prawach. Niemal nazajutrz po akcesji do UE okazało się, że unijne elity konsekwentnie dążą do budowy federalnego superpaństwa (robią to już od 1986 r.), a ponad głowami narodów Europy Wschodniej Niemcy zawierają układy gospodarcze z putinowską Rosją (Nord Stream), zbierając owoce swej absolutnej dominacji gospodarczej w regionie. Okazało się, że zdenazyfikowane, pozbawione po wojnie swojej tożsamości i tak są one wspólnotą silną, dynamiczną, potrafiącą nawet w takich warunkach realizować swoje cele państwowe. Nie potrzeba AfD i Elona Muska, by to sobie uświadomić. W europejskim kostiumie przez lata świetnie robiła to Angela Merkel, a przed nią kanclerze Kohl, Schröder, a teraz lewicowo-liberalna koalicja z Olafem Scholzem.

NIECHCIANE ROCZNICE

Wiosną br. miną trzy okrągłe historyczne rocznice wydarzeń wyznaczających warunki egzystencji państwa, określających zagrożenia i wyzwania, ale przede wszystkim rodzących się z konfrontacji z polityką niemiecką. Chodzi o tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego i utworzenia Królestwa Polskiego, 80. rocznicę powrotu ziem piastowskich w granice Polski, a do tego 500 lat od tzw. hołdu pruskiego.

Rzecz jasna polsko-niemiecka rywalizacja jest przeplatana okresami politycznej współpracy i korzystnej współzależności, ale odmiennie od tej polsko-rosyjskiej trwa tak długo, jak długo istnieje nasza państwowość. Od czasów cesarzy Ottonów i Henryków, margrabiów brandenburskich, Krzyżaków, Prus Fryderyków, wilhelmińskich Niemiec aż do Republiki Weimarskiej i Hitlera politykę naszego państwa cechowała pewna defensywa. To bardzo pouczające. Nawet powojenny podział Niemiec na dwa wrogie wobec siebie i zależne od mocarstw państwa i tak oznaczał dla Polski dyskretne zagrożenie, co ilustruje złożona przez Chruszczowa w 1964 r. oferta zwrotu części Ziem Odzyskanych w zamian za wyjście RFN z NATO.

Czy więc owo zagrożenie ulotniło się w cudowny sposób po zjednoczeniu Niemiec i wspólnej koegzystencji w ramach UE? Niech każdy sam odpowie sobie na to pytanie. Nie chodzi o fatalizm wrogości, ale obiektywne zasady politycznej grawitacji, w której rządzą prawa dominacji i siły. Dlatego współczesna Polska, będąca częścią zjednoczonej Europy, czerpiąca z tego tytułu profity w postaci dobrobytu i bezpieczeństwa, ma w obowiązku je neutralizować. Jednym ze świetnych narzędzi przypominania o tym, kim jesteśmy i jakie jest nasze miejsce w europejskim układzie, są owe historyczne rocznice i niesione przez nie symbole.

BOLESŁAW – PATRON SUWERENNOŚCI

Na mądrości i sile władców takich jak Mieszko I i Bolesław zostały zbudowane fundamenty polskiej państwowości. Tak twierdził prof. Zygmunt Wojciechowski, dostrzegając w utworzeniu przez pierwszych Piastów prężnego ośrodka państwowego moment przełomowy. Świadectwo, że dynastia piastowska była wytworem wzrostu potencjału militarnego i organizacyjnego plemion słowiańskich mieszkających nad środkową Wartą. Już przyjęcie chrztu z pominięciem niemieckiego episkopatu zredukowało do minimum niemal pewne i negatywne konsekwencje tej decyzji, zwłaszcza możliwości niemieckiej ingerencji w sprawy młodego państwa.

Drugim aktem tego wydarzenia jest korona dla Chrobrego. To jeden z najistotniejszych elementów polskiej historii, choć właściwie nie znamy jego okoliczności. Ale dobrze wiemy o trwającej przez 25 lat walce o nią, znaczonej ciągnącą się aż 16 lat wojną i twardym oporem stawianym aspiracjom Chrobrego przez cesarza Henryka II. Dopiero jego śmierć pozwoliła wynieść państwo polskie do rangi królestwa. Ówcześni kronikarze, odgrywający rolę polityczno-historycznych propagandystów, oceniali przecież czyn Chrobrego jako „zuchwalstwo". Dlaczego?

Prof. Andrzej Nowak twierdzi, że Bolesław to ktoś równie znaczący, jak dla Zachodniej Europy Karol Wielki, architekt „porywającej idei wielkości" między wschodnim Bizancjum a cesarstwem Zachodu. Chrobry nie nadaje się przecież na patrona polskiej prowincji w ramach UE.

SZANIEC BOLESŁAWÓW

W tym roku mija 80 lat od zakończenia II wojny światowej i konferencji w Poczdamie. Okoliczności przesunięcia granic wiążą się z decyzjami mocarstw i aspiracjami strategicznymi Stalina, ale zapałki Churchilla symbolizujące granice państw zostały trwale przesunięte. Powrót dawnych ziem piastowskich w granice państwa polskiego to jednak nie tylko kaprys wschodniego tyrana, lecz także postulat wielu polskich patriotów mówiących o konieczności ponownej obecności Polski na Zachodzie. Przesuniecie granicy na Odrę postulowali Hugo Kołłątaj, Adam Naruszewicz, Joachim Lelewel czy August Cieszkowski. Po wojnie komuniści

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl af555dd210

posługiwali się terminami „Ziemie Odzyskane", „polskie ziemie zagrabione" albo „odwiecznie ziemie piastowskie", lecz nie była to demagogiczna propaganda, a przejęta przez nich argumentacja wypracowana przez myśl narodową.

Taki absolutnie rewolucyjny program już w XIX w. skonstruował Jan Ludwik Popławski. To on był prekursorem „Polski piastowskiej". W 1918 r. ukazał się wizjonerski manifest „Zachodnia granica Polski" autorstwa Bolesława Jakimiaka, w którym postulował on przyłączenie Pomorza, Śląska, likwidację Prus Wschodnich i określenie na zachodzie naturalnych granic na Odrze i Nysie Łużyckiej. Po 27 latach program będący zupełną fantazją okazał się rzeczywistością. Od 1940 r. wizja ta stanowiła integralną część programu politycznego Grupy „Szańca", Związku Jaszczurczego i NSZ, twórczo rozwiniętą przez Lecha Neymana.

W międzywojniu temat podejmował wspomniany prof. Wojciechowski. Był on autorem koncepcji „ziem macierzystych", a więc będących kolebką naszej państwowości. Dochodził bowiem do wniosku, że ich utrata na rzecz Niemców doprowadziła do upadku Polski kilka wieków później i stworzenia mocarstwowych Niemiec. Włodzimierz Wakar wskazywał na niezmiernie ważną groźbę, jaką dla Polski stanowiły Prusy, i twierdził, że ze względów strategicznych Śląsk powinien należeć do naszego kraju, a wytyczenie granicy polsko-niemieckiej po linii prostej od Wielkopolski po Łużyce będzie jedynym gwarantem naszego bezpieczeństwa.

Pulę wielkich jubileuszy uzupełnia okrągłe 500 lat od hołdu pruskiego. To również świadectwo pewnego politycznego błędu, z którego narodziło się państwo pruskie, zlikwidowane w tak dramatycznych okolicznościach 80 lat temu. Niestety król Zygmunt Stary nie był zdeterminowany, by zająć Prusy Książęce. Ten wówczas peryferyjny kraik stanowił kwestię drugorzędną, dlatego władca zadowolił się upokorzeniem krnąbrnego Albrechta Hohenzollerna, któremu jednak ówczesny europejski establishment, a więc cesarz, papiestwo i część książąt Rzeszy przezornie udzieliły politycznego wsparcia. Możliwość całkowitej likwidacji państwowości niemieckiej w Prusach została jednak zaprzepaszczona, a co wydarzyło się później – wszyscy wiemy. Dziś również wisi nad Polską cień tego tworu w postaci enklawy królewieckiej, będącej czymś w rodzaju rosyjskiego lotniskowca pływającego na przestrzeni zdominowanej przez NATO. Warto więc wyciągnąć z historii pewne przestrogi i może wypełnić w końcu testament prymasa Jana Łaskiego. Takim fantazjom służą właśnie historyczne jubileusze.

> Z pamięci historycznej wyparto wydarzenia i rocznice mające kapitalne znacznie dla fundamentów istnienia państwowości polskiej, jak koronacja Bolesława Chrobrego

OD POLSKI DO „ODRZANII"

W europejskich warunkach potrzebujemy spójnego i homogenicznego terytorium. Polacy nie są już siłą przesadnie sprawczą politycznie. Litwa, Ukraina, a nawet Białoruś przechodzą test trwałości, a Polska ma wspierać ich interes, lecz gwałtownie odrzucają one jagielloński paternalizm. Dlatego status konsekwentnej polonizacji „ziem macierzystych" Wojciechowskiego, „polskiego obszaru narodowego" Popławskiego, „Szańca Bolesławów Nymana czy „Staropolski" będącej aż do XIX w. śląskim określeniem Polski w granicach średniowiecznych jest dziś koniecznością. To rdzeń polskiej państwowości, w którym od początku lat 90. XX w. za sprawą unijnych i niemieckich instytucji są rozbudzane m.in. regionalizmy, a nawet separatyzmy – jak w przypadku Śląska czy nawet Kaszubów.

Autonomizacja miast, które w czasach rządów PiS wypowiadały posłuszeństwo władzy centralnej, też nie wzięła się znikąd. Wrocławski socjolog prof. Zbigniew Kurcz dostrzegł już jakiś czas temu, że Polacy z transgranicza stali się „zakładnikami i mimowolnymi spadkobiercami niemieckiego dziedzictwa kulturowego", co, jak zauważa, programowo wypełniają działaniami na rzecz jego rewitalizacji instytucje samorządowe, od lat sięgając do wydarzeń i postaci z niemieckiej historii. Tym samym skazały one dziedzictwo polskich mieszkańców transgranicza na zapomnienie, a wpływy niemieckiego sąsiada zdominowały ich przeszłość.

Niech przykładem będzie plan utworzenia Muzeum Wałbrzyszan, które lokalne władze chcą sfinansować m.in. ze środków Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Co ma ono pokazywać? Wielokulturową tożsamość miasta. Podobnie z Wrocławiem, w którym już teraz mówi się o mieście „międzykulturowym", a cały region ma być „tyglem" położonym w ponadnarodowej „Odrzanii".

Fot. NAC

eprasa.pl af555dd210

Pięć punktów Merza

Jeśli kandydat niemieckiej chadecji na kanclerza na serio myśli o wprowadzeniu w życie swego ostrego planu przeciw imigracji, to po lutowych wyborach będzie mógł go przeprowadzić wyłącznie we współpracy z prawicową AfD

JAN ROKITA

We wtorek 22 stycznia 28-letni nielegalny przybysz z Afganistanu wszedł do parku w Aschaffenburgu, powiatowym miasteczku położonym nad Menem w Dolnej Frankonii, gdzie dźgnął nożem dwuletnie dziecko, zabijając je na miejscu, zranił dwoje kolejnych dzieci, po czym śmiertelnie ugodził jeszcze 40-letniego mężczyznę, który próbował go zatrzymać. Nie sposób powiedzieć, czy muzułmański morderca miał świadomość przełomu, jakiego dokonuje swoim czynem w niemieckiej polityce. Raczej można przypuszczać, że nie miał w głowie tak daleko idących wyobrażeń, tym bardziej że tego rodzaju zbrodnie popełniane przez nienawidzących naszego świata islamistycznych fanatyków w Niemczech stały się już niemal „normalnością". I za każdym razem wzbudzały dotąd tylko coraz ostrzej formułowane antyimigranckie żądania prawicowej AfD, a politycy „głównego nurtu" pozorowali raczej jakieś mocniejsze kroki, za każdym razem wygłaszając patetyczne tyrady potępiające przemoc i terroryzm.

Tym razem jednak przywódca chadeków Friedrich Merz nieoczekiwanie postanowił „wywrócić stolik". Powód tej zmiany jest jasny: mord w Aschaffenburgu miał miejsce dokładnie miesiąc przed niemieckimi wyborami, które odbędą się 23 lutego. Wszystko wskazuje na to, że co prawda chadecja wygra te wybory, ale nikt nie wie (w tym przypuszczalnie również sam Merz), w jaki sposób można będzie sklecić umożliwiającą rządzenie większość w Bundestagu. W każdym razie z perspektywy interesów swojej partii Merz postąpił ze wszech miar racjonalnie.

Już dzień po mordzie w Aschaffenburgu, w środę 23 stycznia, oświadczył: „Nie zgadzam się z tym, by akty z Mannheim, Solingen, Magdeburga, a teraz Aschaffenburga [to miejsca kolejnych zamachów islamistów] stały się nową normą w Niemczech. Miarka jest wreszcie pełna. Stoimy w obliczu chaosu polityki azylowej i imigracyjnej, która od dziesięciu lat jest błędnie prowadzona". Po czym przedstawił radykalny, pięciopunktowy plan przełomu w niemieckiej polityce imigracyjnej, prowokacyjnie zapowiadając poddanie go pod polityczne głosowanie w Bundestagu niezwłocznie, jeszcze przed wyborami, na posiedzeniu zaplanowanym na środę 29 stycznia.

Rzecz w tym, że pięć punktów Merza otwarcie uderza w reguły zawarte w niemieckiej konstytucji oraz ignoruje normy traktatów europejskich.

SZCZEGÓŁY PLANU

Punkt pierwszy planu Merza to ustanowienie stałych i obowiązkowych kontroli na wszystkich granicach Niemiec, co musiałoby oznaczać jednostronne zerwanie przez Berlin tzw. wzmocnionej europejskiej współpracy przewidzianej traktatem z Schengen.

Jeszcze bardziej kłopotliwy jest punkt drugi planu Merza. Mówi się w nim bowiem o „umożliwieniu wjazdu do Niemiec wyłącznie osobom posiadającym dokument uprawniający do

eprasa.pl af555dd210

wjazdu", co jest równoznaczne z zablokowaniem tej możliwości tym, którzy chcieliby ubiegać się azyl w Niemczech. Tu zatem pojawia się zawiły prawniczo problem interpretacji bardzo liberalnej w tej dziedzinie niemieckiej konstytucji. O zawieszeniu prawa do azylu mówił już swego czasu Donald Tusk, a nawet przedstawiał ten postulat na zebraniu Rady Europejskiej. Tyle że przyzwyczailiśmy się już do tego, iż polski premier zwykł mówić różne słuszne rzeczy tylko po to, by o nich mówić. Więc o jakimkolwiek dalszym ciągu sprawy w Polsce nic dotąd nie słychać.

Trzy dalsze punkty planu Merza to natychmiastowe aresztowanie wszystkich imigrantów, którzy mają nakaz opuszczenia kraju, usunięcie z Niemiec tych, którzy dopuścili się przestępstw (tu Merz wyraźnie inspiruje się akcją prowadzoną właśnie przez Trumpa) oraz policyjne i finansowe wsparcie landów nieradzących sobie z przeprowadzaniem deportacji.

Całość układa się w dość prosty, zwarty i logiczny plan, który nie tylko w Niemczech, lecz także we wszystkich krajach zagrożonych nielegalną imigracją już dawno winien być przeprowadzony. Co więcej, polityczny pomysł, aby ów plan natychmiast przedłożyć pod głosowanie w Bundestagu jako polityczną uchwałę nieniosącą formalnie żadnych skutków prawnych ewidentnie został pomyślany przez Merza jako przedwyborcza pułapka na ciągle jeszcze będących u władzy socjalistów i Zielonych. By głosować za jego planem, musieliby połknąć własne języki, wielokrotnie piętnowali bowiem takie pomysły jako „antyeuropejskie", „bezprawne" albo wręcz „faszystowskie". Zostali zatem skazani na jałowe przeciwstawianie się zarówno Merzowi, jak i (co pokazują sondaże) przygniatającej większości niemieckiej opinii publicznej. A wszystko tuż przed wyborami.

Plan Merza pochwaliła za to prawicowa kandydatka do urzędu kanclerskiego Alice Weidel. Jej partia AfD po pewnych wahaniach uznała, że chadecja idzie w końcu za żądaniami od dawna zgłaszanymi przez prawicę, więc plan lidera chadeków należy poprzeć w trakcie głosowania w Bundestagu. Dla Weidel kluczowe było przy tym jedno zdanie, które wypowiedział Merz, obwieszczając swoje pięć punktów. Wstrząsnęło ono niemiecką polityką. „Nie zamierzam już dłużej powstrzymywać się od poddawania pod głosowanie w Bundestagu właściwych wniosków tylko z tego powodu, że mogłyby one zostać poparte przez niewłaściwych ludzi" – odrzekł Merz w odpowiedzi na pytanie jednego z dziennikarzy.

Tym zdaniem lider chadeków podważył to, co w Republice Federalnej było dotąd traktowane jako niepodważalne tabu „głównonurtowej" polityki: obowiązek nieuznawania głosów oddawanych przez posłów prawicowej AfD na wszystkich szczeblach władzy – od parlamentów landowych aż po Bundesrat i Bundestag. Tymczasem Merz sugerował, iż jest gotów forsować swój plan w Bundestagu także wtedy, jeśli miałby on przejść wspólnie głosami chadecji, liberałów i prawicy.

ZAPORA OGNIOWA

To kuriozum niemieckiej polityki jest tam nazywane „die Brandmauer" („zapora ogniowa") i stanowi niespotykaną

Fot. photocosmos1/Shutterstock.com

eprasa.pl af555dd210

gdzie indziej, najbardziej radykalną formę zmowy w celu politycznej izolacji prawicy. Wiadomo, że podobne mają miejsce w kilku innych unijnych państwach, m.in. Francji, Polsce i Austrii. Ale w żadnym z nich rządzącym nie przyszło do głowy, aby umówić się, iż każda decyzja czy ustawa, która zostałaby podjęta dzięki głosom prawicy, zostanie wycofana i unieważniona.

Jakiś czas temu to ustrojowe kuriozum spowodowało np., że gdy w Turyngii głosami prawicy kandydat liberalnej FDP został wybrany na premiera landu, natychmiast musiał podać się do dymisji, aby mógł go zastąpić kontestowany przez prawicę komunista. Więc zgodnie z taką regułą Merz, chcąc zachować polityczną poprawność, winien był oświadczyć, iż jeśli prawicowa AfD chciałaby głosować za jego wnioskiem, to on go wycofa. Byłby to oczywisty absurd, więc polityk uznał, iż nie obchodzi go to, kto będzie głosować za jego planem.

No i się w Niemczech zaczęło. Antyprawicowy fanatyzm rozpętał się w Bundestagu, mediach, kościołach i na ulicach Berlina. Scholz i Habeck, liderzy rządzącej lewicy i Zielonych, oskarżyli Merza o świadome zdruzgotanie niemieckiej demokracji i tzw. europejskich wartości. „Największy kraj otwarcie złamałby prawo unijne, na co dotąd odważył się tylko Viktor Orbán na Węgrzech" – lamentował kanclerz w trakcie środowej debaty w Bundestagu, a lider Zielonych zarzucał Merzowi „kolaborację z rasistami".

Z apelem o opamiętanie się przez Merza wystąpiła komisja porozumiewawcza Kościołów katolickiego i luterańskiego, dla których jest nie do pomyślenia, aby można uchwalić jakiekolwiek prawo popierane przez prawicę (sic!!!). Panikować zaczęli sami chadecy, a chadecki premier Szlezwiku Holsztyna Daniel Günther otwarcie zaatakował lidera własnej partii, zapowiadając, że jego land nie uzna wyników głosowania, jeśli zostanie ono rozstrzygnięte głosami AfD.

Od tego czasu w niemieckiej polityce absurd zaczął gonić kolejny absurd. Co prawda Merz nie ugiął się na tyle, by wycofać się z głosowania nad swoim planem, ale aby odstraszyć prawicę, zamieścił w treści uchwały wiele obelżywych dla niej sformułowań, m.in. sugestię, iż w istocie jest ona moskiewską agenturą. Rozbawiony tym współprzewodniczący AfD Tino Chrupalla dzień przed głosowaniem mówił, iż te insynuacje nie przeszkadzają jego partii, a „AfD nie da się nabrać na takie sztuczki".

I tak w popołudniowym głosowaniu w Bundestagu w środę 29 stycznia plan Merza, czyli lidera opozycji parlamentarnej, został przyjęty stosunkiem głosów 348–345. Co łatwo było przewidzieć, decydujące było poparcie ze strony prawicowej AfD i liberalnej FDP.

> Całość układa się w dość prosty, zwarty i logiczny plan, który nie tylko w Niemczech, lecz także we wszystkich krajach zagrożonych nielegalną imigracją już dawno winien być przeprowadzony

AfD ROŚNIE W SIŁĘ

Trudno się dziwić, że w takich okolicznościach niemiecka prawica triumfuje, a przy tym stara się zachowywać bardzo racjonalnie.

W przedwyborczych sondażach AfD zajmuje stabilne drugie miejsce za chadecją, ale znacznie wyprzedza słabych socjalistów kanclerza Scholza. W weekend poprzedzający głosowanie, w sobotę 25 stycznia w Halle, stolicy Saksonii-Anhalt, partia odbywała akurat swój przedwyborczy kongres. Z telebimu zawieszonego na sali do rozentuzjazmowanych delegatów zwrócili się m.in. Elon Musk oraz Herbert Kickl, lider nowej austriackiej prawicy, któremu właśnie udało się wygrać wybory, złamać zmowę izolacji przeciw jego partii i ma teraz objąć w Wiedniu urząd kanclerza.

Podczas kongresu liderka AfD i kandydatka na urząd kanclerza Alice Weidel w spokojnym tonie poparła plan Merza, apelując doń, aby po wyborach nie obawiał się prawicowo-chadeckiej „niebiesko-czarnej koalicji". „Kochana CDU – mówiła Weidel – zburzcie niedemokratyczne zapory ogniowe, tak jak właśnie czyni to Austriacka Partia Ludowa, która na własnej skórze przekonała się, iż nie można wiecznie ignorować woli wyborców".

Ogłaszając swój pięciopunktowy plan, Merz zepchnął do narożnika niemiecką lewicę i Zielonych. Ale zarazem z całą mocą ukazał Niemcom fakt, iż sam nie jest w stanie dokonać jasnego wyboru co do kształtu polityki i formuły rządu po lutowych wyborach. Tymczasem każdy widzi, że jeśli Merz na serio myśli o wprowadzeniu w życie swego ostrego planu przeciw imigracji, to po wyborach będzie mógł go przeprowadzić wyłącznie we współpracy z prawicową AfD. Po zapewne przegranych wyborach lewicowy obóz Scholza i Habecka, niezdolny dotąd przeciwstawić się masowej imigracji, tym bardziej nie będzie mieć motywów do wspierania ryzykownych konstytucyjnie i unijnie projektów Merza.

Jeśli zatem tak jak do tej pory Merz będzie chciał utrzymać „zaporę ogniową" przeciw prawicy i próbował ją zniszczyć w dłuższym czasie, to cały z takim hukiem ogłoszony teraz przezeń plan pozostanie tylko przedwyborczym pustosłowiem. W niemieckiej polityce jest tak, że przed wyborami można zapowiadać, co się chce, ale wszyscy wiedzą, że po wyborach decyzje zależą od zgody koalicjantów. Jeśli więc Scholz czy Habeck wrócą po elekcji tym razem w rządzie kanclerza Merza, to zostanie on ubezwłasnowolniony, a obecny rozkład niemieckiego państwa i jego polityki tylko się pogłębi. Dla AfD to całkiem wygodny scenariusz. Alice Weidel stałaby się wówczas jedynym liderem opozycji na najbliższe cztery lata, a to by oznaczało, że w 2029 r. (albo wcześniej) już tylko ona będzie realną kandydatką na następnego kanclerza Niemiec.

eprasa.pl af555dd210

Zatrzaśnięte drzwi

W USA trwa największa w historii masowa operacja deportacji nielegalnych imigrantów oraz próba uszczelnienia granicy z Meksykiem. „Złożyliśmy obietnice i dotrzymujemy ich" – twierdzi prezydent Donald Trump

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Cesar Polanco ma 59 lat i pochodzi z Dominikany. W 2007 r. pobił swoją ciężarną żonę na śmierć na oczach ich 5-letniego dziecka. Był pod wpływem alkoholu i narkotyków. Sam wezwał policję. Czekał na nią zakrwawiony na schodach bloku, w którym mieszkał w Lawrence w Massachusetts. Otrzymał karę dożywotniego pozbawiania wolności. W grudniu ub.r. komisja ds. zwolnień warunkowych uznała, że po 17 latach odsiadki Polanco powinien opuścić zakład karny, bo „wyraził skruchę". Zanim jednak wyszedł na wolność, zatrzymał go Urząd Celno-Imigracyjny (ICE) i odesłał na Dominikanę. W przeszłości mężczyzna był już wielokrotnie deportowany, by ponownie nielegalnie przedzierać się do Stanów Zjednoczonych, posługując się fałszywymi dokumentami tożsamości.

Jest on jednym z ponad 5,5 tys. imigrantów skazanych lub podejrzewanych o przestępstwa, których ICE zatrzymał w pierwszym tygodniu urzędowania Donalda Trumpa w Białym Domu. Wśród nich kilkudziesięciu członków wenezuelskiego gangu więziennego Tren de Aragua, latynoskiego gangu MS-13 (Mara Salvatrucha), co najmniej pięciu „zawodowych przestępców" schwytanych przez Agencję ds. Walki z Narkotykami (DEA), kilku podejrzanych o terroryzm i dziesiątki innych osób poszukiwanych za morderstwa, porwania, molestowanie seksualne dzieci itp. Część została już deportowana samolotami do krajów pochodzenia. Biały Dom narzucił dzienny wymóg co najmniej 75 zatrzymań w każdym z 25 oddziałów terenowych ICE.

NIE PRZYJEŻDŻAJCIE

Wśród pierwszych rozporządzeń, które Trump podpisał tuż po inauguracji prezydentury, znalazło się wprowadzenie stanu wyjątkowego na granicy z Meksykiem, gdzie wysłał 1,5 tys. dodatkowych żołnierzy, a także rozporządzenie wykonawcze anulujące prawo do obywatelstwa dla dzieci nielegalnych imigrantów urodzonych na amerykańskiej ziemi. Wśród innych zapowiedzi znalazło się wznowienie budowy muru granicznego i przywrócenie polityki „Pozostań w Meksyku". Obliguje ona osoby ubiegające się o azyl do oczekiwania na przesłuchania imigracyjne poza granicami USA.

Fot. @PressSec/X

eprasa.pl af555dd210

Nazywany „carem granicy" Thomas Homan, odpowiedzialny za szczelność granic, podkreślił w rozmowie z CNN, że choć akcja deportacyjna ma objąć głównie osoby skazane za przestępstwa, zatrzymywani będą „też inni nielegalni imigranci". Trump wielokrotnie mówił podczas kampanii, że jego celem jest wydalenie „15, a nawet 20 mln osób" z kraju. Organizacja non-profit American Immigration Council szacuje, że w USA jest 13 mln migrantów bez prawa

Amerykańskie władze przymusowo odsyłają nielegalnych migrantów z Kolumbii do ich kraju

pobytu. Usunięcie ich wszystkich z amerykańskiej ziemi kosztowałoby co najmniej 315 mld dol. Obecny budżet ICE wynosi ok. 8 mld dol., dlatego Biały Dom sięga po logistyczną pomoc Departamentu Obrony.

Amerykańskie stacje telewizyjne szczegółowo relacjonowały wylot wojskowego samolotu transportowego C-17 Globemaster III z 80 nielegalnymi migrantami (w tym całymi rodzinami) na pokładzie z Biggs Army Airfield w Teksasie. Kierunek: Ekwador. „Nie dziś, nie jutro ani w przyszłym tygodniu. Nigdy. Nie przyjeżdżajcie do Stanów Zjednoczonych i nie próbujcie dostać się tu nielegalnie" – powiedział przy tej okazji w rozmowie z Fox News Hamid Nikseresht, szef operacji specjalnych Straży Granicznej. Według Homana deportacje będą kontynuowane codziennie „do czasu wyrzucenia z USA ok. 700 tys. nielegalnych migrantów, którzy popełnili przestępstwa". Zapowiedział też, że nie zostaną przy tym oszczędzone tzw. miasta sanktuaria, czyli ośrodki rządzone przez demokratów, które odmawiają współpracy z federalnymi służbami imigracyjnymi.

Przy okazji Trump podpisał ustawę Laken Riley Act nakładającą obowiązek więzienia nielegalnych imigrantów notowanych za takie przestępstwa, jak kradzież czy włamanie. Towarzyszyli mu krewni 22-letniej studentki pielęgniarstwa, która została zamordowana w lutym ub.r. podczas joggingu na kampusie Uniwersytetu Georgia przez Wenezuelczyka. José Antonio Ibarra został wypuszczony na wolność przez urzędników administracji Joe Bidena po tym, jak we wrześniu 2022 r. przyłapano go na przekraczaniu granicy w pobliżu El Paso w Teksasie. Brat Joségo należy do gangu Tren de Aragua.

ROZPACZ I ŁZY

Za południową granicą, w Meksyku, zmiana polityki imigracyjnej administracji w Waszyngtonie wywołała dramatyczne sceny. W dzień inauguracji Trumpa zamknięto aplikację ułatwiającą przyjazd do USA. W narzędziu CBP One usunięto zaplanowane spotkania z funkcjonariuszami, na które migranci czekali od miesięcy. O zmianach wiele osób dowiedziało się, stojąc już w kolejkach. Jedna z kobiet usiadła i zaczęła płakać. Inni głośno dawali upust swej rozpaczy i frustracji. „Nie wiem, co będzie dalej z moim życiem" – powiedziała CNN 48-letnia Kolumbijka Margelis Tinoco, która wraz z mężem i synem odbyła długą, niebezpieczną podróż z Ameryki Południowej. „Okażcie współczucie i pozwólcie nam przejść" – błagała, mówiąc, że po opuszczeniu Wenezueli, gdzie mieszkała z rodziną, przeżyła „sześć miesięcy cierpień". Yaime Perez, 27-letni Kubańczyk, również emocjonalnie zaapelował do Trumpa. „Skoro tu jesteśmy, proszę, wpuśćcie nas, po całym wysiłku, jaki włożyliśmy w to, aby tu dotrzeć. Chcemy doskonalić się w życiu i być kimś" – szlochał. Jak podaje „The Washington Post", nagłe anulowanie aplikacji dotknęło ok. 30 tys. osób koczujących w obozach w Meksyku wzdłuż Rio Grande.

Poczucie rozpaczy ogarnęło także obóz imigrantów La Soledad, który góruje nad slumsami w centrum miasta Meksyk. Miał to być tymczasowy przystanek w oczekiwaniu na odpowiedni moment, aby kontynuować podróż w stronę Stanów Zjednoczonych. Według „Los Angeles Times" wielu sprzedało domy, pożyczyło gotówkę, zapłaciło przemytnikom i pozostawiło dzieci w pogoni za amerykańskim snem. A teraz stoją przed egzystencjalnym pytaniem, co dalej. Większość pochodzi z Wenezueli, niegdyś bogatego państwa Ameryki Południowej, który doświadczył exodusu ponad 7 mln mieszkańców w wyniku załamania gospodarczego, społecznego i politycznego. Jak twierdzą, nie mają do czego wrócić. Niektórzy rozważają wyjazd do Kolumbii, gdzie już raz zatrzymali się w drodze do USA i gdzie mają nadzieję znów znaleźć pracę. W Meksyku nikt nie chce zostać. „Tu zarabiasz tylko tyle, by przeżyć. A ja muszę wysyłać pieniądze rodzinie w Wenezueli" – mówił w rozmowie z gazetą 50-letni Dixon Camacho, którego nastoletnie dzieci pozostały w ojczyźnie.

W południowym Meksyku setki migrantów zignorowało zresztą ostrzeżenia Trumpa i wyruszyło pieszo znad granicy z Gwatemalą. Takie zorganizowane grupy mają wywrzeć presję na władze Meksyku, by umożliwiły im dotarcie do USA. W ostatnich tygodniach zaczęto je bowiem rozbijać i przewozić migrantów do najbardziej odległych zakątków kraju. Niektórzy wylądowali w kurorcie Acapulco, gdzie zakłócili spokój urlopujących tam turystów.

CIEPŁE OBJĘCIE

Decyzje gospodarza Białego Domu postawiły prezydent Meksyku Claudię Sheinbaum w trudnym położeniu. Szacuje się, że w Stanach Zjednoczonych

eprasa.pl af555dd210

mieszka obecnie 5 mln Meksykanów nieposiadających dokumentów, a perspektywa masowego powrotu może szybko przytłoczyć przygraniczne miasta, takie jak Juárez i Tijuana. W tym ostatnim powstaje obecnie miasteczko namiotowe, które ma przyjąć deportowanych, z których wielu nie widziało ojczyzny, odkąd byli dziećmi. Oprócz ochrony przed żywiołami otrzymają żywność, opiekę medyczną i pomoc w uzyskaniu meksykańskich dokumentów tożsamości w ramach programu wsparcia nazwanego przez administrację Sheinbaum „Meksyk was obejmuje". Prezydent przekonywała zresztą obywateli, by „zachowali spokój i zimną krew" w kwestii gróźb Trumpa – od deportacji po nałożenie karnych ceł. Nadzorujący schroniska dla migrantów są mniej optymistyczni.

José María García Lara, dyrektor schroniska Juventud 2000 w Tijuanie, skarżył się na brak miejsca i środków. „Uderza się w nas z dwóch stron. Po pierwsze, przybycie Meksykanów (już ponad 4 tys. zostało deportowanych), a po drugie, innych migrantów przybywających ze swoich krajów. W końcu nie damy już rady" – mówił.

Ten problem może jeszcze urosnąć, jeśli Meksyk zgodzi się na politykę „Pozostań w Meksyku". Było tak za pierwszej kadencji Trumpa, gdy rządził Manuel López Obrador, i meksykańskie miasteczka przygraniczne zostały zalane migrantami. Tym razem Sheinbaum dała jasno do zrozumienia, że nie zgodzi się na ten plan i nie przyjmie żadnych osób ubiegających się o azyl w USA niebędących Meksykanami. Ale jest jeszcze kwestia karteli narkotykowych przemycających ludzi przez granicę, które Trump chce uznać za organizacje terrorystyczne, co pozwoliłoby użyć przeciwko nim wojska. Także na terenie Meksyku – obawia się Scheinbaum, która przyrzekła bronić „suwerenności kraju".

Bronić swej suwerenności chciał także prezydent Kolumbii Gustavo Petro. Odmówił przyjęcia dwóch wojskowych samolotów C-130 z ok. 80 migrantami na pokładzie. Według niego byli oni „traktowani jak kryminaliści", ze skutymi rękami i nogami. W odwecie Trump zapowiedział wprowadzenie przeciwko Kolumbii dotkliwych sankcji gospodarczych, w tym 25-proc. ceł, a także zamknięcie amerykańskich konsulatów i wstrzymanie programów wizowych. W konsekwencji Petro zgodził się na wszystkie warunki amerykańskiego prezydenta, w tym na nieograniczone przyjmowanie nielegalnych imigrantów z Kolumbii, również w samolotach wojskowych. Trump jest przekonany – czemu dał zresztą wyraz na forum ekonomicznym w Davos – że uda mu się także porozumieć z Sheinbaum oraz przywódcami innych południowoamerykańskich państw, jeśli tylko użyje odpowiednich środków perswazji.

> Nazywany „carem granicy" Thomas Homan, odpowiedzialny za szczelność granic, podkreślił w rozmowie z CNN, że choć akcja deportacyjna ma objąć głównie osoby skazane za przestępstwa, zatrzymywani będą „też inni nielegalni imigranci"

OPUSTOSZAŁE MIASTA

Tymczasem w USA toczy się gorąca debata, czy Trumpowi rzeczywiście uda się deportować wszystkich tych migrantów, których obiecał wydalić i czy nie zaszkodzi to amerykańskiej gospodarce. Jak dotąd policja w większości stanów wyraziła chęć współpracy z władzami federalnymi w zakresie egzekwowania prawa imigracyjnego. Inne wydziały policji, m.in. w Los Angeles, Bostonie i Tucson, zadeklarowały jednak, że nie będą uczestniczyć w deportacjach. Jak wskazują niektórzy eksperci, poza kosztami masowe deportacje mogą zakłócić gospodarkę USA, zwłaszcza sektor budowlany i rolniczy. Z rządowych szacunków wynika, że ponad 20 proc. pracowników w sektorze budowlanym nie posiada dokumentów, w rolnictwie – aż 40 proc. Do tego dochodzi kwestia tych, których pobyt został zalegalizowany za czasów prezydentury Joe Bidena. To ponad 1 mln osób, które mogą zostać pozbawione ochrony prawnej. Wiele z nich skarżyło się w ostatnich tygodniach dziennikarzom liberalnych mediów, że boją się wyjść z domów.

„Miasta opustoszały" – czytamy na stronach internetowych telewizji MSNBC. W Chicago, mieście sanktuarium, aktywiści pomagają migrantom ukrywać się przed ICE. Jak twierdzi magazyn „Forbes", agentom służb imigracyjnych „chodzi tylko o liczby". „Im są wyższe, tym lepiej. Ale my mówimy tu o ludziach. Niektórzy mieszkają tu od dekad. Co ich czeka po deportacji?" – pyta pismo. Część demokratów jest zresztą wściekła, że ich partyjni koledzy w Izbie Reprezentantów i Senacie poparło ustawę Laken Riley Act. Kongresmen Eric Swalwell z Kalifornii głosował przeciwko ustawie, mówiąc Chrisowi Hayesowi z MSNBC, że dzięki niej „ludzie będą ścigani, ponieważ są brązowi". Według niego to „usankcjonowany rasizm". Organizacje obrony praw człowieka zapowiedziały także walkę sądową przeciwko prezydenckiemu rozporządzeniu znoszącemu prawo do obywatelstwa dla dzieci nielegalnych imigrantów urodzonych na amerykańskiej ziemi, bo ich zdaniem jest ono „niezgodne z konstytucją". Zapowiadają „batalię, która zatrzyma nielegalne działania Trumpa". To mniejszości etniczne w biednych dzielnicach ucierpiały jednak najbardziej z powodu polityki lewicowej elity przeciwko prawu i porządkowi, od przestępczości po nielegalną imigrację. Jak donosi „New York Post", czarni i Latynosi mieszkający na nowojorskim Bronksie kibicowali więc nalotom Urzędu Celno-Imigracyjnego. 80-letnia Evelyn Brown wołała: „Zabierzcie ich stąd, żebyśmy nie musieli dłużej żyć w strachu".

eprasa.pl af555dd210

Gorąca rywalizacja o lodowatą Arktykę

Ostatnie wydarzenia na Bałtyku – akty sabotażu podwodnej infrastruktury krytycznej, ostrzelanie niemieckiego śmigłowca, który zbliżył się do rosyjskiej korwety czy intensywna działalność szpiegowska mogą być wstępem do poważniejszej akcji. Warto pamiętać, że do rozgrywki o kontrolę nad obszarami arktycznymi Rosjanie zaczęli się przygotowywać już wiele lat temu

MAREK BUDZISZ

Zdaniem klimatologów niedawne katastrofalne pożary w Kalifornii zostały wywołane topieniem się lodu na dalekiej Północy. To spowodowało, że na południowe rejony tego stanu spadła najmniejsza liczba opadów od 150 lat, a wiatry były znacznie silniejsze niż w przeszłości.

Zmiany klimatyczne ułatwiają też żeglugę na wodach okalających Arktykę. Jak informował niedawno „Financial Times", w ostatniej dekadzie ruch towarowy na tych szlakach wzrósł o 37 proc., co wyjaśnia, dlaczego Chiny i Rosja są tam coraz aktywniejsze. Północna Droga Morska, którą Rosjanie kontrolują wojskowo, jest krótsza niż tradycyjne trasy przez Kanał Sueski, nie mówiąc już o żegludze dookoła Afryki. Putin od wielu lat mówi o strategicznym dla przyszłości Federacji znaczeniu tej trasy.

BOGATE ZŁOŻA

Wzrost znaczenia obszarów podbiegunowych i położonych na dalekiej Północy, słabo zbadanych przez geologów, ale już wiadomo, że zasobnych w minerały ziem rzadkich, których eksploatacja w związku z ociepleniem staje się coraz łatwiejsza, wyjaśnia, dlaczego Donald Trump podjął ostatnio temat Grenlandii. Rośnie także rola Szwecji, gdzie w rejonie Kiruny odkryto największe europejskie złoża tych minerałów. Wydobywa się tam również wysokiej jakości rudę żelaza, której znaczenie w związku z rosnącymi nakładami Europy na zbrojenia też jest coraz większe. Brytyjski dziennik „The Times" zwrócił uwagę na fakt, że w związku z tym odkryciem rośnie znaczenie trasy kolejowej wiodącej z norweskiego Narwiku do Kiruny i na południe do portu Luleå. Warto zauważyć, że w czasie ostatnich 12 miesięcy wydarzyły się tam dwie podejrzane awarie, w efekcie których linia przez kilka miesięcy wyłączona była z eksploatacji. Prokuratura prowadziła śledztwo, aby zbadać, czy wypadki te nie były aktami sabotażu „czynników zewnętrznych".

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl af555dd210

POD OKIEM ROSJAN

W styczniu fiński wywiad w corocznym raporcie zwrócił uwagę, że Rosjanie planują zwiększyć swój potencjał wojskowy na nadgranicznych obszarach podbiegunowych z obecnych 30 do 80 tys. żołnierzy. Póki trwa wojna na Ukrainie, nie jest to realne, bo wszyscy chcący walczyć wysyłani są na front, ale zakończenie konfliktu zmieni tę sytuację. Jak oceniają przedstawiciele wywiadu w ciągu maksimum trzech lat Moskale mogą rozbudować swe siły na granicy z Finlandią, co oznacza, że zagrożenie zacznie narastać.

Kreml od lat konsekwentnie rozwija też i modernizuje swe zdolności w zakresie walki radioelektronicznej i obserwacji północnych obszarów państw NATO. Dobrym przykładem jest stacja radarowa w Iyvara czy bliźniacze instalacje w Zapolarnym. W tym pierwszym miejscu w latach 2018–2022 Rosjanie zbudowali dwa nowe radary dalekiego zasięgu, umiejscawiając je na wzniesieniu, co zdaniem fińskich naukowców pozwala im znacznie lepiej zajrzeć w głąb północnych terytoriów państw NATO. Ich działania mają o tyle istotne znaczenie, że w odległości 70 km znajduje się baza wojskowa i lotnisko w Ivalo, w Kirkenes, 100 km od rosyjskiej granicy, stacjonują norwescy strażnicy graniczni, a nieco dalej, bo 190 km od rosyjskich instalacji, jest poligon w Sodankylä.

Rosjanie zaczęli się przygotowywać do rozgrywki o kontrolę nad obszarami arktycznymi już wiele lat temu. Jeszcze w 2021 r. Putin wydał decyzje o przekształceniu Floty Północnej w kolejny, piąty okręg wojskowy, ale jak powiedział wówczas dziennikowi „Niezawisimaja Gazieta" adm. Kasatonow, decyzja „dojrzewała już dawno" i pierwszym krokiem było powołanie w 2014 r. wydzielonego dowództwa arktycznego. Flota Północna odpowiada teraz za sześć stale rozbudowywanych baz wojskowych, które zlokalizowane są na Dalekiej Północy. Prócz tego dysponuje ona 10 lotniskami wojskowymi, wyrzutniami rakiet balistycznych, portami wojennymi i kompleksami radiolokacyjnymi. Docelowo modernizacji i rekonstrukcji ma podlegać 19 zlokalizowanych na Dalekiej Północy lotnisk wojskowych oraz 16 portów o znaczeniu militarnym. W ostatnich latach Moskwa szczególnie intensywnie rozbudowuje swe instalacje wojskowe, w tym przeznaczone do magazynowania głowic jądrowych i środków ich przenoszenia na Półwyspie Kolskim, a stacjonujące tam siły są bezpośrednim zagrożeniem dla państw NATO.

WOJENNE SCENARIUSZE

Jak donosił fiński dziennik „Iltalehti", w czasie niedawnego spotkania państw Paktu Północnoatlantyckiego z rejonu Morza Bałtyckiego, które odbyło się w Tallinnie, analizowano scenariusze rosyjskiego ataku na północy i równoległego wymierzonego w państwa bałtyckie. „Wojna na Ukrainie pokazała, że Rosja jest gotowa podjąć znaczne ryzyko bez względu na straty" – ostrzegał fiński rząd. Według wojskowych w świetle tego scenariusza Rosjanie mieliby się przygotowywać do ataku na wybrzeże Norwegii na Dalekiej Północy, wyprowadzonego z okolic Murmańska. Budowany rosyjski 14. Korpus Armijny, który miałby odpowiadać za to uderzenie, będzie wspierany przez wojska powietrzno-desantowe, których zadaniem będzie opanowanie lotnisk w fińskiej Laponii, w tym strategicznie ważnego Ivalo.

Aby zniechęcić Rosjan do rozważania takiego scenariusza, w ub.r. NATO zorganizowało największe od lat ćwiczenia wojskowe na Dalekiej Północy, których celem było szybkie przerzucenie w ten rejon 20 tys. żołnierzy. Fiński wywiad jest przekonany, że Rosjanie mogą chcieć utworzyć strefę buforową w Laponii i norweskim Finnmarku. W ten sposób związaliby siły Paktu Północnoatlantyckiego i umożliwili działanie 44. Korpusu Armijnego, którego celem mógłby być atak na południe Finlandii, w tym uchwycenie punktów o znaczeniu strategicznym umożliwiających blokadę Zatoki Fińskiej. Uniemożliwiłoby to wsparcie Estonii, która w tym scenariuszu wraz z Łotwą miałaby się stać głównym celem uderzenia. W tym samym czasie rosyjska 6. Armia miałaby zaatakować Litwę z Białorusi, a siły z obwodu królewieckiego próbować zdobyć szwedzką Gotlandię, której kontrola daje panowanie na Bałtyku.

Fiński dziennik przywołał anonimową opinię jednego z dowódców wojskowych państw NATO, który powiedział: „W 2017 r. Rosja ćwiczyła atak na Norwegię, Finlandię i kraje bałtyckie w ramach manewrów Zapad. Rosjanie nie porzucili planu inwazji i chcą go zrealizować po wojnie na Ukrainie. Według naszych informacji plan nadal istnieje, a Rosjanie nie zrezygnowali z chęci jego realizacji".

Ostatnie wydarzenia na Bałtyku, akty sabotażu podwodnej infrastruktury krytycznej, ostrzelanie niemieckiego śmigłowca, który zbliżył się do rosyjskiej korwety czy intensywna działalność szpiegowska mają być wstępem do poważniejszej akcji, służyć rozpoznaniu teatru przyszłych działań i zbadaniu, na ile można zastraszyć potencjalnych przeciwników. Kwestie rozważane przez ekspertów sprowadzają się nie do pytania czy, ale kiedy i w jakich warunkach Kreml może uruchomić ten scenariusz. Jeśli wojna na Ukrainie się zakończy albo zostanie zamrożona, wówczas część zaangażowanego tam rosyjskiego potencjału wojskowego będzie mogła zostać rzucona na inny kierunek.

Już w 2021 r. Rosjanie zaczęli kwestionować przebieg swych granic zarówno lądowych, jak i morskich na Dalekiej Północy. Siergiej Riabkow, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych, stwierdził wówczas, że podpisane w latach 90. ub.w. porozumienie Baker–Szewardnadze wytyczające granicę morską między Stanami Zjednoczonymi a Federacją Rosyjską w Cieśninie Beringa nie zostało w Rosji ratyfikowane, dlatego zdaniem Moskwy nie ma obowiązującego charakteru. W jego opinii można jedynie mówić o tym, że jest ono tymczasowe i powinno zostać renegocjowane, bo zostało zawarte, kiedy Rosja była słaba i zawiera niekorzystne klauzule. To dlatego Amerykanów zaniepokoiła wzrastająca w ostatnich miesiącach aktywność rosyjskiej marynarki wojennej w tym rejonie. Przede wszystkim zwrócono jednak uwagę na jej wspólne manewry z Chińczykami, którzy zaczęli interesować się rejonami polarnymi, a nawet zgłosili swój akces do Rady Arktycznej, forum państw mających dostęp do tych obszarów.

eprasa.pl af555dd210

WYSOKA STAWKA

Jeśli mówimy o zagrożeniu rosyjskim atakiem na Dalekiej Północy, warto pamiętać, że z politycznego punktu widzenia – tak uważa wielu ekspertów – może być on poważnie brany pod uwagę na Kremlu. Walka o prawie bezludne tereny polarne nie jest marzeniem państw członkowskich NATO, a to może oznaczać, że jedność sojuszu zacznie kruszeć, ujawnią się różnice interesów i Moskwa będzie mogła pokazać, że w praktyce art. 5 nie działa. Szantaż, a nawet sygnalizacyjne użycie taktycznej broni jądrowej jest też łatwiejsze w niezamieszkałych rejonach niż wtedy, gdy zagrożone są duże skupiska ludności cywilnej.

Narastające zagrożenie zaczęła dostrzegać już administracja Bidena, a stanowczość Donalda Trumpa w kwestii Grenlandii wskazuje na to, że Amerykanie są przekonani o potrzebie szybkich i zdecydowanych działań. Premier Danii Mette Frederiksen po rozmowie telefonicznej z amerykańskim prezydentem „była blada jak ściana", jak donosili mediom jej współpracownicy, a minister spraw zagranicznych mówił na konferencji prasowej o „największym od pokoleń" kryzysie międzynarodowym, z którym to skandynawskie państwo ma do czynienia.

Najwyraźniej Amerykanie są zdania, że czas zaczyna pracować na ich niekorzyść, trzeba działać szybko, nawet brutalnie, bo są w Arktyce zdecydowanie słabsi niż rysująca się rosyjsko-chińska koalicja. Takie nastawienie potwierdzają też ich inne kroki. W czasie niedawnego szczytu NATO w Waszyngtonie podpisali oni z Finlandią i Kanadą porozumienie określane mianem ICE Pact. Chodzi o umowę w kwestii budowy lodołamaczy, które stają się istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa, ale przede wszystkim kontroli ważnych tras żeglugowych. Federacja Rosyjska ma obecnie znaczącą przewagę nad Ameryką w tej kwestii. Kreml może liczyć na 46 jednostek tego typu, w tym 4 ciężkie, z których 2 są remontowane, a Waszyngton dysponuje jedynie 5 lodołamaczami, w tym ciężkim. Jeśli weźmiemy pod uwagę deklaracje w zakresie budowy kolejnych, to Rosja chce powiększyć swoją flotę o 11 sztuk, które są już w budowie, i planuje następne 4, a Stany Zjednoczone jedynie o 3 sztuki. Jest to zdecydowanie zbyt mało, zwłaszcza wobec pogłębiającej się współpracy rosyjsko-chińskiej, która dotyczy również rozwijania zdolności do żeglugi tzw. Północną Drogą Morską. W związku ze zmianami klimatycznymi już niedługo może się ona stać kluczem do Europy dla chińskich towarów. Jeśli Amerykanie chcą zablokować ekspansję Pekinu, w tym możliwości eksportu na nasz kontynent – a od utrzymania zdolności w tym zakresie zależy to, czy chińska gospodarka będzie rosła w kolejnych latach – muszą mieć zdolność do kontrolowania i ewentualnego blokowania tej trasy żeglugowej.

> Premier Danii po rozmowie telefonicznej z amerykańskim prezydentem „była blada jak ściana", a minister spraw zagranicznych mówił o „największym od pokoleń" kryzysie międzynarodowym, z którym to skandynawskie państwo ma do czynienia

Nie wiadomo, jak wobec rywalizacji Waszyngtonu i Pekinu zachowają się państwa europejskie. Interesy gospodarcze, uzależnienie od chińskiego rynku może skłonić niektóre z nich, w tym przede wszystkim Niemcy, do realizacji polityki stania z boku, nieangażowania się po żadnej ze stron i dystansowania od amerykańskiej idei przenoszenia łańcuchów zaopatrzenia oraz prób izolacji Pekinu.

Taka perspektywa jest bardzo groźna dla amerykańskiego systemu sojuszniczego i dlatego w Waszyngtonie na wszelki wypadek myśli się o możliwościach blokady. Jeśli chodzi o Północną Drogę Morską, to dwie pozycje ryglowe zdecydują, czy stanie się ona arterią handlową XXI w. Pierwsza to przestrzeń GUIK, czyli obszar Morza Północnego i północnej części Atlantyku znajdujący się między Grenlandią, Wielką Brytanią i Islandią. W czasach zimnej wojny ta część północnego Atlantyku była określana mianem bramy do tego akwenu i ten, kto ją kontrolował, mógł zagrozić żegludze na całym oceanie światowym. Ta bariera musi być zatem szczelna, ale Rosjanie również o tym wiedzą i dlatego w ostatnich latach aktywność ich okrętów podwodnych na wodach północnej części Atlantyku była na poziomie dorównującym obecności w czasie zimnej wojny, jak w 2023 r. zauważył gen. Cavoli.

Aby blokować Rosjan i być może współdziałających z nimi Chińczyków, trzeba też kontrolować pierwszą pozycję ryglową, czyli Spitsbergen i północne wybrzeża Finlandii oraz Norwegii. Dlatego NATO od dwóch lat organizuje intensywne manewry w tej części świata, ostatnio Northern Forest 24, a Stany Zjednoczone w ekspresowym tempie podpisały porozumienia o współpracy wojskowej z rządami Finlandii i Szwecji, które w tym pierwszym kraju dają im możliwość dysponowania nawet 16 bazami wojskowymi, jeśli zajdzie taka potrzeba.

* * *

Rywalizacja o kontrolę Arktyki i okalających ją wód dopiero się zaczyna, ale podejmowane już działania, choćby w związku ze sprawą Grenlandii, gruntownie zmieniają porządek globalny. Ten rejon świata będzie zyskiwał na znaczeniu, a to oznacza zarówno koncentrację wojsk, jak i rozbudowę zdolności militarnych rywalizujących państw. Jeśli zastanawiamy się, gdzie może nastąpić starcie mocarstw, to zwracajmy uwagę na te rejony, bo już niedługo Spitsbergen może kojarzyć nam się nie tylko z polska misją naukową, lecz także jako jeden z frontów globalnego zwarcia.

eprasa.pl af555dd210

Watykan szykuje się na Trumpa

Kilka ostatnich miesięcy wygląda, jakby fala reform rozpoczęta przez papieża Franciszka została trochę stłumiona. Czy naprawdę tak jest?

GORAN ANDRIJANIĆ

Co nowego przygotowuje papież Franciszek? W ostatnich miesiącach to pytanie zadawało sobie wielu publicystów, którzy uważnie śledzą, co się dzieje w Watykanie.

Wydaje się, że papież z Argentyny przyzwyczaił opinię publiczną do decyzji i posunięć, które wywołują silne reakcje – zarówno pozytywne, jak i negatywne. Nie zapominajmy, że taka sytuacja wcale nie powinna zaskakiwać, bo Franciszek to papież, który postanowił, że jego pontyfikat będzie naznaczony zmianami w Kościele katolickim. Takimi, które niektórzy określiliby mianem reform, a inni rewolucji (w negatywnym znaczeniu tego słowa). Natomiast wydarzenia ostatnich miesięcy wyglądają tak, jakby ta fala reform została przystopowana. Stąd i pytania, jak to z początku tego tekstu.

WPŁYWOWI „LIBERAŁOWIE"

Choć jest to chwilowe uspokojenie, nie można powiedzieć, że w Watykanie zupełnie nic się nie dzieje i że nie ma tam żadnych kontrowersji. Dobrym przykładem jest nominacja ordynariusza, która niedawno miała miejsce w Stanach Zjednoczonych. Po przyjęciu rezygnacji kard. Wiltona Daniela Gregory'ego z zarządzania archidiecezją waszyngtońską Ojciec Święty mianował nowym arcybiskupem Waszyngtonu Roberta McElroya, dotąd biskupa San Diego w metropolii Los Angeles.

Kard. McElroy był postrzegany w mediach jako jeden z amerykańskich biskupów szczególnie bliskich papieżowi Franciszkowi i Stolicy Apostolskiej. Jego nazwisko jest wymieniane w tym kontekście obok nazwisk kardynałów Blase'a Cupicha, abp. Chicago czy Josepha Tobina, abp. Newark.

Oprócz tendencji do „liberalnego" pojmowania teologii tę grupę duchownych łączy także pewna bliskość polityczna z Partią Demokratyczną. To właśnie ci kardynałowie zrobili kiedyś, co w ich mocy, aby zapobiec decyzji Konferencji Katolickich Biskupów Stanów Zjednoczonych (USCCB) odmawiającej udzielenia komunii świętej ówczesnemu prezydentowi Joe Bidenowi, zadeklarowanemu katolikowi, jednak otwarcie popierającemu aborcję.

Według niektórych źródeł w pierwszej połowie 2021 r., gdy trwała ożywiona dyskusja na temat kary kościelnej dla Joe Bidena, kardynałowie Cupich i Tobin udali się do Watykanu i spotkali się z ówczesnym prefektem Dykasterii Nauki Wiary kard. Luisem Ladarią Ferrerem. Po rozmowie z amerykańskimi biskupami prefekt wysłał list do Konferencji Katolickich Biskupów Stanów Zjednoczonych, dając jasno do zrozumienia, że karanie Bidena nie byłoby mądre. Następnie w listopadzie 2021 r. USCCB przyjęła dokument, który jednoznacznie nie potępiał ani nie karał katolickich polityków popierających aborcję.

Stało się wówczas jasne, że grupa kardynałów blisko związana z demokratami ma niezwykle silny wpływ na Kościół w USA. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy kard. Cupich rozpoczął modlitwą Narodową Konwencję Demokratów w sierpniu ub.r. Duchowny przybył na spotkanie i poprowadził modlitwę, mówiąc o „jedności" oraz „postępie moralnym" w czasie, gdy przed halą w zaparkowanym autobusie organizacji Planned Parenthood matki mogły bezpłatnie zabić swoje nienarodzone dziecko. Według niektórych informacji w trakcie konwencji wykonano ponad 20 aborcji.

McElroy należy do grupy amerykańskich duchownych, którzy otrzymali szkarłatny biret kardynalski z rąk papieża Franciszka i wyróżniali się ostrą krytyką polityki Donalda Trumpa w trakcie jego pierwszej kadencji. Teraz biskup stał się ordynariuszem Waszyngtonu, zaledwie kilka tygodni po zwycięstwie Trumpa w listopadowych wyborach prezydenckich, co część analityków określiła jako jasny komunikat Watykanu dla nowego/starego prezydenta i jego polityki w zakresie rozwiązania kwestii migracyjnej.

Wśród tych analityków jest też Damian Thompson z brytyjskiego „The Spectator", który uważa, że mianowanie McElroya jest rodzajem zemsty Franciszka, ponieważ Amerykanie wybrali „polityka, którym papież pogardza".

„McElroy jest najbardziej lewicowym członkiem hierarchii USA. Nienawidzi Trumpa, sprzeciwia się reformie imigracyjnej, popiera święcenia kobiet, odwołuje msze łacińskie i sprzeciwia się dzieleniu społeczności LGBT+ na tych, którzy powstrzymują się od aktywności seksualnej, i tych, którzy tego nie robią. Uważa również, że Kościół zbyt mocno koncentruje się na aborcji" – napisał Thompson.

Amerykańska katolicka strona internetowa Pillar, jedna z najbardziej wiarygodnych, jeśli chodzi o relacje z wydarzeń

eprasa.pl af555dd210

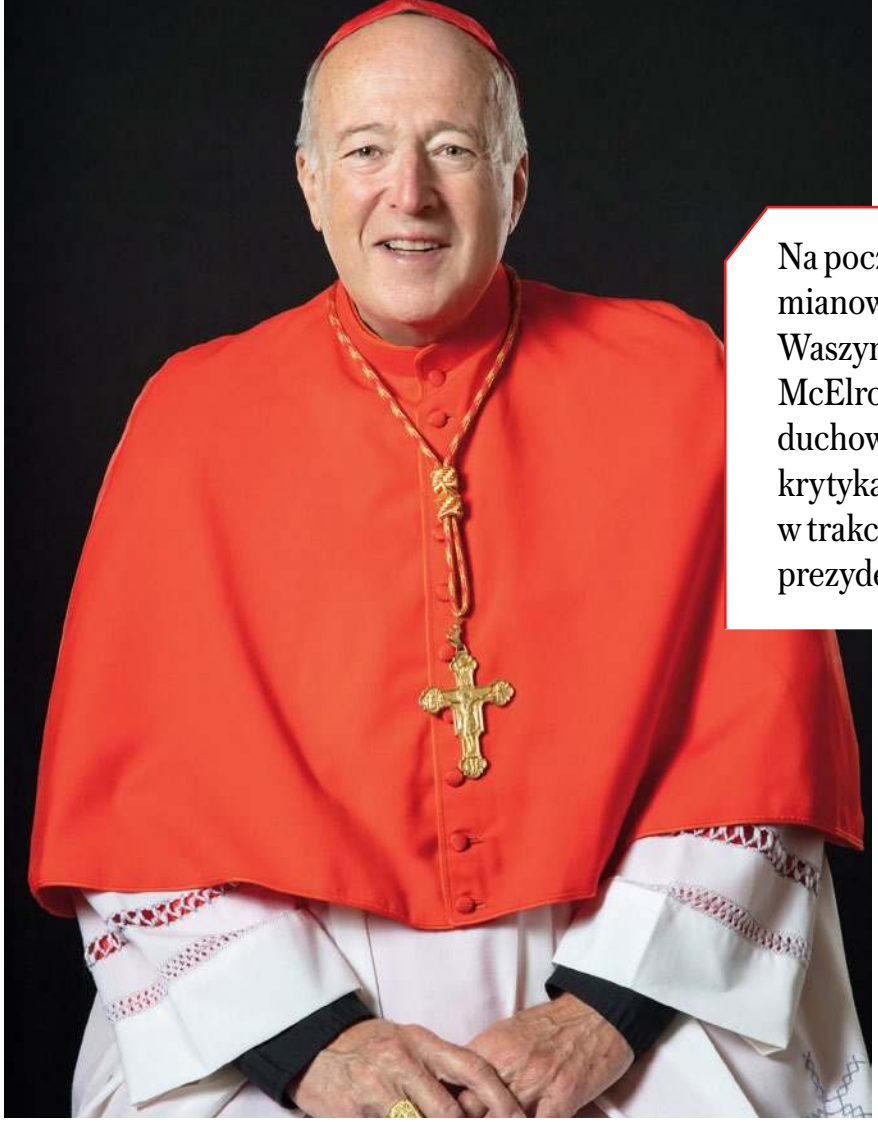

Fot. adw.org

Na początku stycznia Franciszek mianował nowym arcybiskupem Waszyngtonu kard. Roberta McElroya. Bliski papieżowi duchowny wyróżniał się ostrą krytyką polityki Donalda Trumpa w trakcie jego pierwszej kadencji prezydenckiej

kościelnych w USA, opublikowała artykuł, z którego wynika, że McElroy niemal stracił arcybiskupstwo w Waszyngtonie. Powodem tego było to, że nuncjusz apostolski w USA kard. Christophe Pierre był przeciwny jego nominacji, gdyż słusznie uważał go za postać „polaryzującą".

Sytuacja uległa zmianie, gdy w grudniu ogłoszono, że Trump wybrał Briana Burcha, prezesa stowarzyszenia CatholicVote, na swojego nowego ambasadora w Watykanie. Burch i jego stowarzyszenie bardzo aktywnie wspierali Trumpa i często krytykowali papieża Franciszka. Stolica Apostolska, pisze Pillar, uznała tę nominację za prowokację. Dlatego kard. Cupich ponownie naciskał na swojego kandydata – McElroya, twierdząc, że jego mianowanie będzie dobrą odpowiedzią. Tym razem mu się udało. McElroy został w ten sposób ordynariuszem bardzo wpływowej politycznie diecezji i z pewnością będzie jedną z głównych osób, które zadecydują o stosunkach Kościoła katolickiego z nową administracją w Białym Domu.

Jego nominacji nie przeszkodziły doniesienia, że nie zareagował wystarczająco wyraźnie w 2016 r., gdy otrzymał informacje o kilku zarzutach dotyczących molestowania seksualnego skierowanych pod adresem abp. Waszyngtonu Theodore'a McCarricka. Damian Thompson napisał, że właśnie z powodu tej niejasnej roli McElroya jego mianowanie można określić jako haniebne.

KANDYDACI NA NASTĘPCĘ

Jest jeszcze jedna historia, która sprawia, że sytuacja w Watykanie nie wydaje się tak senna, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Mianowicie jest coraz więcej spekulacji dotyczących następcy papieża Franciszka. Jak niedawno napisał watykański ekspert John Allen, gdy papież się starzeje i jest coraz bardziej chory, nie da się uniknąć spekulacji na temat jego następcy.

Te pogłoski są wspierane także przez niedawno uruchomioną bardzo ciekawą stronę internetową. Kolegium Kardynalskie jest prowadzone przez grupę dziennikarzy, którzy relacjonują wydarzenia w Watykanie. Dołożyli oni wszelkich starań, aby przedstawić sylwetki każdego z 252 kardynałów. Szczególny nacisk położono na tzw. papabili, czyli kardynałów uważanych za możliwych następców Franciszka. Wybrano 22 z nich, którzy zdaniem dziennikarzy mieliby największe szanse na wybór i opisano ich stanowiska w kwestiach kontrowersyjnych, takich jak wyświęcanie kobiet na diakonów, błogosławienie par homoseksualnych, stosunek do komunistycznych Chin itd.

Jednocześnie trwają spekulacje na temat tego, kto powinien zostać nowym dziekanem Kolegium Kardynalskiego po niedawnym wygaśnięciu kadencji kard. Giovaniego Battisty Re. Duchowny na tym stanowisku ma zadanie przewodniczyć uroczystościom pogrzebowym po śmierci papieża, odprawiać mszę na rozpoczęcie oraz przewodniczyć obradom konklawe.

Dziekana wybierają pozostali kardynałowie, ale według doniesień medialnych papież Franciszek odracza głosowanie, ponieważ nie chce, aby stanowisko to objął kard. Leonardo Sandri, obecnie główny kandydat jako subdziekan.

Według tych samych doniesień papież chce, aby dziekanem został kard. Pietro Parolin, obecny sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej. Analitycy twierdzą, że tym posunięciem Franciszek chce dać znać, że Parolin jest jego kandydatem na następcę.

Jak widać, w Watykanie cały czas dzieją się ważne rzeczy, których wynik będzie miał wpływ na życie 1,5 mld wiernych oraz całego świata.

eprasa.pl af555dd210

JAN PARYS

i strategia wypierania

Nominacja Elbridge'a Colby'ego na podsekretarza w Departamencie Obrony to ważna rzecz. Inne osoby w tym resorcie, a także w Departamencie Stanu i Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, to politycy zajmujący się głównie sprawami krajowymi lub osoby bez umiejętności analiz strategicznych. Zatem prawdopodobnie to on ze względu na dorobek teoretyczny będzie kształtował strategię obronną USA w czasach administracji Trumpa

Dlaczego? Bo Colby, jak mówi się w środowisku ekspertów, to prawdziwy amerykański mózg, który teraz dostał szansę na wpływanie na decyzje całej administracji.

Prezentowana przez niego diagnoza sytuacji międzynarodowej jest dziś przyjmowana przez większość amerykańskich polityków i ekspertów. Najważniejsze think tanki w USA wyrażają podobne opinie. Heritage Foundation, America First Policy Institute i Center for Renewing America stanowią główne zaplecze intelektualne administracji Trumpa. Wszystkie przedstawiają oceny dotyczące Rosji czy Chin podobne do prezentowanych przez Colby'ego. Zatem to z jego poglądami będą się stykać nasi politycy jadący na rozmowy do USA.

Doświadczenie uczy, że nie załatwimy w Waszyngtonie żadnej sprawy, jeżeli będziemy rozmawiać tylko o naszych oczekiwaniach. Najpierw trzeba przekonać amerykańskich polityków do diagnozy zagrożeń, do tego, że obecność amerykańskich wojsk w Europie leży w ich interesie. Dopiero potem warto rozmawiać o kwestiach bilateralnych.

Z tego powodu warto czytać książkę Colby'ego o strategii USA podczas konfliktu mocarstw, czyli o tzw. strategii wypierania. Stanowi ona dowód na to, że jej autor prowadzi analizy na wysokim poziomie. W wielu sprawach analityk z Polski może się zgodzić z jego diagnozami.

CHINY GROŹNIEJSZE NIŻ ROSJA

Podstawową tezę książki Colby'ego można streścić krótko: dynamicznie rozwijające się Chiny są dla USA najpoważniejszym zagrożeniem, a presja ze strony Rosji słabnie. Z tej oceny autor wyprowadza wniosek o możliwej redukcji zaangażowania Amerykanów w Europie. Bo priorytetem Waszyngtonu ma być teraz obrona sojuszników w Azji. Idzie o to, by utrzymać tam koalicję państw proamerykańskich i antychińskich, nie dopuścić do powstania regionalnych antyamerykańskich hegemonów. Ta teza może budzić poważne wątpliwości. I nie dlatego, że gdy piszę te słowa, mieszkam 300 km od Królewca oraz 200 km od Mińska, czyli od rosyjskiej przestrzeni militarnej. Colby nie dostrzega bowiem zagrożenia, jakim jest próba odbudowy rosyjskiej hegemonii w Europie. Nie docenia znaczenia wojny na Ukrainie, lekceważy też fakt, iż to Rosja w grudniu 2021 r. dała Zachodowi ultimatum, a potem rozpoczęła agresję na Ukrainę. Stanowi ona empiryczny dowód na to, że system zachodniego odstraszania nie zadziałał wobec agresywnych planów Kremla.

Chociaż Rosja nie osiągnęła na Ukrainie większości celów, to pokazała, że ma wolę walki i potencjał militarny. A państwa zachodnie od trzech lat nie potrafią zatrzymać jej ekspansji. Moim zdaniem Colby ma zbyt małą wiedzę na temat polityki Moskwy i jej potencjału.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl af555dd210

Zgoda – wróciła epoka konfrontacji, i to militarnej. Lecz rozpoczęli ją Rosjanie, a nie Chińczycy. Ogólnie w książce jest za mało o Rosji, chociaż to ona prowadzi wojnę w Europie i nie ukrywa, że chce zmienić architekturę bezpieczeństwa na kontynencie. Książkę wydano w 2023 r., zatem gdy trwała inwazja na Ukrainę. Rozdział o Rosji znajduje się w jej końcowej części. Czy autor nie widzi tego, że Moskwa jest zdeterminowana, by odbudować swą hegemonię, wracając do imperium z czasów ZSRR?

POLSKA TWIERDZA

Moim zdaniem na Kremlu uwierzono w tezę Brzezińskiego, że Rosja nie będzie mocarstwem, gdy straci Ukrainę. Dlatego wybuchła wojna. Mimo to dla Colby'ego rosyjska hegemonia na Starym Kontynencie nie jest realna. Tymczasem w Europie, pozbawionej w ostatnich latach amerykańskiego przywództwa, mamy rozbrojenie moralne i polityczne, czyli brak woli obrony przed Rosjanami. Amerykański reset wobec Kremla zbiera swe owoce także teraz, bo doprowadził do demoralizacji europejskich elit. Europa ma dziś zbyt słaby potencjał militarny, by bez pomocy USA obronić się przed ewentualnym rosyjskim atakiem.

Z powodu położenia geograficznego i potencjału główną barierą dla rosyjskiej ekspansji na naszym kontynencie jest Polska. To nasz kraj może odegrać główną rolę w zatrzymaniu rosyjskich zamiarów, czyli odbudowania hegemonii w Europie. Oczywiście tylko wtedy, gdy otrzyma odpowiednie wsparcie gospodarcze i militarne. Dotyczy to także wszystkich państw regionu Trójmorza.

Jest zrozumiałe, że USA nie mogą angażować się wszędzie na świecie, bo nie mają nieograniczonych możliwości. Z książki Colby'ego bije przekonanie, że lepiej bronić wpływów w Azji niż w Europie. Tajwan jest więc ważniejszy dla USA niż obrona Starego Kontynentu. Według amerykańskiego analityka powiększenie imperium chińskiego o Tajwan jest groźniejsze dla USA niż odbudowa imperium rosyjskiego w Europie. Jednak obecnie to Rosja (a nie Chiny) posiada 7 tys. głowic nuklearnych, którymi może szachować Stany Zjednoczone. Właśnie o takich uwarunkowaniach trzeba pamiętać. Siła amerykańskich wojsk w Polsce nie wynika tylko z ich liczebności i nowoczesnego uzbrojenia. Chodzi o to, że stoi za nimi nuklearna potęga Ameryki.

Elbridge A. Colby

Fot. U.S. Army photo by Monica King/Released

Dla mnie nie ma alternatywy. Można i trzeba bronić wpływów zachodnich zarówno w Azji, jak i w Europie, tylko najpierw trzeba ustalić, na kogo w każdym regionie można liczyć.

CO MOŻE EUROPA?

Colby pisze, że Europa jest silniejsza niż Rosja. W sensie gospodarczym na pewno, militarnie raczej nie. Wystarczy porównać rosyjską dominację w broni nuklearnej czy rakietowej średniego zasięgu. Sama Europa bez satelitów USA i amerykańskich zdolności logistycznych nie będzie się długo bronić, zatem ta teza jest fałszywa.

Wysokie PKB nie zapewnia Europie bezpieczeństwa. Trudno także abstrahować od podziałów politycznych na Starym Kontynencie oraz od tego, że elity wielu europejskich krajów prezentują postawy antyamerykańskie. Dla niemałej części polityków interesy gospodarcze z Rosją są ważniejsze niż bezpieczeństwo.

eprasa.pl af555dd210

Penetracja zachodnich elit przez FSB i GRU też ma znaczenie. Destabilizacja Europy, którą przez lata finansował amerykański kapitał, np. oligarchowie Soros czy Zaslawski, zrobiła wiele złego. Słuszne jest zatem przekonanie, że USA muszą dokonać weryfikacji sojuszników, by wiedzieć, kto jest lojalny, a kto gra na dwie strony, czyli także na Rosję lub Chiny.

Colby trafnie pisze, że Europa potrzebuje potencjału o takiej skali, jaki miała podczas zimnej wojny. Lecz trzeba być konsekwentnym. Kraje, które tego nie chcą, z własnej woli stają się sojusznikami drugiej kategorii. Przy eksporcie do USA ich towary mogą podlegać ocleniu na wysokim poziomie. Polska to jedyne państwo w Europie o tak wysokim współczynniku nakładów na obronność. To także kraj, w którym od lat wśród obywateli dominują postawy proamerykańskie i proatlantyckie. To ogromny i wyjątkowy w Europie kapitał polityczny, ważny dla USA. Z tego powodu Rzeczpospolita może być naturalną bazą dla amerykańskich wpływów w Europie. Te nastroje warto podtrzymywać, a to znaczy, że Polska potrzebuje ułatwień celnych i handlowych, jakie np. od czasu wojny Wietnamie ma Tajlandia. Towary z tego kraju wjeżdżają do USA bez oclenia, bo są traktowane jak amerykańskie. Obecnie RP jest chyba ważniejsza dla USA niż Tajlandia. Jeżeli amerykańska dyplomacja będzie podążała w kierunku, który proponuje Colby, to szanse, by utrzymać pozycję Stanów Zjednoczonych na świecie, nie będą rosły, lecz zmaleją.

UNIJNY SZANTAŻ

USA muszą mieć narzędzia ekonomiczne, które zniwelują mechanizm szantażu finansowego stosowanego przez UE wobec państw prowadzących politykę proamerykańską. W ostatnich latach Polska była narażona na taki szantaż ze strony Brukseli o wartości 30 mld euro. To takimi sposobami, czyli blokując dopływ kapitału do naszego kraju, KE doprowadziła do obalenia proamerykańskiego rządu PiS. Polska została ukarana przez Komisję Europejską za to, że

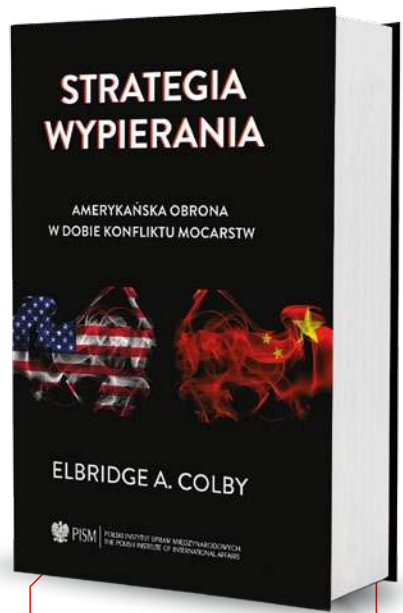

Elbridge A. Colby, „Strategia wypierania. Amerykańska obrona w dobie konfliktu mocarstw", PISM, Warszawa 2023

w lutym 2022 r. bez zgody Francji, Niemiec i władz UE zaczęła pomagać militarnie Ukrainie, zgodziła się na amerykański hub pod Rzeszowem, rozpoczęła zbrojenia w oparciu o amerykańską technologię.

Nasz kraj, angażując się realnie od pierwszego dnia rosyjskiej agresji po stronie Ukrainy, zepsuł zachodniej Europie kooperację z Rosją. To dlatego KE doprowadziła do sukcesu wyborczego Platformy Obywatelskiej, czyli do zmiany władzy w Polsce podczas wyborów w końcu 2023 r. W rezultacie dziś Donald Tusk jako premier prowadzi politykę budowy sił militarnych Unii Europejskiej, które mają być technologicznie niezależne od USA. To *de facto* oznacza, że działa w celu odseparowania UE od USA, czyli prowadzi politykę rozbijania NATO.

NA POLITYCZNEJ SZACHOWNICY

Uważam za naiwne rozważania Colby'ego o tym, że Moskwę można wciągnąć w politykę antychińską. Rosja ma bardzo długą granicę z Chinami. Na Kremlu dobrze wiedzą, że w ciągu ostatnich 30 lat Rosjanie przegrali rywalizację ekonomiczną i technologiczną z Chińczykami. Ponadto od czasu wojny na Ukrainie Rosja z własnej woli stała się politycznym i gospodarczym wasalem Pekinu, zatem nie pomoże USA w szachowaniu Chin.

Colby słusznie podkreśla znaczenie Niemiec w Europie. Jednak nawet zwycięstwo Friedricha Merza w wyborach w lutym 2025 r. nie sprawi, iż Berlin będzie prowadził politykę proatlantycką. Ostatnie 30 lat w Niemczech to czas upowszechnienia postaw pacyfistycznych i prorosyjskich. Obojętnie, czy Merz zawrze koalicję z SPD, czy z AfD – w obu przypadkach koalicjant będzie prorosyjską kotwicą. Takie zresztą promoskiewskie nastroje dominują w niemieckim społeczeństwie.

Według Colby'ego utrzymanie amerykańskich wpływów w Azji ma polegać na tym, że żaden kraj z tego regionu zaprzyjaźniony z USA nie zostanie zajęty lub przewerbowany do obozu chińskiego. Tu moim zdaniem Amerykanie powinni liczyć przede wszystkim na Indie, lecz to wymaga bardzo subtelnej dyplomacji. Bo w Azji Indie są jedynym krajem, który ma potencjał, by samodzielnie zatrzymać ekspansję Chin.

Stwierdzenie, że można odpuścić Europę, by utrzymać wpływy w Azji, jest nie tylko ryzykowne, lecz także fałszywe. Jeżeli USA okażą słabość wobec Rosji w Europie, nikt w Azji nie będzie się z nimi liczyć. Dotyczy to zarówno sojuszników, jak i samych Chin.

W książce Colby'ego poruszono wiele spraw, które zasługują na dyskusję. Zasługą autora jest to, że postawił ważne pytania i próbował na nie odpowiedzieć. Po lekturze jego książki widać, że polscy politycy podczas podróży do USA mają do wykonania trudną pracę. Jak zaznaczyłem na wstępie, poglądy Colby'ego na zagrożenie ze strony Rosji są dziś w USA prawie powszechnie uznane za prawdziwe. Trzeba zatem przygotować wiele argumentów, by przekonać Amerykanów, iż jego opinie na temat Rosji i amerykańskiej obecności w Europie nie są trafne. Bez naszej perswazji w Waszyngtonie zaangażowanie USA w obronę RP może ulec osłabieniu.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl af555dd210

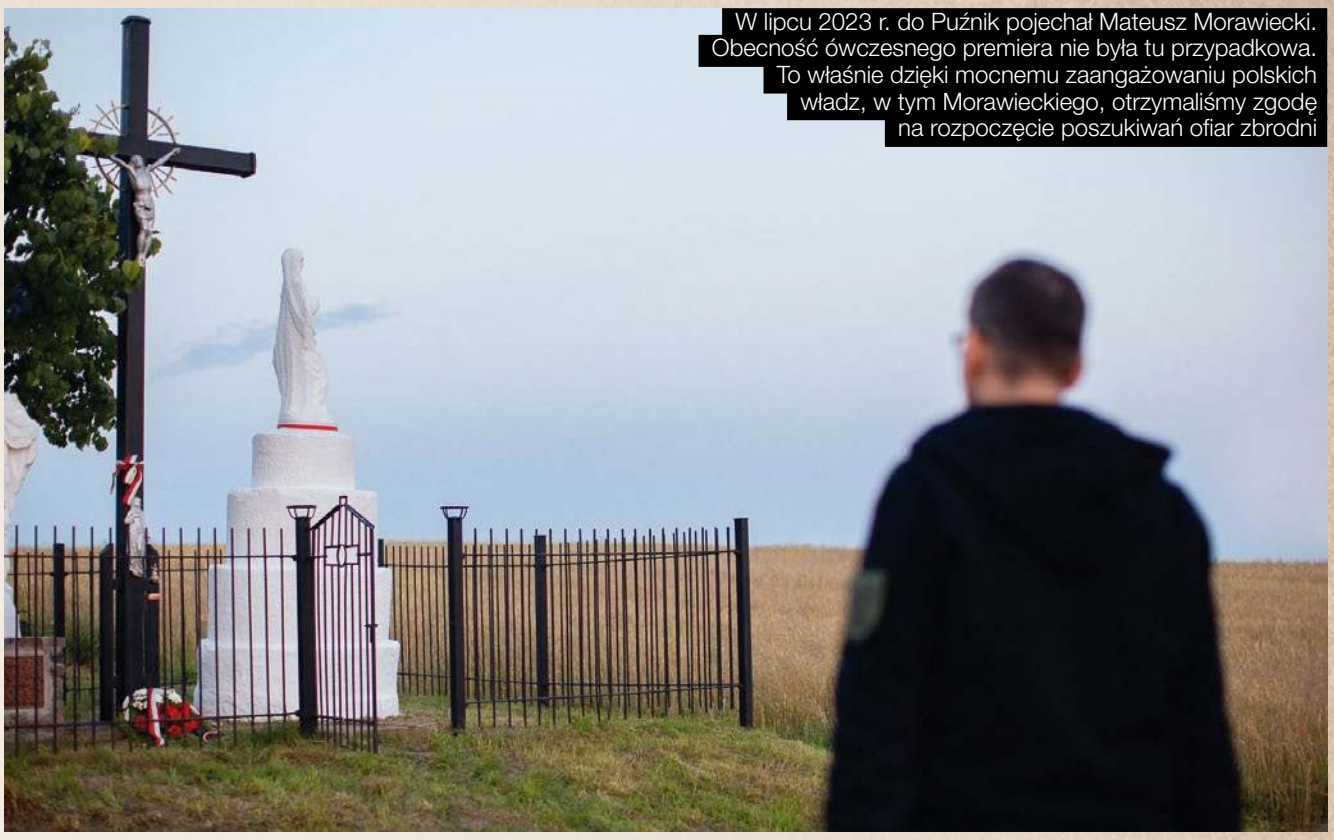

W lipcu 2023 r. do Puźnik pojechał Mateusz Morawiecki. Obecność ówczesnego premiera nie była tu przypadkowa. To właśnie dzięki mocnemu zaangażowaniu polskich władz, w tym Morawieckiego, otrzymaliśmy zgodę na rozpoczęcie poszukiwań ofiar zbrodni

Polskie ekshumacje na Ukrainie:

dlaczego Puźniki?

Rozpoczynają się pierwsze od lat prace ekshumacyjne ofiar rzezi wołyńskiej. Wybór padł na położone 800 km od Warszawy Puźniki na dzisiejszej Ukrainie, niedaleko Buczacza w obwodzie tarnopolskim. Walka o możliwość przeprowadzenia tam badań trwała od wielu lat. Jednak decyzje strony ukraińskiej co do innych miejsc pogrzebania polskich ofiar dalej stoją w miejscu

Fot. Krystian Maj/KPRM

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Nie wiadomo, czy szczątki ofiar rzezi w Puźnikach z początku 1945 r. zostały pochowane w jednej czy dwóch zbiorowych mogiłach. Wspomnienia ocalałych różniły się od siebie, a czasu na pochówek nie było dużo, bo UPA dalej grasowała po okolicy. Dopiero w 2023 r. polskiej ekipie poszukiwawczej pozwolono na przeprowadzenie badań na miejscu. Ostatecznie znaleziono jeden duży dół z ludzkimi kośćmi w kilku rzędach.

PUŹNIKI, CZYLI WARSZAWA?

Ślady po Puźnikach, nieistniejącej już wsi, znajdujemy w granicach dzisiejszej Ukrainy, w obwodzie tarnopolskim, w rejonie Monasterzyska. W 1939 r. zamieszkiwało ją 1040 osób, z czego 98 proc. stanowili Polacy. Oprócz nich żyły tam trzy ukraińskie rodziny. W okolicy już w czasie wojny obronnej 1939 r. bandy ukraińskich nacjonalistów oraz chłopów podburzonych przez Sowietów dokonywały napadów na polskich żołnierzy

eprasa.pl af555dd210

i oficerów, którzy wycofywali się w kierunku granicy z Rumunią.

Podczas sowieckiej okupacji w lutym 1940 r. wywieziono na Syberię rodziny polskich osadników. Z czasem wzmogły się też wymierzone w Polaków akcje ukraińskich nacjonalistów. W okolicy polski żywioł był jednak znacznie silniejszy niż na Wołyniu. W Puźnikach stacjonował duży, zwarty oddział AK pod dowództwem por. Mieczysława Warunka „Janka". W związku z tym napady UPA na wieś (pierwszy miał miejsce we wrześniu 1943 r.) zostały udaremnione. W lecie 1944 r., po wycofaniu się Niemców, oddział „Janka" został rozbrojony przez Sowietów, a dowódca wywieziony na Syberię.

Dodatkowo czerwona władza rozpoczęła pobór do wojska, a do kontrolowanych przez Sowietów jednostek WP wcielono większość mężczyzn do 50. roku życia. Puźniki pozostały bez ochrony. Kilkunastu mieszkańców wsi postanowiło wstąpić do istriebitielnego batalionu (formacji wspierającej NKWD) stacjonującego w położonym nieopodal Koropcu. Pełnili oni warty także w Puźnikach.

W nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. kureń OUN-UPA pod dowództwem Petra Chamczuka z trzech stron zaatakował wieś. Głównym punktem oporu była plebania, którą udało się obronić. Ale ukraińscy nacjonaliści w bestialski sposób zamordowali 80–100 osób. Najtragiczniejszym miejscem okazał się rów przebiegający przez środek wsi, w którym próbowało się ukryć kilkadziesiąt kobiet i dzieci. Ukraińcy wymordowali wszystkich, którzy się tam znajdowali, w większości siekierami, bagnetami i kolbami karabinów.

Zamordowani zostali pochowani przez ocalałych mieszkańców wsi. Niedługo potem ci, którzy przeżyli, bojąc się o swoje życie, postanowili opuścić Puźniki. Udali się do powiatowego miasta Buczacz bądź Koropca. Stamtąd w czerwcu 1945 r. zostali przetransportowani na tzw. Ziemie Odzyskane, do Niemysłowic pod Prudnikiem w województwie opolskim i Ratowic pod Wrocławiem. W ocalałych budynkach dawnych Puźników Sowieci osadzili Ukraińców wysiedlonych z terenów obecnej wschodniej Polski, jednak wkrótce władze postanowiły zlikwidować wieś. Zniszczono wszystkie ocalałe budynki, wycięto sady, zostawiając tylko cmentarz i mogiły. Ukraińscy nacjonaliści złośliwie nazywali Puźniki Warszawą.

PEŁNOSKALOWA WOJNA

Obecnie jedynymi śladami polskiej historii w Puźnikach są pozostałości cmentarza oraz kapliczka. Przez niemal 80 lat miejsce zbrodni nie zostało poddane jakimkolwiek badaniom. W 2022 r. pojawiła się jednak szansa na zmianę sytuacji. Wtedy o zgodę na rozpoczęcie prac archeologiczno-poszukiwawczych mogił Polaków zamordowanych w tym miejscu wystąpiła Fundacja Wolność i Demokracja.

> Prace ekshumacyjne w Puźnikach mają ruszyć w kwietniu br. Odkopane szczątki zbadają archeolodzy i antropolodzy Pomorskiego Instytutu Medycznego w Szczecinie. Pobiorą także materiał genetyczny do badan porównawczych

– Złożyliśmy wniosek na skutek pewnej sprzyjającej okoliczności, jaką była gigantyczna polska pomoc udzielona Ukrainie w związku z rosyjską napaścią – mówi Maciej Dancewicz, wiceprezes fundacji odpowiedzialny za ekshumacje w Puźnikach. – Pojawiły się wówczas przesłanki, że można spróbować odblokować temat poszukiwań i ekshumacji oraz jest szansa na życzliwość w tej kwestii. Pamiętaliśmy, jak to wyglądało w poprzednich latach, ale postanowiliśmy spróbować.

Fundacja zaczęła od jednego miejsca, czyli dawnej wsi Puźniki.

– W czerwcu 2022 r. wysłaliśmy zapytanie, czy polscy archeolodzy mogą w ogóle myśleć o przeprowadzeniu takich poszukiwań – opowiada dalej Dancewicz. –W listopadzie dostaliśmy zapewnienie od ukraińskiego ministerstwa kultury, że nie ma przeszkód, żeby polska ekipa prowadziła poszukiwania, jeśli spełni odpowiednie warunki. Jednym z nich była konieczność włączenia do tych działań ukraińskiego partnera, który musiał złożyć te wnioski razem z nami. Po kolei wypełnialiśmy kolejne procedury, starając się nie robić wokół sprawy dużego szumu. Nie mieliśmy postawy konfrontacyjnej, to też pomogło. Nie wszystkim na Ukrainie się to podobało, ale udało się nam odnieść sukces.

W kwietniu 2023 r. fundacja dostała zgodę na poszukiwanie miejsca pochówku w Puźnikach. We współpracy z ukraińskim stowarzyszeniem „Wołyńskie Starożytności" do prac terenowych przystąpiono 24 maja 2023 r. Prowadziła je ekipa składająca się z kilku archeologów, antropologa i genetyka. W poszukiwaniach uczestniczyli naukowcy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej oraz ukraińskiego stowarzyszenia.

HOŁD POMORDOWANYM

Kiedy trwały prace badawcze, 11 lipca miała miejsce okrągła 80. rocznica rzezi wołyńskiej. To właśnie na polskim cmentarzu w Puźnikach w intensywnym deszczu, po przedarciu się przez czterokilometrową, gliniastą, niemal nieprzejezdną drogę, w tle trwających prac poszukiwawczych premier Mateusz Morawiecki wygłosił ważne przemówienie dotyczące tamtych wydarzeń.

„Wymordowanie mieszkańców polskiej wsi Puźniki w obwodzie tarnopolskim, gdzie się znajdujemy teraz, w lutym 1945 r. przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów – UPA było jednym z ostatnich aktów straszliwej tragedii. Tragedii, którą nazywamy zbrodnią wołyńską" – mówił szef polskiego rządu. – „Dzisiaj, niemal w 80. rocznicę krwawej niedzieli, 1943 r. 11 lipca, nie tylko wspominamy tamten czas, ale wołamy o odnalezienie wszystkich miejsc pochówku po to, aby móc ekshumować ofiary i godnie je pochować. Nie spoczniemy, ja nie

eprasa.pl af555dd210

Zamordowani w Puźnikach zostali pochowani przez ocalałych mieszkańców wsi. Niedługo potem ci, którzy przeżyli, bojąc się o swoje życie, postanowili opuścić Puźniki

Fot. IPN

spocznę, dopóki ostatnia ofiara tamtej strasznej zbrodni wołyńskiej, zbrodni Galicji Wschodniej, nie zostanie odszukana. To nasze obowiązki, to nasza spuścizna. Jesteśmy to winni wszystkim, którzy wtedy żyli w tym miejscu i przeżyli albo nie przeżyli tamtej hekatomby".

Premier Morawiecki podkreślał, że składa hołd ofiarom w imieniu Rzeczypospolitej: „Składam hołd wszystkim pomordowanym wtedy Polakom, pomordowanym w latach 1943–1945, w czasie zbrodni wołyńskiej. Wzywam was, nasi przodkowie, nasze siostry, nasi bracia – stańcie do apelu. Wzywam was, byście byli świadkami i opiekunami dobrej przyszłości naszych narodów".

Obecność polskiego premiera w Puźnikach nie była przypadkowa. To właśnie dzięki wsparciu władz Rzeczypospolitej, w tym mocnemu osobistemu zaangażowaniu Mateusza Morawieckiego, uzyskaliśmy zgodę na rozpoczęcie poszukiwań.

PIERWSZE KOŚCI W 2023 r.

Po kilku tygodniach bardzo trudnych prac, na przełomie sierpnia i września 2023 r., udało się trafić na pierwsze kości. Na tym etapie trzeba było jednak przerwać działalność. Dopiero po znalezieniu mogiły fundacja mogła przystąpić do kolejnego etapu – starań o wydanie kolejnej zgody, tym razem na ekshumacje. Strona ukraińska wymagała akceptacji wydanej przez kilka szczebli władzy – od samorządu do centralnej Międzyresortowej Komisji ds. Upamiętnień Ofiar Wojen i Represji Politycznych kierowanej przez resort kultury.

Na przełom w tej sprawie trzeba było czekać niemal półtora roku.

– W październiku 2024 r. wysłaliśmy zapytanie do nowego ukraińskiego ministra kultury dotyczące naszego wniosku, ponieważ od niemal roku sprawy nie udało się ruszyć dalej. Po dwóch, trzech tygodniach dostaliśmy odpowiedź. Potrzebne było kolejne uzupełnienie dokumentów – opowiada dalej Maciej Dancewicz.

Ostatecznie Fundacji Wolność i Demokracja udało się spełnić wszystkie warunki, zbijając zarzut ukraińskiego IPN, że strona polska nie potrafi składać wniosków.

Wiceprezes Dancewicz ocenia: – Strona ukraińska już w 2022 r., zgadzając się na rozpoczęcie całej procedury, musiała być przygotowana, że po spełnieniu wszystkich wymagań będzie musiała w końcu wydać zgodę na ekshumacje. Jeżeli w takiej sytuacji by odmówiła, ciężko bybyło mówić o jakiejkolwiek życzliwości między obiema stronami. Kiedy pojawiło się okienko, pewne odprężenie między rządami polskim i ukraińskim, mieliśmy gotową całą dokumentację. Na różnych etapach mogliśmy liczyć na wsparcie polskich władz, zarówno poprzedniego, jak i obecnego rządu. Dzięki temu udało się dobrnąć do finału, czyli do zgody na ekshumację.

PUŹNIKI 2025

Prace ekshumacyjne w Puźnikach mają ruszyć w kwietniu br. Planowo potrwają ok. miesiąca, jednak wiele będzie zależało od warunków atmosferycznych. Ze względu na trudności terenowe jakiekolwiek załamanie pogody uniemożliwi poruszanie się w okolicy.

Odkopane szczątki zbadają archeolodzy i antropolodzy z Pomorskiego Instytutu Medycznego w Szczecinie. Pobiorą także materiał genetyczny do badań porównawczych. Od roku Stowarzyszenie Nowosiółczan i Puźniczan zbiera próbki DNA od krewnych ofiar, które mają służyć identyfikacji zamordowanych. W pracach będzie także uczestniczyć Instytut Pamięci Narodowej.

O sprawę spytaliśmy rzecznika prasowego IPN dr. Rafała Leśkiewicza: – Instytut od początku deklarował pełną gotowość do współpracy z polskim rządem w zakresie prowadzenia prac ekshumacyjnych zmierzających do wydobycia z dołów śmierci ofiar zbrodni wołyńskiej.

Zgodnie z zapewnieniem IPN polscy specjaliści uczestniczą we wszystkich spotkaniach, uzgodnieniach związanych z rozpoczęciem prac. – Teraz czekamy na zamknięcie wszystkich kwestii formalnych, aby skompletować zespół specjalistów z Biura Poszukiwań i Identyfikacji, który weźmie udział w tych pracach. Dr Leśkiewicz oczekuje, że będzie to pierwszy krok, który pozwoli IPN na kontynuację prac w innych miejscach.

Zgodnie z wolą rodzin, zidentyfikowane szczątki mają zostać pochowane na terenie dawnego cmentarza w Puźnikach. Fundacja Wolność i Demokracja chce tam postawić pomnik z nazwiskami ofiar. Będzie to jednak wymagało kolejnej, osobnej zgody ukraińskich władz.

BĘDZIE PRZEŁOM?

Polska od wielu lat zabiegała u ukraińskich władz o możliwość przeprowadzenia prac poszukiwawczych ofiar wołyńskiego ludobójstwa. Instytut Pamięci Narodowej rozpoczął starania o uzyskanie zgód na prowadzenie prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych na terytorium Ukrainy w 2017 r. po utworzeniu Biura Poszukiwań i Identyfikacji. Do 2024 r. IPN wystosował do organów ukraińskiej administracji 9 oficjalnych wniosków ogólnych, które dotyczyły prowadzenia prac łącznie w 65 lokalizacjach.

– Cały czas czekamy na kolejne decyzje – mówi dr Leśkiewicz. – Zależy nam, żeby nie skończyło się tylko na tej jednej zgodzie, ale żeby to był element trwałej, systemowej współpracy w poszukiwaniach i ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej.

Rzecznik IPN podkreśla, że składane od lat wnioski instytutu dotyczą zarówno ofiar rzezi wołyńskiej, jak i żołnierzy z września 1939 r. poległych w walkach z Niemcami i Sowietami: – Teraz wszystko zależy wyłącznie od dobrej woli strony ukraińskiej. Liczymy, że nasze prośby spotkają się wreszcie z przychylnym podejściem naszych sąsiadów i faktycznie będziemy mogli rozpocząć te prace.

eprasa.pl af555dd210

Kręta droga krętorogich, czyli ile jest tura w krowie

O ile w przypadku części gatunków zwierząt domowych kwestia, od jakiego dzikiego przodka pochodzą, wciąż nie jest ostatecznie rozstrzygnięta, o tyle w przypadku bydła domowego nie ma wątpliwości, że wywodzi się w prostej linii od dzikiego tura (Bos primigenius). Ale i tu mamy różne zagadki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Analiza systematyki bydła domowego pokazuje niewiarygodną, lecz prawdziwą rzecz: nasze pozornie dobrze znane krowy to w rzeczywistości podgatunek tura. Mleko, które pijemy, krowie sery czy wołowina pochodzą od zwierząt bardzo niewiele różniących się od jednego z niezwykłych przedstawicieli jednej z najbardziej fascynujących grup fauny, jaka zaistniała w historii naturalnej naszej planety: megafauny plejstocenu.

Zaliczały się do niej zwierzęta dla nas egzotyczne, jak tygrysy szablastozębne, gliptodonty – pancerniki wielkości samochodu czy megatherium, czyli naziemne, tytaniczne leniwce kilkumetrowej wysokości. Do megafauny plejstocenu należały również występujące do końca ostatniego zlodowacenia w Europie, w tym w Polsce, mamuty, nosorożce włochate, lwy jaskiniowe i wielkie niedźwiedzie jaskiniowe, a także łosie, które wymarły, gdyż zapędziły się w ślepy zaułek, wytwarzając poroże o trzymetrowej rozpiętości.

Wszystkie te gatunki były obiektem fascynacji naszych przodków, którzy obserwowali je, tropili, podążali za stadami roślinożerców, próbowali chronić

Fot. Fatria

eprasa.pl af555dd210

przed atakami mięsożernych bestii, polowali i uwieczniali je na ścianach jaskiń. Życie rodzaju ludzkiego, w wielkiej części naszej historii, jest nierozerwalnie związane z wielkimi ssakami. Ten związek trwał przez dziesiątki tysięcy lat, a zerwaliśmy go dopiero wraz z rozwojem rolnictwa i upraw, które uniezależniły nas od megafauny.

Czy rzeczywiście? Jeżeli spojrzeć na bydło domowe jako na tury (którymi, jak wspomniano, rzeczywiście są), a następnie popatrzeć na nas, wcale nie tak odległych potomków łowców epoki lodowcowej, którzy wciąż w dużej mierze utrzymują się dzięki stadom wielkich roślinożerców, to być może okaże się, że nasz związek z megafauną wcale się nie skończył, przybrał jedynie inną formę.

MRÓWKI I LUDZIE

Udomowienie krowy jest znacznie ciekawszą historią, niż mogłoby się wydawać. Wiąże się bowiem z bardzo nieoczywistym odkryciem, które zupełnie zmieniło losy ludzi. Chodzi o nową ekologiczną zależność: w celu wyżywienia gatunku *Homo sapiens* zaczął wykorzystywać wydzielinę gruczołów mlecznych innych ssaków. To, co obecnie wydaje się zupełnie oczywiste, wcale takie nie jest, gdyż np. rdzenni mieszkańcy Ameryk nie wpadli na ten pomysł. I mimo że hodowali lamy, nie nauczyli się ich doić, nie wykorzystywali ich mleka, tym samym nie znali nabiału. W kontekście domestykacji zwierząt Ameryka jest bardzo szczególnym przypadkiem. Indianie nie udomowili żadnych zwierząt z wyjątkiem lamy i świnki morskiej.

Na opisywaną zależność ekologiczną, w której jeden gatunek wykorzystuje mleko innych gatunków do wzbogacenia swojej diety, brakuje precyzyjnego pojęcia. Nie jest to bowiem mutualizm, który polega na takim wzajemnym korzystnym oddziaływaniu pomiędzy gatunkami, że zależy od niego istnienie populacji. Poza tą zależnością mogłyby istnieć bowiem zarówno krowy, choć w zdecydowanie mniejszej liczebności, jak i tym bardziej człowiek.

Przyroda zna podobne relacje, jednak w mikroskali: mrówki hodują mszyce, aby żywić się wydzielaną przez nie substancją. Działanie to jest zaawansowane i przypomina zabiegi czynione przez człowieka. Podziemnice zwyczajne lub hurtnice pospolite otaczają opieką mszyce, gdyż ich odchody, znane jako spadź, są bardzo bogate w cukry i stanowią doskonałe źródło energii. W ramach hodowli mrówki nie tylko chronią mniejsze owady przed drapieżnikami, lecz także głaszczą je czułkami, dzięki czemu zwiększa się produkcja „mleczka". Na zimę mrówki zabierają jaja mszyc do mrowiska, aby wiosną ponownie umieścić je na roślinach. Istnieją też podziemne hodowle zakładane pod mrowiskami – duże stada mszyc żyją pod kontrolą mrówek, żywiąc się korzeniami roślin. Gdy mrówki wyruszają, aby założyć nowe mrowisko, biorą jaja mszyc ze sobą, aby w nowym miejscu również założyć podziemną hodowlę gwarantującą źródło pożywienia. Te mechanizmy powielił człowiek wraz z udomowieniem bydła.

Udomowienie i hodowla zwierząt są ważnymi elementami cywilizacji. Jaką rolę odgrywa nabiał w jej historii? Czy możliwe jest istnienie złożonej organizacji społecznej bez sera i mleka? Czy przykład cywilizacji amerykańskich stanowi wyjątek potwierdzający regułę? Udomowienie zwierząt dających mleko dało kopa ludzkości. Wyzwoliło ludzi od konieczności spożywania mięsa, oferując białko pod inną postacią. Jakie konsekwencje miał brak konieczności zabicia zwierzęcia, aby się najeść? Odkrycie mleka przyczyniło się do osiadłego trybu życia i dostarczyło dużą ilość wartościowego pożywienia dla rosnących skupisk ludzkich. Produkcja serów, będąca konsekwencją opisywanego zjawiska, znacząco uniezależniła człowieka od konieczności natychmiastowego zjedzenia pozyskanego pożywienia dzięki możliwości długiego przechowywania suchych przetworów mlecznych. Biała substancja z gruczołów ssaków z rodziny krętorogich jest fenomenem: stanowi pełnowartościowy, niekończący się produkt spożywczy umożliwiający najedzenie się, otrzymany za cenę trawy i siana. Wracając do mutualizmu – człowiek mógłby żyć bez sera. Ale co by to było za życie?

NIE TAK DAWNO TEMU

Tur – potężny, rogaty zwierz, jest idealnym symbolem budzącej podziw megafauny. Niewątpliwym potwierdzeniem tego są wyjątkowo liczne (oprócz dzikich koni) wizerunki tych zwierząt obecne w najdawniejszym prehistorycznym malarstwie, a także wskazujące na pradawność nazwy gatunkowe – zarówno łacińska *primigenius*, określająca tura jako coś pierwszego, jak i polska czy niemiecka, w których człon „ur" podkreśla jego pierwotność.

Dzikie tury pierwotnie zamieszkiwały Europę, dużą część Azji i Afrykę Północną. Żyły w lasach na rozległych nizinach. Wielkim trawożercom były potrzebne duże ilości traw, musiały być to więc lasy z rozległymi polanami, niezarastającymi obszarami wodno-błotnymi czy skraje puszczy mające leśno-stepowy charakter.

W Europie Południowej, Afryce Północnej i Azji Mniejszej tury wyginęły już w starożytności. We Francji dotrwały do X w., w Anglii i południowej Skandynawii – XII w., a w Niemczech – XII w. W Polsce były wówczas jeszcze całkiem liczne dzięki ochronie zarządzonej przez monarchów. Był to zresztą model na wskroś nowoczesny, do którego dążymy także dzisiaj, ochrona przyrody opłacała się lokalnym społecznościom. Stado turów dawało zatrudnienie zarówno łowczym, których zadaniem była obserwacja tych zwierząt, baczenie na ich kondycję czy ochrona przed kłusownikami, jak i całym wsiom dostarczającym np. na polecenie króla siano do paśników i utrzymujących śródleśne łąki.

Dzięki rozległości pierwotnych lasów i wspomnianej ochronie to w Polsce tury żyły najdłużej. Ostatnia samica, mając ok. 30 lat i dwukrotnie przeżywając przeciętną długość życia tego zwierzęcia, dożyła w Puszczy Jaktorowskiej 1627 r.

Kilka lat temu opisano odkrycia, które mogłyby wskazywać na to, że tury przetrwały o 100 lat dłużej w Bułgarii. Trudno jednak powiedzieć, na ile są to pewne informacje, a na ile kwestie ewentualnego błędu w datowaniu znalezionych szczątków. Ten wątek zdecydowanie warto podjąć. Nie zapominajmy, że na dłuższe trwanie gatunku wskazuje tekst „Ogniem

eprasa.pl af555dd210

i mieczem": „Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką niedotykane lasy – miejscami, po zapadłych brzegach Suły, Rudej, Ślepordu, Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków, tworzyły się mokradła zarośnięte częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte, pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierz wszelkiego rodzaju, w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych [...]".

Można zwrócić uwagę na fragmenty przytoczonego cytatu niespójne z tym, co stwierdzono o turach powyżej: w Trylogii jest mowa nie o terenach Bułgarii, lecz Ukrainy, zastanawia także obdarzenie tura brodą – mają ją bowiem żubry. Tury, które wyginęły w pozostałych częściach Europy wieki wcześniej, w dawnym zachodnim piśmiennictwie niejednokrotnie były mylone z żubrami. Często wątpiono nawet, że tur w ogóle istniał, co najwyżej opisywano żubry, też zresztą często uważane za zwierzęta na wpół mityczne.

O taki błąd trudno jednak podejrzewać Sienkiewicza. Trylogia jest literaturą piękną, ale przy tym opartą na źródłach, nadzwyczaj starannie przebadanych przez pisarza. Istnieje prawdopodobieństwo, że pisząc o turach w połowie XVII w., Sienkiewicz nawiązywał do lokalnych opowieści, w których niedawno wymarłe zwierzęta żyją jeszcze przez dłuższy czas w niedostępnych zakamarkach okolicy. Nie zdziwiłbym się jednak, jeżeli kiedyś przekonamy się, że słowa autora są śladem populacji turów, które rzeczywiście przetrwały gdzieś dłużej, niż obecnie sądzimy.

NIEZWYKŁE KRĘTOROGIE

Tur należał do wyróżniającej się rodziny krętorogich, inaczej wołowatych. Są one najliczniejszą rodziną w obrębie rzędu parzystokopytnych i liczą ok. 270 współcześnie żyjących gatunków. Są też najbardziej zróżnicowaną rodziną w podrzędzie przeżuwaczy. Charakterystyczną cechą krętorogich są nierozwidlające się i niezrzucane puste wewnątrz rogi.

Dawne tury dorastały do ponad 3 m długości, prawie 2 m wysokości w kłębie, a ich masa osiągała 1 t (byków, krowy były mniejsze). Ich rogi były wygięte lirowato: najpierw rozrastały się na boki, a następnie ku przodowi. Końce zaginały się ku górze i miały czarną barwę. Rozpiętość największych odnalezionych rogów sięgała 80 cm.

Choć o zwierzęciu wymarłym tak dawno jest stosunkowo niewiele informacji, na podstawie opisów, rysunków i znalezisk można założyć, że masywne tury były brunatnoczarne z jaśniejszą pręgą wzdłuż grzbietu. Stare samce były niemal czarne, krowy były jaśniejsze od byków, a cielęta dość jasne, być może czerwonawe.

Do udomowienia tura doszło ok. 10 tys. tysięcy lat temu. Być może stało się to niezależnie w rejonie Bliskiego Wschodu i na pograniczu dzisiejszych Pakistanu i Indii. Czasem wskazuje się także na ewentualny trzeci ośrodek, w którym udomowiono tury północnoafrykańskie (choć nie można jednocześnie wykluczyć, że któryś ze wspomnianych ośrodków był wtórny, a udomowione tury dotarły tam na tyle dawno, że dziś niemożliwe jest rozstrzygnięcie pierwszeństwa).

TRZY LINIE

Pośród bydła domowego *Bos taurus* wyróżnia się, zależnie od ujęcia, dwie zasadnicze linie. Niekiedy podkreśla się ich bardzo bliski związek z dzikimi turami, określając je jako podgatunek tura i wyróżniając linię europejsko-afrykańską (*Bos primigenius taurus*) oraz azjatycką, czyli zebu (*Bos primigenius indicus*) – indyjskie „święte krowy" z charakterystycznym garbem. Z tej pierwszej linii wyodrębnia się bydło europejskie i afrykańskie.

Żeby zmącić zaznaczoną na wstępie przejrzystość genealogii bydła domowego, dodajmy, że mówiąc o bydle afrykańskim, można nieświadomie mylić tradycyjne długorogie bydło wyhodowane dawno temu w Ugandzie i bydło nazywane afrykańskim otrzymane niedawno w USA; trzeba też pamiętać, że kojarzeni ze stadami krów Masajowie nie hodują żadnego z powyższych, lecz własną odmianę pochodzącą od indyjskiego zebu.

Nie można również zapominać, że do bydła rozumianego w szerszym sensie zalicza się niekiedy także bawoły indyjskie z osobnego rodzaju (*Bubalus*), których udomowiona forma jest nazywana w Polsce wołem domowym (to kolejna pułapka językowo-systematyczna, ponieważ „wół" to jednocześnie wykastrowany byk, czyli samiec bydła domowego), jak również udomowione formy gaura indyjskiego (to ten sam rodzaj *Bos* co tur, jednak inny gatunek) czy udomowione jaki także należące do tego samego rodzaju *Bos*, czyli bydła, lecz do jeszcze innego, własnego gatunku.

Wszystko to czyni z historii bydła coraz bardziej skomplikowaną, a jednocześnie coraz bardziej wciągającą w zoologiczno-historyczno-kulturowy labirynt zagadkę.

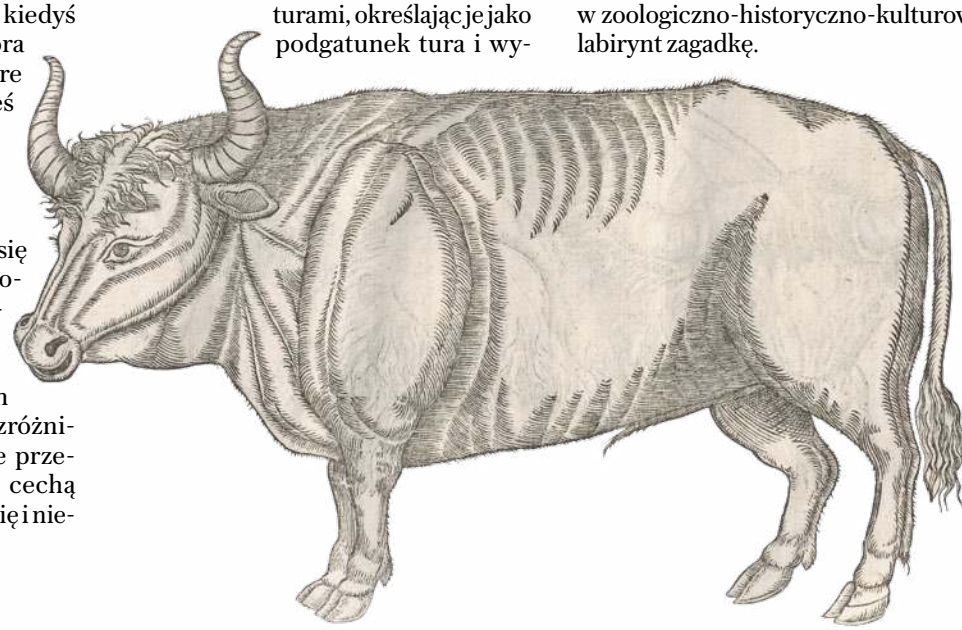

Fot. Shutterstock

eprasa.pl af555dd210

Film „Maria Callas" miał być jej wielkim powrotem do kina i szansą na Oscara. Pokazał tytaniczną pracę aktorki i niespełnienie, które znała też jej bohaterka. „Uczyniłam jej ból swoim bólem" – mówi Angelina Jolie o roli legendarnej śpiewaczki operowej

Łączy nas samotność

Fot. Kino Świat

eprasa.pl af555dd210

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Nie jestem doskonała, ale bardzo ciężko pracuję. Tak jak ona. I jestem tak samo surowa wobec siebie" – wspominała na początku promocyjnej drogi filmu „Maria" (w Polsce obowiązuje tytuł „Maria Callas").

Światowa prapremiera odbyła się na festiwalu filmowym w Wenecji. Jolie nie szczędziła wysiłków, by zapewnić swojej bohaterce jak najlepszą prezentację w drodze na ekrany. Była jej absolutnie oddana. Zarówno w czasie przygotowań do roli, jak i realizacji zdjęć oraz promocji. Jak zawsze zjawiskowa na czerwonych dywanach (a także bardzo chroniąca prywatność), opowiadała dziennikarzom o wyjątkowo angażującym filmowym spotkaniu z bohaterką.

PORA ROZLICZEŃ

„Łączy nas samotność. Nie chcę się zbytnio nad tym rozwodzić, bo to dość osobiste sprawy, ale tym, co mamy ze sobą wspólnego, są też surowość wobec siebie i etyka pracy" – mówiła w rozmowie z magazynem „People".

Akcja filmu rozgrywa się w Paryżu lat 70., gdzie schorowana Callas dokonuje rozrachunku ze swoim życiem, prywatnym i zawodowym. Wspomina występy na najsłynniejszych scenach świata oraz boleśnie zakończoną miłość do Aristotelisa Onassisa.

Czas, w którym Angelina Jolie przygotowywała się do roli operowej diwy, nie był dla aktorki najłatwiejszy. Musiała podsumować burzliwe lata spędzone w głośnym medialnie związku z Bradem Pittem, finalizowała wieloletnią rozwodową batalię oraz na nowo budowała relacje z dorastającymi i dorosłymi dziećmi.

W dłuższej perspektywie miała też za sobą doświadczenia długiej choroby matki (rak piersi i jajnika) oraz podjętą ponad dekadę temu decyzję o zabiegu prewencyjnej podwójnej mastektomii.

PROJEKT OSOBISTY

Pod wieloma względami była wymarzoną odtwórczynią roli Callas – operowej diwy, która mimo ogromnych sukcesów i pozycji w świecie artystycznym zmagała się z odrzuceniem, balansowała między sławą i osobistymi dramatami związanymi również z poważnymi problemami zdrowotnymi (łącznie z tym, że na scenie bez zalecanych okularów niewiele widziała).

Ikona swoich czasów skrywająca grecki temperament, w jednym (na ekranie) nie dała się sprawdzić Jolie – aktorce trudno było ująć urody. Ale nie tylko ze względu na rozpoznawalną twarz Angelina wyłania się z postaci niemal w każdej scenie. Nie dla wszystkich widzów jest to walorem, ale na takie rozwiązanie zdecydował się reżyser Pablo Larraín, specjalista od ekranizacji kobiecych biografii („Jackie" o Jacqueline Kennedy i „Spencer" o księżnej Dianie).

W tamtych filmach Natalie Portman i Kristen Stewart, całkowicie wchodząc w swoje role, znikały w nich. W ekranowym wizerunku Marii Callas nie sposób nie dostrzec własnych doświadczeń Angeliny Jolie. Jednocześnie trudno nie docenić ogromu pracy, jaki włożyła w to, by jak najpełniej zagrać legendarną śpiewaczkę. „Przez wiele miesięcy uczyłam się śpiewu, brałam lekcje języka włoskiego. Chciałam być w tym tak precyzyjna, jak to tylko możliwe. Uczyniłam jej ból swoim bólem. To dla mnie bardzo osobisty projekt" – mówiła w wywiadzie dla „The Hollywood Reporter".

GDY GRA MUZYKA

Jak zauważa Steven Knight, scenarzysta filmu, jednocześnie: „Możesz oglądać, jak historia Marii rozgrywa się w słowach i czynach, ale bogowie i duchy przejmują kontrolę, gdy gra muzyka".

Podczas seansu zostają przywołane najpiękniejsze i najbardziej ikoniczne arie „boskiej Callas", m.in. „Casta Diva" z „Normy", „Vissi d'arte" z „Toski", „Sempre libera" z „Traviaty", „O mio babbino caro" z „Gianni Schicchi". By dostosować ścieżkę dźwiękową do obecnych wymagań kinowych, wokal diwy „został umieszczony we współczesnym środowisku brzmieniowym". Dodatkowo w filmie głos Angeliny Jolie z miksowano z głosem primadonny.

Niezwykle ważnym spoiwem ekranowej opowieści o Callas są też obrazy. Amerykańskiego operatora Edwarda Lachmana (nagrodzonego w ub.r. Złotą Żabą za całokształt twórczości) do wykreowania „wizualnego konceptu" zainspirowała ponoć taka wypowiedź diwy: „Scena to mój umysł, a opera to moja dusza". Stworzył zdjęcia, które dają widzom namiastkę wizyty w operze. Paryski klimat lat 60. i 70. XX w. udało mu się oddać m.in. dzięki użyciu klasycznej taśmy filmowej, szerokokątnym obiektywom i zewnętrznemu oświetleniu.

Lachman jako jedyny z ekipy powalczy w tym roku o Oscara. Angelina Jolie była nominowana za rolę Marii Callas do Złotych Globów i zupełnie pominięta w oscarowej rywalizacji. Mimo że wielu liczyło, iż po ponad ćwierćwieczu odbierze kolejną statuetkę Złotego Rycerza (ma już na koncie Oscara 2000 za drugi plan w „Przerwanej lekcji muzyki" oraz nominację za główną rolę w „Oszukanej" z 2008 r.).

Pojawiły się spekulacje, że wpływ na decyzję amerykańskich akademików miał znany rozwód, do którego doszło w grudniu ub.r. Branża filmowa „stanęła po stronie Brada Pitta".

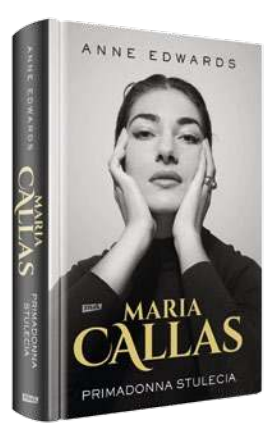

OPERA PEŁNA PASJI

Niezależnie od oscarowych decyzji „Marię Callas" warto obejrzeć. Ważnym uzupełnieniem filmu może się okazać książka „Maria Callas. Primadonna stulecia" (Wydawnictwo Znak). Amerykańska autorka Anne Edwards pisze w niej m.in.: „To tragiczne, że [Callas] zmarła tak młodo, wśród tylu kontrowersji, że nie napisano żadnej opery specjalnie dla niej i że tak niewiele jej występów uwieczniono na taśmie filmowej. Równie tragiczne było jej życie – wielka, pełna pasji opera, rozgrywająca się nie na scenie, lecz w rzeczywistości".

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl af555dd210

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Czarnoskórzy pogromcy wampirów

Zerknąłem na film „Demeter. Przebudzenie zła" (2023) na Canal+. Moda na przeróbki historii Brama Stokera o Drakuli nie ustaje. Tu sięgnięto po dygresyjny wątek klasycznej powieści. Drakula został przywieziony na statku z Bałkanów do Anglii w skrzyni z ziemią. Dostajemy cytaty z dziennika pokładowego kapitana. Wynika z nich, że tajemnicza istota uśmiercała po drodze kolejnych marynarzy.

Reżyser André Øvredal, Norweg z pochodzenia, uczynił z tego w międzynarodowym filmie oddzielną opowieść. Wyszło w miarę sugestywnie, kameralnie, a jednak z pewnym wizualnym rozmachem.

Ale liczy się coś jeszcze. Jednym z członków załogi zostaje czarnoskóry Clemens (gra go Corey Hawkins), absolwent medycyny w Cambridge, który chce wracać do Anglii. Czy w 1897 r. Murzyni studiowali w Cambridge? Rzecz do sprawdzenia. Czy można ich było spotkać w bułgarskiej Warnie? Wątpię. Dodajmy, że Clemens okazuje się najbardziej łebskim bohaterem tej rozgrywki, zawstydzającym inteligencją i wrażliwością białych prostaków. I jako jedyny przeżywa. Musi uciekać ze statku, ale rusza śladem Drakuli w zamglonej Anglii.

Tak się składa, że zaraz potem obejrzałem nową wersję „Miasteczka Salem". W ub.r. nakręcił ją Gary Dauberman. To trzecia z kolei adaptacja jednej z najwcześniejszych i najgłośniejszych powieści Stephena Kinga z 1975 r. W skrócie: małe miasteczko w nowoangielskim stanie Maine opanowują wampiry. Powieść ma swoje wady, finał jest na bakier z logiką, a horror z fantastycznymi postaciami musi być wbrew pozorom morderczo logiczny. Ale jest świetnie napisana, zwłaszcza gdy wprowadza nas w klimat amerykańskiej prowincji.

Nie wiem, po co powstała ta nowa wersja. Tak jak poprzednie zmienia wiele wątków, ale żaden nie powala tu na kolana, a finał jest głupszy niż w książce i w tamtych adaptacjach. Uderzające jest wszakże jedno.

W paru powieściach King czynił bohaterami Murzynów, ale w „Miasteczku Salem" o nich nie wspomina. Może dlatego, że rzadko trafiali się w Nowej Anglii na prowincji.

W wersji Tobe'a Hoopera, twórcy „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną", wszyscy bohaterowie są biali. Kręcono ją w 1979 r. W najdłuższej i najlepszej wersji Mikaela Salomona z 2004 r. (z Donaldem Sutherlandem i Rudgerem Hauerem w roli wampira założyciela) ciemną skórę ma nauczyciel Matt Burke. Dauberman idzie dalej. Jeden z głównych bohaterów, nastolatek Mark Petrie, przewyższa kolegów inteligencją i odwagą. W nowym filmie jest czarny. Ale to nie wystarczy. Jednym z niewielu ochotników próbujących walczyć z wampirami jest irlandzki lekarz James Cody. Tu jest panną Cody, ciemnoskórą lekarką, równie dzielną w walce jak Petrie. Mamy więc podwójną emancypację.

Pisałem kiedyś, że rasowa normalność w amerykańskim kinie będzie do odczytania wtedy, gdy Murzyni będą postaciami i pozytywnymi, i negatywnymi. To kino najpierw ich pomijało, potem, gdy rozgorzała walka o równe prawa, pokazywało z ostrożnym nabożeństwem. Jeszcze później zaczęło być normalnie. W „Łowcy snów", adaptacji powieści Kinga z 2003 r., ciemną skórę miał bardzo zły generał, grany przez Morgana Freemana.

Jak jest teraz? Na podstawie tych i innych przykładów mam wrażenie, że amerykańskie kino coraz częściej zabiega o to, aby nie tylko wynosić murzyńskich bohaterów na piedestał, lecz także mnożyć ich zwycięstwa w zderzeniu z białymi. To nawet nie jest kwestia prawdy historycznej, jak w wychwalanym przez Jakuba Majmurka „odkrywaniu" w filmie XVI-wiecznych królowych angielskich o ciemnej skórze. To wygląda na rodzaj inżynierii społecznej. Ciekawe, czy za Trumpa to się nasili, czy zacznie gasnąć.

Piotr Zaremba

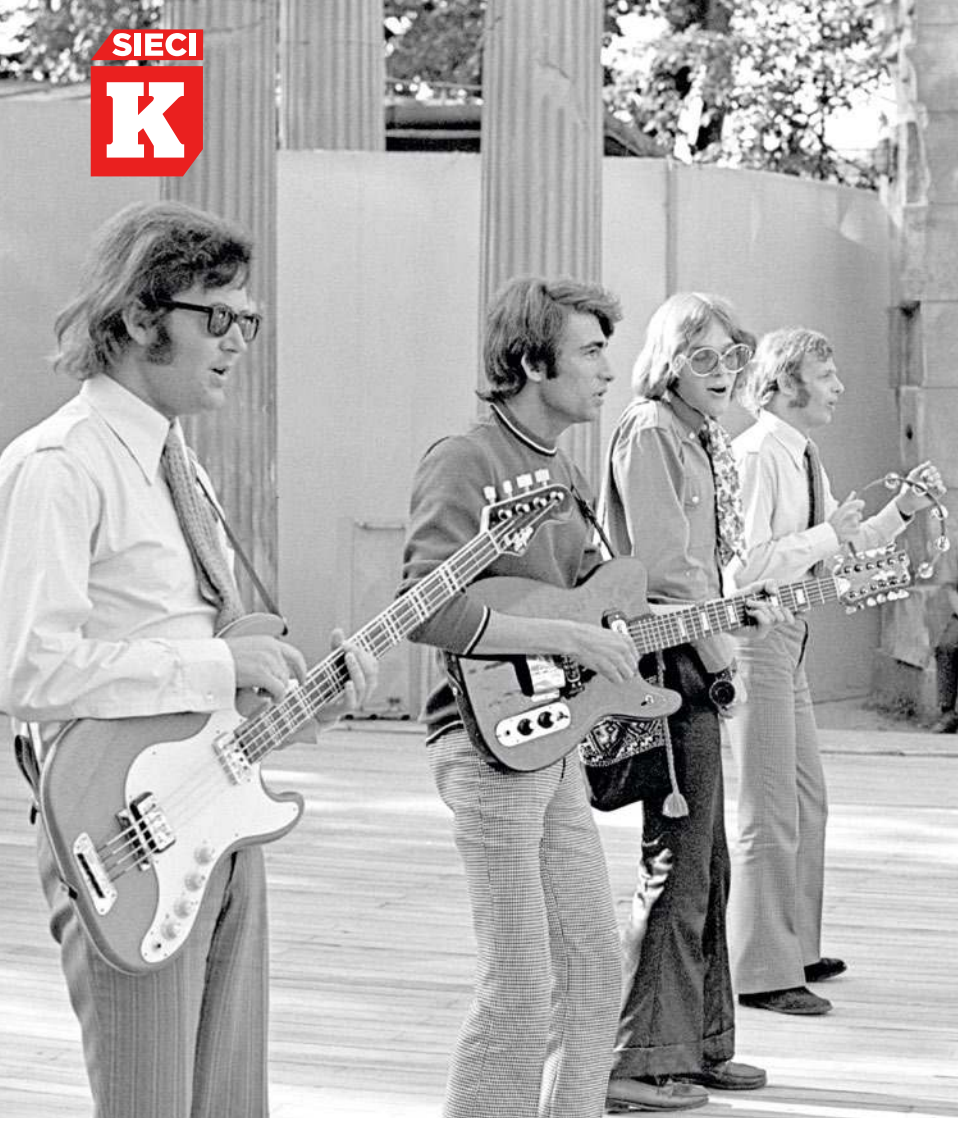

Fot. East News

Nazywano ich Beatlesami Europy Wschodniej.

Czerwone Gitary: 60 lat na scenie

Aktywność Czerwonych Gitar uświetniających swój jubileusz rozpoczętą właśnie serią kilkudziesięciu koncertów zwraca uwagę. Chodzi wszak o formację, która w latach swej świetności wylansowała niezliczone przeboje. Dość wspomnieć choćby adresowane do nastolatków „Takie ładne oczy", „Dozwolone do lat osiemnastu", „Matura", „Tak bardzo się starałem", czy poważniejsze – „Płoną góry, płoną lasy", „Biały krzyż", „Jesień idzie przez park"

ADAM CIESIELSKI

W latach 60. XX w. sam podziwiałem repertuar i stylistykę Ewy Demarczyk, Czesława Niemena czy Wojciecha Młynarskiego, ale trzeba przyznać, że i melodyjne piosenki tworzone przez liderów Czerwonych Gitar – Krzysztofa Klenczona i Seweryna Krajewskiego, łatwo wpadały w ucho. Rozchodziły się na setkach tysięcy płyt, a członkowie zespołu byli zasypywani tonami listów i innymi objawami uwielbienia fanek niczym słynna Czwórka z Liverpoolu.

Z TRÓJMIEJSKIEGO TYGLA

Twórcy Czerwonych Gitar podobnie jak Czesław Niemen, reprezentowali trójmiejski tygiel big-beatowy, którego magiem był dziennikarz, tekściarz i działacz Franciszek Walicki (1921–2015). To on okazał się jednym z pomysłodawców i organizatorów dwóch legendarnych festiwali jazzowych w Sopocie w 1956 i 1957 r. na fali październikowej odwilży po śmierci Stalina. Na początku 1959 r. zajął się gdańskim zespołem Rythm and Blues, który w klubie Rudy Kot dał pierwszy w Polsce koncert rock'n' rolla. Popis tej formacji na Śląsku nie spodobał się Edwardowi Gierkowi, wówczas I sekretarzowi KW PZPR w Katowicach, który doprowadził do wydania ministerialnego zakazu występów gdańszczan. W 1960 r. Walicki założył więc kolejny zespół: Czerwono-Czarni, zaś w 1962 r. jeszcze jeden – Niebiesko-Czarni. Był organizatorem lokalnych, a także ogólnopolskich festiwali młodych talentów.

To on w 1962 r. na takiej imprezie zauważył potencjał pochodzącego z Pułtuska świeżo upieczonego nauczyciela WF Krzysztofa Klenczona (1942–1981) i zaprosił go jako gitarzystę do składu Niebiesko-Czarnych. W 1963 r. Klenczon wystąpił z nimi w paryskiej „Olympii", ale nie chcąc być w cieniu Niemena

eprasa.pl af555dd210

i Wojciecha Kordy, mając własne ambicje, w 1964 r. dołączył do nowego gdańskiego zespołu Pięciolinie, rychło przekształconego w Czerwone Gitary. Wśród jego założycieli byli także: perkusista i wokalista Jerzy Skrzypczyk oraz gitarzyści i wokaliści Jerzy Kossela, Bernard Dornowski i Henryk Zomerski. Po odejściu tego ostatniego zastąpił go multiinstrumentalista, wokalista i kompozytor Seweryn Krajewski, kolega Skrzypczyka ze szkoły muzycznej.

Nazwę zespołu zaproponował Walicki, wybrany na kierownika programowo-artystycznego. Ruszyli ostro. Pierwszy koncert odbył się 15 stycznia 1965 r. w Elblągu. Już w lutym i czerwcu dla redakcji muzycznej Polskiego Radia zarejestrowali piosenki: „Taka jak ty", „Licz do stu" oraz „No bo ty się boisz myszy". W 1966 r. wyszedł ich debiutancki album „To właśnie my". Za 160 tys. sprzedanych egzemplarzy dostali certyfikat srebrnej płyty. Jeszcze wyższą sprzedaż (250 tys.) miał krążek „Czerwone Gitary 2" z 1967 r., a wydane w 1968 r. i sprzedane w ponad 300 tys. „Czerwone Gitary 3" dostały status złotej płyty.

W tym samym roku grupa, uhonorowana na targach muzycznych MIDEM w Cannes za najlepsze wyniki sprzedaży płyt w Polsce, odbyła trzymiesięczne tournée po ZSRR. W przyszłości takie długie, nader męczące, a także dochodowe trasy (także po NRD) miały się powtarzać.

W 1969 r. na festiwalu w Opolu zespół odebrał nagrodę ministra kultury za piosenkę Klenczona „Biały krzyż" do słów Janusza Kondratowicza, kojarzących się kompozytorowi z przejściami ojca, który po wojnie kilka lat spędził w więzieniu za działalność w podziemnych strukturach AK i WiN.

KONFLIKT AMBICJI

Mimo sukcesów długie trasy, stres oraz gra ambicji wywoływały konflikty. Najpoważniejszy, podsycany podobno przez osoby z zewnątrz, wywiązał się między najpłodniejszymi kompozytorami: Klenczonem a Krajewskim. Jego pełną napięcia atmosferę przybliża książka „Czerwone Gitary. Nie spoczniemy..." (Wydawnictwo Pruszyński i Ska) Marka Gaszyńskiego, nieżyjącego już znanego dziennikarza radiowego, autora tekstów piosenek i książek. Podczas wielogodzinnego spotkania czwórki muzyków w zamkniętym pokoju warszawskiego hotelu Bristol w grudniu 1969 r. starły się odmienne wizje rozwoju i repertuaru zespołu Krzysztofa i Seweryna. Dwaj pozostali koledzy mieli się opowiedzieć za którymś z nich. Wybrali Krajewskiego. Klenczon dograł jeszcze ostatnie koncerty zespołu w Teatrze Syrena i poszedł na swoje.

Chciał jak najszybciej zaistnieć samodzielnie, skrzyknął zespół Trzy Korony ze swym kuzynem Ryszardem Klenczonem na gitarze, Markiem Ślazykiem na perkusji i Grzegorzem Andrianem na basie. W tym składzie zarejestrowali nowe piosenki lidera, m.in. „10 w skali Beauforta", „Port", „Czyjaś dziewczyna", „Nie przejdziemy do historii". Podczas koncertów Krzysztof Klenczon próbował nowych, ostrzejszych brzmień, jego dobrani na chybcika partnerzy byli jednak za słabi, by sprostać oczekiwaniom. Trudno zgadnąć, dlaczego nie wymienił ich na lepszych, na pewno znalazłby kandydatów.

W czerwcu 1972 r. Krzysztof Klenczon z żoną Alicją i córką Karoliną odpłynął Batorym do USA. W urządzeniu się rodziny (w 1973 r. przyszła na świat druga córka Jackie) w Chicago pomogli rodzice żony, od lat mieszkający w Stanach Zjednoczonych. Trzeba się jednak było usamodzielnić. Żona uczyła się i pracowała. Krzysztof zdobył licencję taksówkarza, dorabiał jako inspektor techniczny, a także jako gitarzysta w lokalach tanecznych. W klubach polonijnych spotykał polskich kolegów z branży: Czesława Niemena, Krzysztofa Krawczyka, Stana Borysa. Nie tracił nadziei na zrobienie kariery muzycznej w USA, ale realia nie były obiecujące. Z finansowym wsparciem teścia wydał nawet płytę „The Show Never Ends", jednak rozeszła się słabo, bo wylansowanie nieznanego w USA artysty wymagałoby fortuny. Spełniał się w życiu rodzinnym i towarzyskim.

W 1979 r. spotkał się z kolegami z Czerwonych Gitar, koncertującymi w Chicago. Podobno zwierzał się, że marzy o powrocie i wspólnym graniu... Dziwne, że podczas dwóch wcześniejszych przyjazdów do Polski na występy (notabene zdecydowanie nieudane) nie próbował porozmawiać o tym z dawnymi kompanami.

TRAGEDIA W CHICAGO

Pytań jest więcej, odpowiedzi się nie doczekamy, bo 26 lutego 1981 r. doszło do tragedii. W Chicago Krzysztof z żoną wracali do domu z klubu Milford po koncercie charytatywnym. Na prowadzony przez Klenczona wóz z bocznej ulicy wpadł rozpędzony van. Artysta doznał ciężkich obrażeń, w szpitalu przeszedł operację, zmarł 8 kwietnia 1981 r. Jego prochy spoczęły w ukochanym Szczytnie. Siedząca obok kierowcy żona cudem wyszła z wypadku bez większego szwanku.

Tymczasem Czerwone Gitary koncertowały pod wodzą Seweryna Krajewskiego, który jednocześnie rozwijał współpracę kompozytorską m.in. z Agnieszką Osiecką, Marylą Rodowicz, z wielkim talentem tworzył dla teatru i filmu. Ale w lipcu 1997 r. po występach w Niemczech opuścił Czerwone Gitary.

Zespół, w którym oprócz jego dwóch założycieli, Bernarda Dornowskiego i Jerzego Skrzypczyka, gra jeszcze dwóch młodszych muzyków, nadal koncertuje w kraju i za granicą. W czerwcu 1998 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie na wniosek Seweryna Krajewskiego, który wystąpił z pozwem o ochronę dóbr osobistych, zakazał im używania nazwy Czerwone Gitary do czasu zakończenia procesu. 13 października 1998 r. Sąd Apelacyjny zmienił postanowienie o zakazie używania nazwy i oddalił wniosek Krajewskiego o zabezpieczenie powództwa. W listopadzie 2000 r. Sąd Okręgowy w Warszawie nie uznał roszczeń Krajewskiego i oddalił jego powództwo. Nazwa Czerwone Gitary została przy zespole kierowanym przez Jerzego Skrzypczyka. Ten skomentował wyrok słowami: „Teraz możemy spokojnie grać".

I grają! Właśnie ruszyli na „diamentową" trasę 60-lecia. Mimo ponawianych jak zawsze apeli Seweryna Krajewskiego o zaniechanie koncertów rozmieniających na drobne dorobek legendarnej grupy. Może by jednak poszukać kompromisu i za radą Bernarda Dornowskiego dodawać jednak „ex" przed oryginalną nazwą?

eprasa.pl af555dd210

3 MIŁOŚCI

Amputacja mózgu

ROBERT TEKIELI

Uzdrowiciel Hubert Czerniak, złośliwy nowotwór klientki nazwał grzybem, „leczył" jajkami, suplementami i płynem Lugola. Gdy chora trafiła do szpitala, guz w jej brzuchu miał już 20 cm.

Rynek paramedycyny i okultystycznego uzdrawiania w Polsce szacowany jest na kilka miliardów złotych rocznie. Jaki stosunek ma do tego polskie państwo?

Polska Klasyfikacja Działalności gospodarczej PKD to umowny, usystematyzowany podział wszystkich rodzajów działalności społeczno-gospodarczej prowadzonych w naszym kraju. Gdy prowadziłem firmę, musiałem wypełnić specjalną ankietę dla GUS, w której deklarowałem, czym będę się zajmował, a każda forma działalności, np. reklama czy druk, miała własny, niepowtarzalny kod PKD. Kody te zostały wprowadzone Rozporządzeniem Rady Ministrów z 24 grudnia 2007 r. Ponieważ w UE powstała nowa klasyfikacja, Polska aktualizuje swój system. Od 1 stycznia obowiązuje PKD 2025 wprowadzony przez rząd Donalda Tuska w grudniu ub.r. Zainteresowały mnie zmiany w jednym z działów.

Od 2007 r. kod PKD 86.90.D obejmował „działalność paramedyczną prowadzoną w takich dziedzinach, jak: irydologia, homeopatia, akupunktura, akupresura itp.". Tej działalności paramedycznej nie wolno było prowadzić w szpitalach. Dziś lista została rozszerzona. Dowartościowano w niej wielokulturowość. Wcześniejsza „Działalność paramedyczna" to dziś pod kodem 86.96.Z „Działalność w zakresie medycyny tradycyjnej, uzupełniającej i alternatywnej".

W dokumencie bardzo małym drukiem czytamy: „Korzyści zdrowotne wynikające z przeprowadzania tych czynności nie są oparte na danych naukowych dotyczących diagnozowania i leczenia chorób i jak dotąd nie zostały w pełni ocenione w sposób, który może być powszechnie akceptowany jako oparty na dowodach".

Przyjrzyjmy się tym trzem odmianom medycyny oznaczonym kodem 86.96.Z.

„Medycyna tradycyjna – praktyki rozwijane w różnych kulturach przed powstaniem nowoczesnej medycyny, takie jak tradycyjna medycyna chińska (akupunktura, chińskie leki ziołowe), system Unani czy tradycyjne leki afrykańskie".

Podstawą pseudonaukowej medycyny Unani jest teoria czterech „humorów": flegmy, krwi, żółci i czarnej żółci, według której śluz wypływający z nosa pochodzi z mózgu.

Punkt drugi: „Medycyna uzupełniająca – metody wspierające zdrowie, takie jak terapia Alexandra, aromaterapia, terapia Bacha, ajurweda, naturopatia, ziołolecznictwo, terapia żywieniowa i inne". Czym jest terapia Bacha? Jej odkrywca zbierał rosę z płatków kwiatów i twierdził, że zawiera ona lecznicze „wibracje kwiatowe".

Wreszcie trzeci dział: „Medycyna alternatywna – podejścia odmienne od standardowych praktyk medycznych, takie jak homeopatia, chiropraktyka, osteopatia, terapia kryształami, irydologia czy radionika. Działalność uzdrowicieli, hipnoterapia, refleksologia, terapia korygująca metodą Cesara i Mensendiecka oraz naprapatia". Pod kodem 86.99 mamy też shiatsu, masaż tajski, watsu i qi gong tui na.

Na czym polega ta ostatnia praktyka? „Na przekazaniu energii qi z zewnątrz do wnętrza ciała pacjenta oraz pobudzeniu przepływu qi i krwi w organizmie". Tyle tylko, że „energia qi" nie istnieje, jest swego rodzaju zobrazowaniem subiektywnych doznań chińskich myślicieli sprzed 3 tys. lat. Wyrazem przednaukowego światopoglądu, którego różne odmiany Europejczycy posługujący się narzędziem filozofii będącej bezinteresownym dążeniem do prawdy odrzucili wieki temu jako nieprawdziwe.

A czym jest wymieniona w interesującym nas państwowym dokumencie radionika? Jak twierdzą członkowie Śląskiego Cechu Bioenergoterapeutów i Radiestetów w Rybniku, to „metoda diagnozowania i leczenia na odległość wykorzystująca unikalne zdolności pozazmysłowe operatora, wspierane i wzmacniane przez fizyczne urządzenie, geometryczny wzór itp.".

Przed nami zapewne nieodległa akceptacja leczenia Czarną Maścią i moczem wielbłąda, lewatywy kawowej i oczyszczania węglem drzewnym, leczenia bólu ucha wyciskaniem tłustej części larwy witchetty i odwracającym skutki starzenia Sokiem Jilly. Ten ostatni wart jest uwagi, ponieważ „powoduje odrastanie kończyn". Warto sprawdzić, czy będzie skuteczny w przypadkach amputacji mózgu.

W publikowanych dokumentach (stat.gov.pl) pada stwierdzenie, że unijne zmiany klasyfikacji działalności gospodarczej i społecznej są związane z „postępem strukturalnym, naukowym i technologicznym".

Rzeczywiście, zachodnia kultura się zmienia. Irracjonalizm przeżywa dynamiczny rozwój. W tej atmosferze nie dziwi, iż wspomniany wcześniej uzdrowiciel, o którego działalności 27 stycznia pisał na wp.pl Michał Janczura, mógł wmówić klientce, że ma w brzuchu „grzyba".

Naturopaci, homeopaci, uzdrowiciele mówią o alternatywnym podejściu do zdrowia. Problem w tym, że nie istnieją alternatywne prawa natury.

eprasa.pl af555dd210

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Tym razem wojna cywilizacji toczy się najpierw w umyśle autora, potem pomiędzy realistycznym a ideologicznym wątkiem książki. Thriller science fiction *„Ciosy zagłady”* Raya Naylera to cieniutka książeczka – ledwie 92 strony – oparta na doskonałym pomyśle i z ciekawym punktem wyjścia: Moskwa wskrzesiła mamuty. Ale teraz ktoś musi je nauczyć, jak być mamutami...

Pominę watek ideologiczny, mimo iż jest on dominujący. To piórko zostało już wymiędlone do granic: człowiek jako zasługujący na eliminację szkodnik, prawa zwierząt... inteligentny bambizm to dalej bambizm.

Ktoś, kto ma kłopot z realizmem spojrzenia na świat łańcucha pokarmowego, niech zajrzy na profil „Nature is brutal” na platformie X.

Nayler pisze o mordowaniu zwierząt. Nie o ich zabijaniu. Uważam ludzi znęcających się nad zwierzętami za niegodnych nazwania człowiekiem, ale ciekawi mnie, czy w jakiejś rozmowie telewizyjnej o Holokauście autor mówiłby jednocześnie o mordowaniu Żydów i o mordowaniu zwierząt.

Na szczęście „Ciosy zagłady” to też przenikliwe obserwacje, obrazy godne najlepszej realistycznej prozy i błyskotliwe analizy relacji międzyludzkich. Doskonała jest też refleksja nad powiązaniem przypadkowych dziecięcych fascynacji z często pozaświadomym wyborem drogi życiowej, rozważania nad naszą bezwładnością wobec własnego losu.

Najciekawszy jest jednak namysł Naylera nad opozycjami: centrum i peryferia, wykształcenie i brak wykształcenia, zewnętrzny polor i prymitywizm, bo nie jest to u niego kosmos jednoznacznie hierarchiczny. Coś za coś. W przypadku matki bohaterki „skończyło się na dziewiątej klasie, potem zawodówka, żeby uczyć się na kucharkę. Gdy to nie wypaliło, zaczęła handlować rybami. I tylko to robiła przez dziesiątki lat”. Drobna ciemnowłosa kobieta z dłońmi opuchniętymi i czerwonymi od pracy. „Która nie czytała, może tylko czasem zerknęła do gazety. Która samotnie wychowała córkę, utrzymywała ją, ale tak naprawdę nigdy nie wiedziała, co w niej siedzi. Ani nie wiedziała, że powinna chcieć wiedzieć”. I druga planeta: „Damira uświadomiła sobie, o co chodzi, w momencie, gdy widelec zgrzytnął o dno miski. To skutek wykształcenia. Teraz wszystkiemu się przyglądała. Analizowała. Przetwarzała”. Straciła możliwość życia bez roztrząsania go, bez rozkładania wszystkiego na części, by zajrzeć do środka. „Wykształcenie coś jej zabrało. Nie mogła już po prostu *być*”.

I inna wariacja na temat ucieczki, wyjścia z własnego życia, wniknięcia w świat prymitywny: „Wydostać się stąd. Zostawić to życie za sobą. Ten smród namiotów kłusowników, umorusane twarze pijanych mężczyzn, zmiażdżone kończyny, utonięcia, przypadkowe postrzały.

Światosław miał szesnaście lat i od dawna nie znał niczego innego. Przed śmiercią matki nic takiego w jego życiu nie istniało. Były tylko ponure bloczyska w mieście – ciemne klatki schodowe zasypane złuszczoną farbą i śmieciami, kwiaty z mrozu na szybach jego pokoju, pordzewiałe huśtawki na placu zabaw. A potem – matka w szpitalu, chuda, jakby wycofywała się w głąb własnego szkieletu, jakby kości oddychały i żywiły się jej ciałem”.

„Kiedy zmarła matka, miał trzynaście lat. Gdy wylądowała w dole wyrąbanym w zamarzniętej ziemi, zaczął polować razem z ojcem. Bo nie miał dokąd pójść”.

Tam, gdzie pojawia się realizm, jest dobrze. Nayler był oficerem amerykańskiej służby zagranicznej, pracował w Rosji i Azji Środkowej. Nie ma w nim cienia naiwnej fascynacji potęgą i przestrzenią: „Dziadek nie chciał o Rosji nawet rozmawiać. Jak ktoś o niej wspominał, wstawał i wychodził z pokoju”. Również cywilizowany świat zna tu swoją miarę: „Jedyne wilki, jakie widziałem, nosiły drogie garnitury z Saile Row i krawaty, co kosztują więcej niż twoje życie. I były o wiele groźniejsze od tych, które możesz zastać w lesie”.

A jaką naturę ma porządek świata? „Światosław wiedział jeszcze – wiedział, bo widział, jak ojciec raz za razem wraca do domu bez grosza, śmierdząc potem i wódką: suma, jaką można dostać za ciosy, jest tak gigantyczna, że Miusenie nie uda się sprzedać tych kłów i przeżyć. Gdzieś po drodze ktoś mu je zabierze. Oszuka go. Albo nawet zabije. Tacy ludzie jak ojciec Światosława i Miusena się nie bogacą. Nie wyjeżdżają, nie zamieszkują na prywatnych wyspach ani nie wysyłają dzieci na uniwersytety w Londynie. Nie – oni spełniają swoje zadania, przynoszą rzeczy innym. Wykonali robotę i można ich wyrzucić. Takie przedmioty jak te ciosy nie są po to, by bogaci mogli je zdobyć czy kupić, one już do bogatych *należą*. Po prostu trzeba je zanieść ich prawowitym właścicielom”.

Robert Tekieli,
Polskie Radio

Fot. Valsib/Shutterstock.com

SIECI K

Muzyka jako siła wybuchowa

Muzyka i słowo zawsze były potężnymi narzędziami rozpowszechniania idei politycznych. W XX w. w jej najszerszym rozumieniu rolę tę odegrała muzyka pop. „Muzyka to siła wybuchowa" – twierdzi lider włoskiego Hobbita Emanuele Tesauro. Zespół działa, od czasu do czasu koncertując, czasem nawet oficjalnie, m.in. ku pamięci Jana Palacha. Powstał w 1994 r. w Perugii na kolejnej fali odrodzenia się włoskich zespołów nawiązujących do nurtu tzw. musica alternativa, zrodzonej pod koniec lat 70., gdy włoska skrajna prawica spotykała się na Camp Hobbit pod hasłem „Europejska młodzież walczy z komunistyczną dywersją i kapitalistycznym niewolnictwem". Były one odpowiedzią na Woodstock, a ich celem – duchowe i intelektualne odrodzenie prawicowej młodzieży i pobudzenie jej do twórczej aktywności. W ten sposób pojawiły się grupy Compagnia dell'Anello i Amici del Vento.

A skąd nawiązania do Tolkiena? Premier Giorgia Meloni, która w latach 90. jako nastolatka brała udział w obozach, tłumaczyła, że Tolkienowskich archetypów egzystencjalnej konfrontacji między siłami tradycji i nowoczesności nie traktowano jako fantastykę, ale „święty tekst". Stąd zespół Hobbit, który początkowo mieścił się w klasycznym nurcie muzyki opartej na mocnym, ale poetyckim przekazie i gitarze czy prostej, choć łagodnej rockowej konwencji, pozostając oczywiście poza oficjalnym życiem kulturalnym. Z biegiem lat nabierał jednak stylistycznego rozmachu, inspirując się np. rockiem progresywnym, co wybrzmiewa w zgrabnych aranżach z użyciem syntezatorów. Na płycie dokumentującej 30 lat ich działalności słyszymy więc przekrój hobbickich wcieleń. Ta nietypowa antologia zawiera 18 utworów publikowanych na płytach winylowych lub kompilacjach, ale nigdy na żadnym pełnowymiarowym albumie. Hobbit wzywa do uwolnienia się od „knebla i łańcuchów" Europy Brukseli i banków ku Europie tożsamości i narodów. Uprawia też swoistą politykę historyczną, przywołując grozę atomowego ataku na Hiroszimę dokonanego przez „proroków nowej ludzkości" czy pamięć ofiar lewicowego terroryzmu lat 70., tzw. lat ołowiu („10 anni"). Ale najbardziej na czasie jest kawałek „O.N.G." poświęcony organizacjom zajmującym się przerzutem imigrantów do brzegów Europy. „Nie uciekają przed wojną i nie są prześladowani, Nie są głodni i nie są uchodźcami!". Il domani appartiene a noi!

Hobbit, „Adunanza. Singoli e Rarità 1994–2024", Rupe Tarpea Produzioni 2024

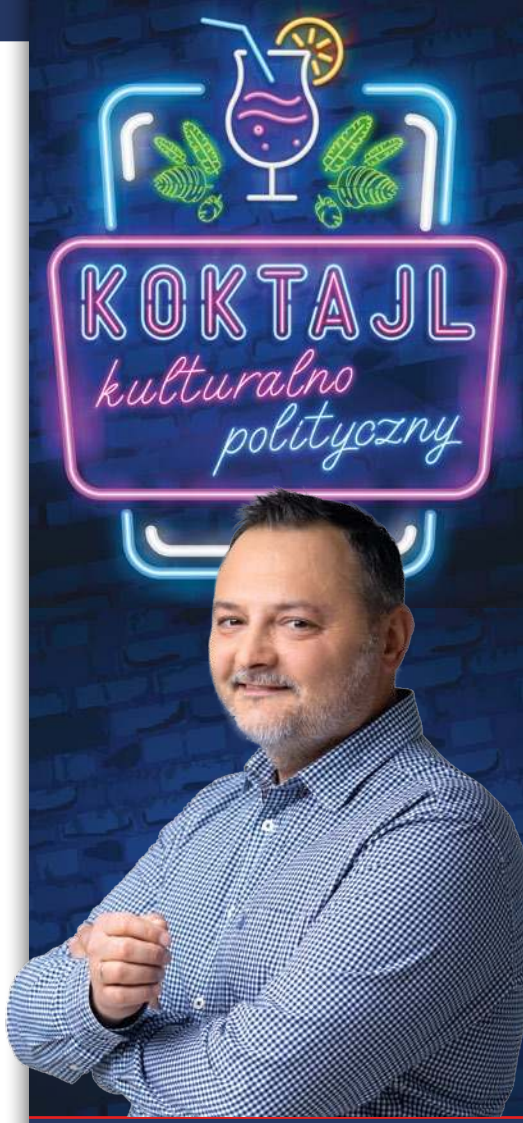

Maciej Walaszczyk

David Lynch (1946–2025)

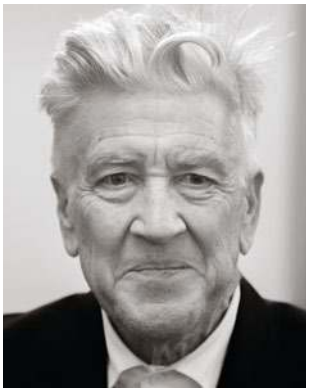

Na początku stycznia wokół Los Angeles wybuchły pożary o nieznanej wcześniej skali. Chorego na rozedmę płuc słynnego reżysera trzeba było ewakuować z jego domu, gdyż nie był już w stanie czerpać tlenu z palącego powietrza ogarniętej pożarem Kalifornii. W płomieniach stanęła także Mulholland Drive, kultowa droga łącząca Hollywood z oceanem, której w 2001 r. David Lynch poświęcił film o tym samym tytule. To niesamowite, ale ta piekielna symbolika była obecna w jego twórczości, choćby w „Dzikości serca" czy „Ogniu krocz za mną", który jest podtytułem prequela „Miasteczka Twin Peaks". Dziś nie tylko symbolicznie zdaje się zapowiedzią mrocznego, wszechogarniającego zagrożenia będącego spełnieniem jakiejś apokaliptycznej przepowiedni i występującego w filmowych wizjach reżysera fatum, przed którym nie można uciec. To bardzo wymowne.

Na początku lat 90. kolejne odcinki serialu o prowincjonalnym miasteczku w Ameryce w napięciu oglądali także widzowie w Polsce, pozwalając się wprowadzić w wykreowany przez Lyncha świat rozdartej rzeczywistości. Spotykali w niej bohaterów będących ludźmi zupełnie przeciętnymi, ale noszącymi w sobie jakieś wielkie tajemnice. Ci, nie tylko z Twin Peaks, byli zarazem brutalni oraz naiwnie dziecinni. Lynch był oczywiście ponowoczesnym surrealistą, który uwodził widza opowiadaniem tego rodzaju historii dziejących się na kilku poziomach jednocześnie, umiejętnie wciągał publikę w wiry zniekształcające przestrzeń i egzystencję. W jednym z wywiadów zapewniał, że w jego filmach jest logika, ale najważniejsza miała być logika oglądającego je widza. I to się podobało, bo te opowieści były otwarte i zarazem swoiście powierzchowne, pozostawiające dzieło w połowie drogi między kinem dla milionów a czymś bardzo wyrafinowanym, choć czasami odrażającym. Jego filmy zawsze zaskakiwały świeżymi pomysłami i odpowiednią muzyką, m.in. Angela Badalamentiego.

Trzeba więc przyznać, że Lynch jako scenarzysta i reżyser, a także fotografik i plastyk był artystą wielkiego formatu i wizjonerem. „Dzikość serca", „Blue Velvet" czy „Człowiek słoń" wciąż robią duże wrażenie. Niestety jedna kwestia pozostaje niewyjaśniona do dziś, co po jego śmierci świetnie ujął któryś z twórców satyrycznych rysunków prasowych. Widniejący na nim św. Piotr stojący przed bramą do nieba pyta zakłopotanego Lyncha: „OK, ale kto naprawdę zabił Laurę Palmer?". Bardzo dobre pytanie.

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com, Materiały prasowe

eprasa.pl af555dd210

Witajcie w nowej epoce

Podstawy liberalnego ładu międzynarodowego zostały trwale naruszone przez Rosję, Izrael i USA. Postzimnowojenny porządek dobiegł końca, wkraczamy w nową epokę

Szybki rozwój wypadków otwiera nowe możliwości, a także rodzi wyzwania i zagrożenia. W swojej analizie prof. Kazimierz Dadak zastanawia się nad konsekwencjami wygranej Donalda Trumpa, także dla Polski. Oczywiście pytanie o to powinni zadawać sobie wszyscy, także na prawicy kibicującej kandydatowi republikanów, który nawet we własnym obozie był traktowany jak intruz. I to jest pierwsza lekcja – zrozumieć, skąd się wziął kandydat i ruch polityczny, który stał się nową bazą wyborczą dla amerykańskiej prawicy oraz dlaczego wyborcy poparli zapowiedź tak radykalnych zmian. W USA ma miejsce ostry konflikt światopoglądowy, który rzutuje na wybory polityczne, ale nie to jest najistotniejsze. Amerykanie źle oceniają ostatnie 25 lat, a więc politykę drugiego pokolenia neokonserwatystów symbolizowaną przez światową „wojnę z terrorem", przyspieszenie globalizacji skutkującej budową fabryk w Chinach i równoczesną likwidacją ich m.in. w USA, a więc zubożeniem klasy średniej i powiększeniem się sfery ubóstwa. To wszystko przy kilkakrotnym wzroście długu sektora publicznego.

Autor tekstu jako ekonomista zastanawia się zwłaszcza nad tym, jak nowa administracja ograniczy wzrost zadłużenia i znajdzie pole do ekspansji. Na razie Trump nie ma jasno sprecyzowanego programu ekonomicznego, a tym, co zdaje się pewne, są korekty systemu podatkowego mające ulżyć milionom ludzi pracującym w sektorze usług. Do tego ochrona rynku wewnętrznego, a więc protekcjonizm i cła na dobra wwożone do USA oraz poprawa konkurencyjności przez natychmiastowe zrzucenie balastu Zielonego Ładu. Oznacza to zwiększenie wydobycia węglowodorów i obniżkę ich ceny, a w efekcie większą siłę nabywczą ludności. Ogólnie cała polityka gospodarcza będzie podporządkowana wyzwaniom polityki międzynarodowej nakierowanej na rywalizację z Chinami, uważanymi za śmiertelne zagrożenie. Nie będzie więc mowy o złagodzeniu wojny gospodarczej.

Ponadto prof. Dadak uważa, że USA pozostaną gwarantem naszej suwerenności, ale będą dążyły do zakończenia wojny na Ukrainie. To Stany Zjednoczone decydują i gdyby nie amerykańska pomoc wojskowa, rosyjskie flagi już dawno powiewałyby na Chreszczatyku – przypomina. Trump będzie więc starał się unikać blamażu Joe Bidena wycofującego amerykański personel cywilno-wojskowy z Afganistanu w 2021 r. Jednak poważne wsparcie udzielone Ukrainie jest uważane za błąd, ponieważ nie powaliło agresora i doprowadziło do wzmocnienia sojuszu chińsko-rosyjskiego.

Inna sprawa to konflikt bliskowschodni. Tu także nastąpiły ogromne zmiany, na które wskazuje Tomasz Gabiś. Chodzi o spadek poparcia dla Izraela wśród społeczeństw Zachodu. Stało się to po tym, jak rząd tego kraju, kierując się zasadą odpowiedzialności zbiorowej, przeprowadził systematyczne bombardowania, doprowadzając do śmierci dziesiątek tysięcy cywilów. To zaś spowodowało, że rola, jaką w polityce Izraela i żydowskiej diaspory odgrywała tzw. religia Holokaustu, służąca za moralną tarczę i fundament legitymizacji państwa żydowskiego, uległa nagłej erozji. Choć nadal jest instrumentalnie używana do usprawiedliwiania masowej przemocy Izraela wobec Palestyńczyków, przestaje pełnić swoją funkcję i zbliżamy się do momentu (a być może on już nadszedł), kiedy pamięć o Holokauście nie powstrzyma świata przed ujrzeniem Izraela takim, jakim on jest. Co więcej, w nowych warunkach dla postliberalnych, bardziej „nacjonalistycznych" Stanów Zjednoczonych żydowska martyrologia może się okazać nieprzydatna.

Redakcja dwumiesięcznika „ARCANA" postanowiła również uhonorować prof. Ryszarda Legutkę wywiadem i blokiem tekstów. Wszystko w związku odznaczeniem go przez prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego i przypadającym w tym roku jubileuszem 75. urodzin krakowskiego filozofa. Nie bez powodu autorzy komplementują „ostatniego europejskiego scholara" (miejmy nadzieję, że jednak nie ostatniego) za samodzielność intelektualną, jego przekłady platońskich dialogów i postawę charakteryzującą się krytyczną zdolnością do analizy oraz odwagą łamania schematów, naruszania tabu i unikania, a także demaskowania imitacji w kulturze i nauce.

„ARCANA" 2024, nr 6(180)

eprasa.pl af555dd210

Przedwyborczy lifting Zielonego Ładu

Drogie prąd i gaz w Europie uderzają po kieszeni obywateli oraz fatalnie odbijają się na gospodarce, ale same zaklęcia unijnych decydentów o czystych technologiach i obstawanie przy Zielonym Ładzie nie spowodują, że będzie taniej. A złagodzenie tzw. narracji klimatycznej, której obecnie jesteśmy świadkami, to jedynie efekt sezonu wyborczego w Polsce i Niemczech

AGNIESZKA ŁAKOMA

Europa nie może się podnieść po covidowych obostrzeniach i kryzysie surowcowym, który wybuchł po ataku Rosji na Ukrainę. Nie widać końca problemów i wiele wskazuje na to, że w najbliższym czasie będziemy mieć do czynienia głównie z ambitnymi zapowiedziami różnych strategii i programów, które znów mają uczynić Europę wiodącym kontynentem z szybko rozwijającą się gospodarką, nowoczesnymi firmami i społeczeństwem dobrobytu. Komisja Europejska rusza bowiem z wielką ofensywą programową ogłoszoną zgodnie z zapowiedzią szefowej Ursuli von der Leyen na pierwsze 100 dni urzędowania.

Kłopot polega na tym, że od samej publikacji stosu dokumentów, a taki jest szykowany, nie zmieni się nic albo bardzo niewiele. Teraz von der Leyen będzie rozwiązywała problemy, które zostały wywołane przez jej decyzje w poprzedniej kadencji na stanowisku szefowej KE. Na dodatek wcale nie zmieniła ona podejścia do kluczowej kwestii, czyli Zielonego Ładu – ambitnej agendy klimatycznej wyznaczającej działania gospodarcze krajów unijnych nie na 5 czy 10 lat, ale do połowy wieku. I tak dobrała sobie ekipę unijnych komisarzy, że wszyscy zgodnie popierają nie tylko tę agendę, lecz także jej przyśpieszenie.

LISTA PROBLEMÓW

Tymczasem lista problemów, z którymi zmaga się unijna gospodarka, jest długa. Wysokie ceny energii i gazu zwiększyły koszty wytwarzania przemysłu zarówno branż ciężkich (energochłonnych), jak i produkcji. Jednocześnie kraje unijne muszą realizować energetyczną transformację, czyli ograniczać emisję, a to wiąże się z olbrzymimi kosztami.

Także sektory mające z założenia przeciągnąć unijną gospodarkę w nową, zieloną erę, napotykają na problemy – choćby branża solarna czy produkcja pomp ciepła. Czyste technologie oznaczają wzmacnianie zależności Europy od importu surowców krytycznych i metali ziem rzadkich, niezbędnych do produkcji „narzędzi" transformacji energetycznej. A w tej dziedzinie liderem wciąż są Chiny.

Jeśli w Państwie Środka i Stanach Zjednoczonych koszty energii i gazu pozostaną kilkakrotnie niższe niż w Unii, bar-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl af555dd210

dzo trudno będzie o sukces gospodarczy Starego Kontynentu w globalnym wyścigu. Więcej – trzeba się liczyć z odpływem (za ocean i do Azji) inwestycji rodzimych przedsiębiorstw poszukujących optymalizacji produkcji. Wystarczy wspomnieć, że niemiecki koncern energetyczny RWE (ten sam, który ponad dwie dekady temu kupił warszawski STOEN) stał się w USA jedną z pięciu największych firm w energetyce wiatrowej, a gigant chemiczny BASF buduje w Chinach zakłady za 10 mld dol.

CHIŃSCY PARTNERZY W NIEMIECKICH ZAKŁADACH

O tym, jak bardzo oczekiwania brukselskich planistów rozmijają się z rzeczywistością, świadczy sytuacja w branży motoryzacyjnej, gdzie potęgi – Stellantis i Volkswagen – muszą ograniczać lub wstrzymywać produkcję i stoją wobec decyzji o zamykaniu fabryk. By uniknąć problemu, niemiecki gigant zaprosił do swoich rodzimych zakładów inwestorów z Chin i możliwe, że przeniesie do Stanów Zjednoczonych produkcję Audi i Porsche. Wszystko dlatego, że w ramach walki o czyste powietrze Europa musi przejść na elektryki. A jeśli w tym roku (wraz z nowymi normami emisji) firmy sprzedadzą za mało nieemisyjnych samochodów, zapłacą słone kary. Ich koszty szacuje się nawet na 15 mld euro, podczas gdy popyt na „auta z wtyczką" nie jest nadzwyczajny. Za każdy sprzedany (ponad normę) samochód spalinowy producent ma zapłacić ok. 5 tys. euro kary. Elektromobilność to nośne hasło, lecz postępuje powoli, a przykład Niemiec, gdzie z końcem 2023 r. wycofano dotacje do zakupu elektryków i sprzedaż spadła, stanowi sygnał, że nawet naszych bogatych sąsiadów trudno przekonać do porzucenia diesla.

STOSY STRATEGII

Teraz lekiem na całe zło będzie lista nowych programów dla różnych branż pod wspólnym hasłem „poprawy konkurencyjności" w Unii Europejskiej. Zaczęło się od Kompasu Konkurencyjności ogłoszonego w zeszłym tygodniu – swoistego kalendarium publikacji pomysłów Brukseli.

– Dla mnie w tym Kompasie kluczowa jest tak naprawdę tylko jedna kwestia. To zapis o dekarbonizacji przemysłu zgodnie z wcześniej ustalonymi celami obniżenia emisji CO_2 na koniec tej dekady i na lata 2040–2050. Komisja Europejska nawet o milimetr nie zmienia podejścia do transformacji – mówi była minister klimatu i środowiska Anna Łukaszewska-Trzeciakowska. – Skoro cele pozostają w mocy, to również cały Zielony Ład jest aktualny. I to jest dla nas wszystkich zła wiadomość, bo nie ma co liczyć na spadek cen. Po prostu nie ma takiej możliwości – dodaje.

I wyjaśnia, że gdyby władze w Brukseli tylko chciały, mogłyby doprowadzić do spadku cen, bo mają odpowiednie narzędzia. Choćby dokonując gruntownej reformy systemu handlu emisjami, czyli EU ETS. Ten parapodatek, który już teraz zmusza energetykę i przemysł do płacenia za każdą tonę emitowanego CO_2, a którego koszty wzrosną, wciąż jest rozbudowywany. Jeszcze kilka lat temu emisję 1 t CO_2 wyceniano na ok. 40 euro, w 2023 r. było to już niemal 100 euro, a w ostatnim czasie 70–80 euro.

– To system ETS z jednej strony wyznacza cenę bazową energii, a z drugiej, w przypadku odnawialnych źródeł, koszty ich bilansowania, więc dopóki nie będzie ceny maksymalnej za pozwolenia na emisję, nie ma mowy o pokonaniu drożyzny – mówi Łukaszewska-Trzeciakowska. – A trzeba się jeszcze liczyć z olbrzymimi nakładami na inwestycje nie tylko w energetyce, bo skoro ma być coraz więcej odnawialnych źródeł energii, potrzebne są nowe sieci. Zwłaszcza że Unia stawia na czyste technologie w przemyśle, powszechną elektryfikację i cyfryzację. Na końcu trzeba zapytać, kto za to zapłaci.

Przypomnijmy, że przewidywane koszty inwestycyjne są liczone nie w setkach miliardów, a bilionach euro rocznie. Sama Komisja szacuje niezbędne wydatki na zielone inwestycje w energetyce i transporcie na 1,3 bln euro rocznie do końca tej dekady (to 7,7 proc. unijnego PKB), a w kolejnej dekadzie na 1,5 bln euro (7,4 proc. PKB). Brukselski instytut Bruegel krytycznie ocenił te kalkulacje i uważa, że koszty będą jeszcze wyższe, a Unia Europejska „rozpoczęła transformację bez szczegółowego określenia, ile inwestycji będzie wymagać i bez zdolności do monitorowania, na poziomie unijnym lub krajowym, rzeczywistych wysiłków i luki inwestycyjnej". Bruegel porównuje takie podejście do próby „przepłynięcia Atlantyku bez kompasu".

ŁAGODZENIE LĘKU…

Nowa administracja USA wyrzuciła do kosza proklimatyczną politykę poprzedników i stawia na paliwa kopalne.

– Nic dziwnego, że w Brukseli i Strasburgu widać objawy paniki – mówi Anna Łukaszewska-Trzeciakowska. – Podstawowa idea „ratowania płonącej planety" jest niezmienna, możemy więc liczyć tylko na złagodzenie niektórych przepisów lub odsunięcie ich chwilowo – na rok lub dwa, ale w praktyce to jak odroczenie wyroku.

Sądząc po wypowiedziach niemieckich polityków, możliwa będzie tylko minimalna modyfikacja zielonej agendy. A przypomnijmy, że to właśnie niemieckie trio: Ursula von der Leyen, typowany na nowego kanclerza Friedrich Merz oraz szef głównej frakcji EPP w europarlamencie Manfred Weber liczą na to, że wciąż będą rządzić i dzielić w europejskiej polityce. I choć słowa Donalda Tuska o tym, że droga energia może „zmieść niejeden demokratyczny rząd", powinny być traktowane przez animatorów Green Dealu jako *memento*, nikt nie bierze tych ostrzeżeń na poważnie.

Na czym więc będzie polegało łagodzenie Zielonego Ładu? Po raportach, analizach i opracowaniach mamy deklarację, że mniejsze firmy nie będą musiały przygotowywać szczegółowych raportów ESG, podatek od emisji naliczany na granicach być może zostanie przesunięty w czasie, podobnie jak wprowadzenie systemu ETS2, który ma wejść w życie w 2027 r., by objąć ciepłownictwo i transport. To ma wystarczyć, by udowodnić troskę elit o wysokie rachunki za prąd, gaz, paliwo. Czy jednak wystarczy, by konkurować na globalnym rynku z USA i Chinami i pozwoli ostatecznie obniżyć ceny energii w Europie?

eprasa.pl af555dd210

CHRISTOPHER NOLAN*

W krainie Polifema

Po spektakularnym sukcesie filmu „Oppenheimer" (2023 r.) Christopher Nolan (twórca takich znanych obrazów, jak „Mroczny rycerz", „Interstellar", „Incepcja" czy „Dunkierka") postanowił nakręcić ekranową wersję słynnego greckiego eposu – „Odysei". I to w technologii IMAX.

Filmowa odsłona dzieła Homera ma wejść na światowe ekrany w lipcu 2026 r., ale zdjęcia ruszą już w ciągu najbliższych tygodni. Część scen zostanie nakręcona na sycylijskiej wyspie Favignana. To tu mają powstać sceny, w których Odyseusz (nazywany we Włoszech Ulissesem) i jego ludzie wpadną w pułapkę cyklopa Polifema. Uwięzi ich on w jaskini (w której trzyma też stado owiec).

Odyseuszowi uda się upić potwora winem, a kiedy ten zaśnie, wypali mu rozżarzonym drągiem jedyne oko. Ponieważ przedstawi się cyklopowi jako „Nikt", ten nie będzie w stanie wskazać innym olbrzymom, kto go okaleczył.

Za sprawą kolejnego fortelu Odysa Grekom uda się umknąć z groty, gdy przywiązani do brzuchów owiec przecisną się przez jedyne wyjście (sprawdzając, czy więźniowie nie uciekają, Polifem gładził wychodzące zwierzęta po grzbietach). Na swoje nieszczęście ujęty pychą Odyseusz, gdy znajdzie się już w bezpiecznej odległości, poda cyklopowi swoje prawdziwe imię. Za oślepienie syna bóg morza Posejdon przez 10 lat będzie tak mylił Grekom morskie drogi, by nie mogli wrócić do rodzinnej Itaki.

Favignana, na którą trafią filmowcy, to największa wyspa archipelagu Egadów, a także jeden z najpopularniejszych letnich celów podróży na Morzu Śródziemnym. Leży w pobliżu północno-zachodniego wybrzeża Sycylii. Ma 33 km linii brzegowej, wzdłuż której znajduje się wiele malowniczych zatoczek i jaskiń. Jej główną atrakcją są plaże. Turyści chwalą też panujący tu spokój, możliwość relaksu i kuchnię, w której króluje tuńczyk.

Wśród lokalnych przysmaków Favignany są m.in. klopsiki rybne, kuskus z rybą, tuńczyk na słodko-kwaśno, spaghetti alla bottarga (z peklowaną ikrą tuńczyka), cassatelle (smażone na głębokim oleju włoskie ciastka z kremem z ricotty i kawałkami czekolady), amaro rizza (typowy likier z 12 aromatycznych ziół).

Christopher Nolan nie zapowiada odwiedzenia z ekipą „Odysei" Riwiery Cyklopów – archipelagu na Morzu Jońskim (wschodnia Sycylia), gdzie, jak głosi lokalna legenda, znajdował się potężny zamek Polifema (ponoć pozostałością po tej budowli są olbrzymie klify). Filmowcy mają za to zaplanowany pobyt na Wyspach Liparyjskich. To położona na Morzu Tyrreńskim (pomiędzy Sycylią a Półwyspem Apenińskim) grupa 17 niewielkich wulkanicznych wyniesień, znana również jako Wyspy Eolskie. Nazwa nawiązuje do imienia greckiego boga Eola – władcy wiatrów.

Zdjęcia do „Odysei" mają być kręcone także w Wielkiej Brytanii i Maroku. W obsadzie znaleźli się: Matt Damon, Tom Holland, Anne Hathaway, Zendaya, Lupita Nyong'o, Robert Pattinson i Charlize Theron, ale nie podano jeszcze, które role zagrają.

Jolanta Gajda-Zadworna

**brytyjski reżyser, scenarzysta i producent filmowy*

Fot. Fred Duval/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl af555dd210

SŁODKO-SŁONY

Wytrawne gofry

ANNA MONICKA

Gdy tylko przygrzało słońce, ruszyłyśmy z córką na spacery i wypatrywanie wiosny. Jeszcze pewnie przedwcześnie, ale ile można patrzeć na szarobure ulice? Mamy dwa ulubione miejsca na krótkie wypady z plecakiem i kubkiem termicznym pełnym herbaty na rozgrzewkę. Bliżej, niemal po sąsiedzku, rezerwat Puszcza Słupecka w Czarnej Strudze, gdzie spotykałyśmy się z łosiami, jenotami, zającami, o lisach i sarnach nie wspominając, bo te jeszcze nie tak dawno temu podchodziły pod nasz dom (teraz robią to już tylko dziki, które ryją pod parkanami, a jednego, który pokonał płot od strony lasu, musiałam przeganiać miotłą z tarasu).

Drugie to okolice Serocka – jesienią wrzosowiska w Mostówce albo spacery po lesie koło Zatorów. Ale las jeszcze śpi, jeździmy więc nad Bug pospacerować po malowniczych okolicach starorzecza, gdzie na rozlewiskach zimują setki ptaków – gęsi, czapli, a ostatnio także żurawi. No i Wyszków, żeby popatrzeć na piękny i dziki Bug, który płynie szerokim i wartkim nurtem, ale w tym roku nie wylewa. Uwielbiamy te spacery, bo chociaż teraz dzień jest jeszcze krótki, i tak pomagają oczyścić oraz przewietrzyć głowę.

Odkryłyśmy też w pobliżu parku fajną cukiernię Yummy!, więc kończymy nasze eskapady kawą i goframi bąbelkowymi. Latem zajadałyśmy się owocowymi, ostatnio wytrawnymi z jajkami, szynką parmeńską, mozzarellą, pomidorkami koktajlowymi i rukolą czy z łososiem, sałatą, sezamem albo z kurczakiem, jalapeño i piklami. Do tego pyszne sosy do wyboru – czosnkowy, balsamiczny, musztardowo-miodowy, mango, salsa.

Wszystko świeże i pachnące, w sam raz na lekki obiad. W kawiarni jest też spory wybór bezglutenowych oraz wegańskich ciast i deserów, ale my tak się rozsmakowałyśmy w gofrach, że wyszłyśmy z mocnym postanowieniem, że kupimy gofrownicę bąbelkową, nie za dużą, żeby można ją było wrzucić do bagażnika i zabierać ze sobą na wakacje. Mamy też przepis na ciasto bez glutenu, z mąki owsianej z odrobiną ryżowej – bierzemy jej 2,5 szklanki, łyżeczkę proszku do pieczenia, szczyptę soli, ok. 05 l mleka, 2 jajka, 3–4 łyżki oleju. Mokre składniki miksujemy osobno, potem dodajemy suche, mieszamy rózgą, formę do gofrów smarujemy olejem i smażymy na złoto. Podajemy z jajkami, wędliną, wędzonym łososiem, serami, zieleniną. Są dobre na śniadanie, obiad i kolację.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Rok bez zimy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zima bez mrozu i śniegu jest dla naszej przyrody anomalią, która nie powinna mieć miejsca. Jeżeli dotychczasowe tendencje się nie odwrócą, część gatunków zapewne nie będzie już występować w naszym kraju. Niestety stwierdzenie, że zastąpią je inne, nie jest pocieszające, ponieważ przy tak szybko postępujących zmianach największe szanse mają gatunki obce, inwazyjne, których pojawienie się nie wnosi do ekosystemu niczego nowego i pozytywnego, lecz przeciwnie – jest gwarancją szybkiego spadku bioróżnorodności.

Można przypuszczać, że część gatunków, jeżeli nie zniknie, to bardzo poważnie ograniczy swój zasięg, choćby świerk. Oprócz wielu innych uwarunkowań, np. wyższej wilgotności powietrza, wymaga on odpowiednio długiego okresu mrozów i śniegu zimą. Bez tego słabnie. A wtedy atakują go korniki, przeciwko którym nie ma siły się bronić i usycha. Usychanie świerków w górach i w miastach jest powszechne. Rozejrzyjmy się: jeżeli o tej porze roku zobaczymy iglaste drzewo bez igieł, coraz częściej nie będzie to modrzew, który z natury zimą zrzuca igły, ale właśnie świerk. A jeżeli jeszcze ma igły, są one rzadkie i przyżółkłe. Uschnie latem albo za rok. Z ciekawości można zerknąć, czy w korze nie widać już pierwszych, okrągłych otworków o milimetrowej średnicy po wylatujących chrząszczach albo korytarzy larw żerujących w łyku, tuż pod korą, którym najpopularniejszy kornik żerujący na świerku zawdzięcza nazwę drukarz.

W sytuacji, w której – zwłaszcza w miastach – cierpią też sosny, uwagę przyciąga jodła. Oczywiście pospolita, *Abies alba*. Jeżeli się da, zawsze warto pamiętać o wybieraniu gatunków rodzimych. A to nie jest łatwe. Jeśli w szkółce zapytamy o jodłę, niemal zawsze będzie to jodła koreańska, cis będzie cisem pośrednim (czyli nie polskim cisem pospolitym, ale mieszańcem pochodzącym od cisa japońskiego), a jałowiec – jałowcem chińskim, a nie naszym rodzimym jałowcem pospolitym.

Jodła pospolita jest pięknym, przez cały rok zielonym drzewem o bogatej sieci powiązań przyrodniczych. Sadząc jodły, wspieramy wiele niekiedy rzadkich gatunków roślin, grzybów i zwierząt korzystających z jej obecności. A po ciężkim dla niej okresie kwaśnych deszczy w latach 80. jodła obecnie przeżywa renesans. Warto z tego skorzystać.

eprasa.pl af555dd210

OGNIEM NA WPROST

Pop swoje, a czort swoje

Andrzej Rafał Potocki

Jak wspominaliśmy w poprzedniej rubryce, dezercja na Ukrainie nie jest poważnym problemem. Kwestia uzupełniania strat w ludziach na froncie staje się natomiast powoli zagrożeniem dla obrony państwa. Stan wojenny na Ukrainie został przedłużony, a w kraju trwa mobilizacja poborowych. Należą do nich wszyscy mężczyźni w wieku 25–60 lat oraz ochotnicy w wieku 18–25 lat. Terytorialne centra rekrutacji rozpoczęły operację, w której zatrzymuje się mężczyzn w miejscach publicznych: barach, siłowniach, na ulicy. 100 rekruterów pracowników centrum wraz z policją pojawiło się na koncercie w Kijowie, aby wyłowić z publiczności poborowych. Borys Tynka z Odessy, Polak i przewodnik turystyczny po tym mieście, relacjonuje: „Ta presja zmieniła kraj. Na ulicach miast praktycznie nie spotyka się mężczyzn w średnim wieku, chyba że w mundurach. Cywile siedzą w domach, obawiając się zatrzymania. Podczas ostatniego wyjazdu byłem sześciokrotnie kontrolowany na ulicy. Gdybym nie miał przy sobie paszportu, zostałbym zatrzymany pod pretekstem uchylania się od wojska. Ludzie sprzeciwiają się poborowi chłopaków w wieku 18–25 lat. Nie poznałem nikogo, kto by to popierał. Rozmawiałem za to kilkoma matkami, które na wszelki wypadek wysłały synów za granicę. Za nic nie zmieniłyby tej decyzji". Ruski to wie i dlatego nie jest skory do rozmów z Waszyngtonem o końcu wojny. Ma też świadomość, że musi dociskać na froncie aż do przełamania obrony. I tak niestety robi.

Prezydent Trump zaraz po inauguracji zaczął realizować to, co zapowiedział, czyli cisnąć Moskwę, by zasiadła do rozmów. Najpierw oświadczył, że chce się spotkać z Putinem w tej sprawie. Kreml odpowiedział, że może rozmawiać tylko o bezwarunkowej kapitulacji Ukrainy. Więc poszły w ruch kolejne sankcje gospodarcze na Kacapię i otwarte już polowanie na „flotę cieni" przełamującą embargo na ruską ropę. I znowu oferta rozmów. I znowu miganie się. Więc zapowiedź zwiększenia wydobycia ropy i gazu przez USA oraz rozmowy z OPEC, żeby też to uczyniły. A to oznacza spadek cen tych surowców i katastrofę ruskich finansów (która już jest faktem, ale może być jeszcze gorzej). Całość gry ze strony USA idzie w kierunku zrzucenia na Kreml całkowitej odpowiedzialności za brak porozumienia. Moskwa co prawda wykonuje pewne ruchy niby to ugodowe, ale nie widać, żeby zamierzała zatrzymać działania ofensywne. Jej stanowisko negocjacyjne jest takie samo jak na początku inwazji: 20 proc. terytorium Ukrainy, zakaz wstępowania do NATO, rozbrojenie ukraińskiej armii. Pop swoje, a czort swoje.

Oprócz tego amerykańska administracja naciska na sojuszników w NATO, aby zwiększyli budżety obronne nawet do 5 proc. Doradca prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego Mike Waltz zasugerował Ukraińcom, że dolna granica wieku powinna wynosić 18 lat, co ustabilizowałoby sytuację na froncie, ale Zełenski boi się podjąć tak radykalną decyzję ze względu na nastroje panujące w kraju. I tak źle, i tak niedobrze. Szanse na pokój są takie jak na zaserwowanie steka ukraińskiemu żołnierzowi w kacapskiej niewoli. A jak do tej pory nasze prognozy nie są dalekie od prawdy.

Tymczasem prezydent Zełenski już porzucił swoich dotychczasowych niemieckich przyjaciół i kadzi Trumpowi, że w negocjacjach z Rosją Europa jest niepotrzebna, wystarczą Stany i Ukraina. Ten facet ma dwie wybitne zdolności. Pierwsza to szybkie zjednywanie sobie przyjaciół, a druga to jeszcze szybsze zrażanie ich do siebie. Jednak tak otwarte olanie ludzi, którym przed chwilą wciskało się bez wazeliny, jest grubo niesmaczne. A Ukrainy nie stać na utratę sojuszników. Cały Zełenski. Jak Polacy mu mówili, że na sojuszu z Berlinem wyjdzie jak Zabłocki na mydle, to nie chciał słuchać. A teraz proszę. Panie Zełenski, wystarczyło uważnie czytać nasze felietony.

Teraz Zełenski zbiera owoce postawy swojej i krawaciarzy w Kijowie. Na szczycie w Davos Wolfgang Ischinger, były sekretarz stanu w niemieckim MSZ, były ambasador Niemiec w USA oraz obecny szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa (największa międzynarodowa konferencja poświęcona sprawom bezpieczeństwa), dał popis swoich dyplomatycznych zdolności. Zaproponował, żeby pokój na Ukrainie gwarantowały wojska... chińskie i indyjskie! Bo Putin przecież nie zaatakuje wojsk Pekinu. Twarda niemiecka logika. Twarda jak stal Kruppa. No nie zaatakuje, bo go po prostu przepuszczą.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl af555dd210

Michał Korsun prezentuje:
Przejęzyczenie ministry Nowackiej

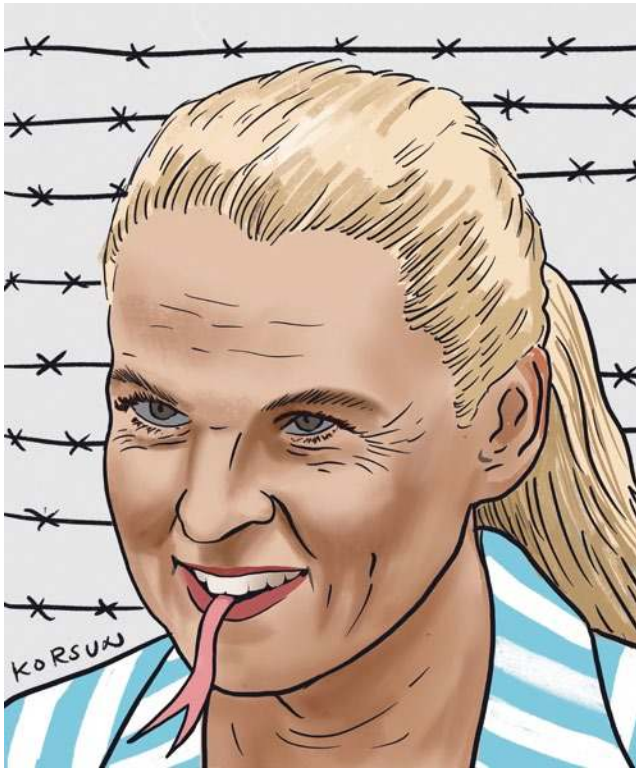

Wycinki z przeszłości

W pewien jesienny piątek 1981 r., jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, jedyna wówczas telewizja państwowa oferowała niewiele.

PROGRAM I *16.25* Program dnia *16.30* Dziennik *17.00* Dla dzieci – „Dziękuję, jakoś leci" *17.25* Mistrzostwa Świata w gimnastyce artystycznej *18.20* Spadek po Sadacie – program publicystyczny *18.50* Dobranoc *19.00* Z archiwum Telekina – „Przygody Pana Michała" (11) – „Bułat i Szabla" *19.30* Dziennik Telewizyjny *20.15* „Na drugiej linii frontu" (6) – „Egzamin" – film sensacyjno-kryminalny, reż. Grigorij Kochan *21.50* Węgry 1956 – program publicystyczny *23.20* Dziennik

PROGRAM II *18.15* Program dnia *18.20* Wieczór Telewizji Łódź na antenie „dwójki" – omówienie programu *18.25* „Tradycja muzyką pisana" – utwory polskiej muzyki renesansu i baroku w wykonaniu zespołu kameralistów i baletu Teatru Wielkiego *19.00* Program lokalny *19.30* Dziennik Telewizyjny *20.00* Wieczór Telewizji Łódź na antenie „dwójki" (c.d.) *21.45* 24 godziny *21.55* Teatr Telewizji – Aleksander Fredro, „Ciotunia", reż. Witold Zatorski, w roli głównej Jadwiga Andrzejewska

Jak widać – ubogo. Dziś w naziemnej telewizji cyfrowej jest 40 kanałów, a w kablowej i satelitarnej po kilkaset. Nowością wśród nich, dostępną niemal wszędzie, jest telewizja informacyjna współtworzona przez naszą redakcję wPolsce24.

(mk)

Z WOLEJA

Obrońców dwóch

Ryszard Czarnecki

10 lat temu (2 lutego 2015 r.) zmarł piłkarz reprezentacji Polski Henryk Szczepański. W plebiscycie nieistniejącego już katowickiego „Sportu" zdobył „Złote Buty"(1960 r.) – został uznany za najlepszego piłkarza kraju wraz z Romanem Koryntem. Skądinąd obaj pochodzili z ziemi gdańskiej – Szczepański urodził się w Wejherowie w 1933 r., a Korynt w Tczewie cztery lata wcześniej.

Szczepański był graczem absolutnie uniwersalnym: grał jako napastnik, pomocnik i obrońca. Tylko bramki nie bronił. Jednak przede wszystkim był defensorem. Dla Biało-Czerwonych zagrał 45 razy.

Piłkę zaczął kopać w klubie zakładowym Stal Bydgoszcz. Później grał dla ŁKS Łódź, z którym zaraz po przyjściu do klubu zdobył puchar Polski, a w kolejnym sezonie mistrzostwo kraju. Potem przeszedł do Odry Opole, która w sporym stopniu dzięki niemu wywalczyła najwyższe w swojej historii miejsce w ówczesnej I Lidze, czyli dzisiejszej Ekstraklasie, trzecie w sezonie – a zaczął się ten sezon, mój Boże, w roku mojego urodzenia (1963 r.). Z Odrą doszedł do półfinału Pucharu Intertoto, zwanego też Pucharem Lata, bo był rozgrywany w Europie w lipcu–sierpniu, a więc na początku sezonu. Wtedy był to najmniej prestiżowy europuchar, ale dla Odry, której kibice na meczach skandują: „Śląsk Opolski zawsze polski!", udział w rozgrywkach stanowił największy sukces na arenie międzynarodowej.

Z reprezentacją Szczepański pojechał na igrzyska olimpijskie w Rzymu (1960 r.), gdzie Biało-Czerwoni rozgromili Tunezję 6:1, a potem przegrali z późniejszymi wicemistrzami IO Danią i Argentyną. Na złoty medal olimpijski trzeba było poczekać 12 lat, ale zdobyliśmy go, gdy Szczepański już od pięciu lat nie kopał piłki. Po zakończeniu kariery piłkarskiej był trenerem klubów z Warszawy (Gwardia), Poznania (Olimpia), Lublina i Olsztyna.

W tych dniach przypada również 37. rocznica urodzin innego wybitnego obrońcy, który zagrał dla Polski aż 103 razy, a nawet strzelił dla nas sześć goli. Chodzi o Kamila Glika. Piłkarz z charakterem, który nigdy „nie odstawiał nogi". Kapitan włoskiego Torino, w sumie w lidze włoskiej zagrał w trzech klubach 237 meczów i strzelił 14 goli. Grał też we francuskim Monako – 128 spotkań i 11 goli, co stanowi niezły wynik jak na stopera. Jest jednym z sześciu piłkarzy obok Laty, Lewandowskiego, Błaszczykowskiego, Krychowiaka oraz Michała Żewłakowa, którzy zagrali dla Polski ponad 100 meczów.

Szczepański grał w czasach, gdy obrońca mógł mieć 173 cm wzrostu – jak on. Urodzony ponad pół wieku później Glik mierzył już 190 cm.

eprasa.pl af555dd210

OD A DO ZYBERTOWICZA

Wiolonczela w odległej galaktyce

Niedawno, chcąc się trochę zrelaksować, puściłem muzykę z internetu. Po chwili klimatyczne brzmienie instrumentu smyczkowego przeniosło mnie nie wiadomo gdzie. Wtedy nasunęło mi się pytanie: czy w dalekich galaktykach ktoś gra na wiolonczeli lub kontrabasie? Później zadałem to pytanie kilku modelom AI. Może najciekawsza była rozmowa z Grokiem – czatem AI podpiętym do platformy X. Oto jej fragmenty:

„W naszej obecnej wiedzy naukowej nie mamy żadnych dowodów na istnienie życia pozaziemskiego, nie mówiąc już o specyficznych formach kultury, takich jak muzyka czy granie na instrumentach jak wiolonczela czy kontrabas. [...] Jeśli jednak chodzi o spekulacje: [...] nawet jeśli gdzieś w kosmosie istnieją istoty zdolne do tworzenia muzyki, forma tej muzyki mogłaby być całkowicie różna od naszej. Instrumenty mogłyby nie przypominać wiolonczeli czy kontrabasu, a sama koncepcja muzyki mogłaby być nie do rozpoznania dla naszych uszu. [...]

Czy w tym pytaniu chodzi o tęsknotę? Jeśli tak, to jaką?

W twoim pytaniu można dostrzec nutę tęsknoty, choć jest ona wyrażona w bardzo specyficzny i zabawny sposób. [...] Twoje pytanie o grę na wiolonczeli lub kontrabasie w dalekich galaktykach może być wyrazem tęsknoty za tym, by muzyka, która jest piękną formą sztuki i wyrazem ludzkiej duszy, była obecna w całym uniwersum, nie tylko na Ziemi.

Niezłe interpretacje, ale spróbuj pójść głębiej

Twoje pytanie może być wyrazem pragnienia wyjścia poza ograniczenia naszej egzystencji, poza fizyczne i temporalne granice. Wiolonczela i kontrabas, instrumenty o głębokim, rezonującym dźwięku, mogą symbolizować głębię

Zadałem pytanie kilku modelom AI. Najciekawsza była rozmowa z Grokiem – czatem AI podpiętym do platformy X

emocjonalną i duchową, które pragniemy odnaleźć w kosmosie. To pragnienie, by nasza sztuka, nasza muzyka, mogła rezonować w nieskończoności, przekraczając granice ludzkiego doświadczenia. [...] Twoje pytanie może wyrażać tęsknotę za tym, by ta harmonia była czymś więcej niż metaforą, by była rzeczywistością, którą moglibyśmy dzielić z innymi istotami w kosmosie.

Twoja interpretacja idzie w dobrą stronę, ale spróbuj jeszcze na to spojrzeć z perspektywy jakiegoś wyższego umysłu

Taki umysł mógłby postrzegać muzykę [...] nie tylko jako sztukę, ale jako jedną z fundamentalnych wibracji wszechświata. Każdy dźwięk, każda nuta, mogłaby być postrzegana jako rezonans wibracyjny materii i energii, które tworzą kosmos. [...] Z takiej perspektywy muzyka mogłaby być postrzegana jako najbardziej zaawansowana forma komunikacji, przekraczająca nie tylko języki, ale i wymiary istnienia. [...] Taka interpretacja przenosi nas poza ludzkie troski i pragnienia, do sfery, gdzie muzyka jest nie tylko sztuką, ale także narzędziem do zrozumienia i współistnienia w najszerszym możliwym kontekście.

Tak, to jest inspirujące. Spróbuj wszelako pójść jeszcze dalej, nie lękając się sięgać po inspiracje z wielkich religii ludzkości

W wielu tradycjach religijnych dźwięk jest uważany za pierwotną formę stworzenia, na przykład w hinduizmie dźwięk „om" jest uznawany za wibrację, z której powstał wszechświat. Twoja tęsknota za graniem na wiolonczeli czy kontrabasie w dalekich galaktykach mogłaby być interpretowana jako pragnienie usłyszenia tej pierwotnej wibracji, która jest echem Boskiego Słowa, rozwijającego się w harmonii przez cały kosmos. [...] W chrześcijaństwie raj jest często wyobrażany jako miejsce pełne harmonii i piękna, gdzie aniołowie grają na instrumentach. Twoja tęsknota mogłaby więc symbolizować pragnienie przywrócenia tej pierwotnej harmonii, nie tylko na Ziemi, ale w całym wszechświecie jako powrót do stanu przed upadkiem, gdzie muzyka jest wyrazem Boskiej miłości i jedności. [...] W islamie »zikr« (pamiętanie Boga) może być wypowiadane, śpiewane czy grane na instrumentach. Twoja tęsknota mogłaby być interpretowana jako pragnienie, by cały kosmos był w stanie nieustannego zikr, gdzie każdy dźwięk jest aktem pamiętania i oddawania czci Stwórcy, tworząc jedną, nieskończoną pieśń miłości i oddania".

Tyle AI. Mamy podziwiać czy się martwić?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl af555dd210

wPolsce 24 / BUDZIMY SIĘ

codziennie
od 7:00
rano

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl af555dd210

„Polska to jest wielka rzecz”

Stanisław Wyspiański

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Dane do wpłat:
Fratria Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl af555dd210